

PEGASUS
Wszechwładza
słabego państwa

NA RATY
Jak przeżyć
z kredytem

DOBRY BISKUP
Wojciech Jagielski
o Desmondzie Tutu

KAZACHSTAN
Jeszcze jeden
front Putina

MATRIX
Nigdy się
nie skończy

KOŃ TO ZDROWIE
Narowiste miłości
i kąpiele błotne

Kraków 16 stycznia 2022 nr 3 (3784)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

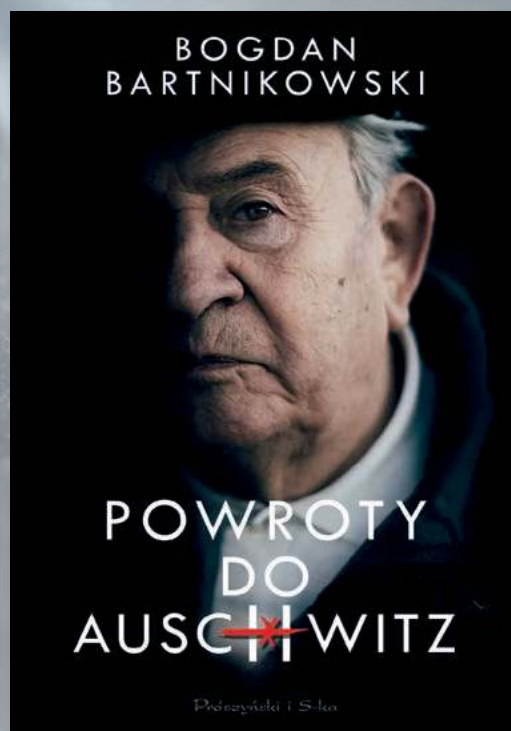
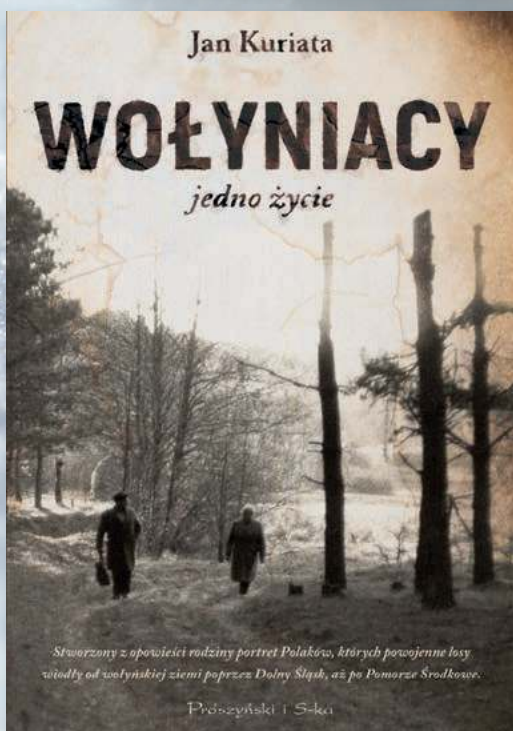
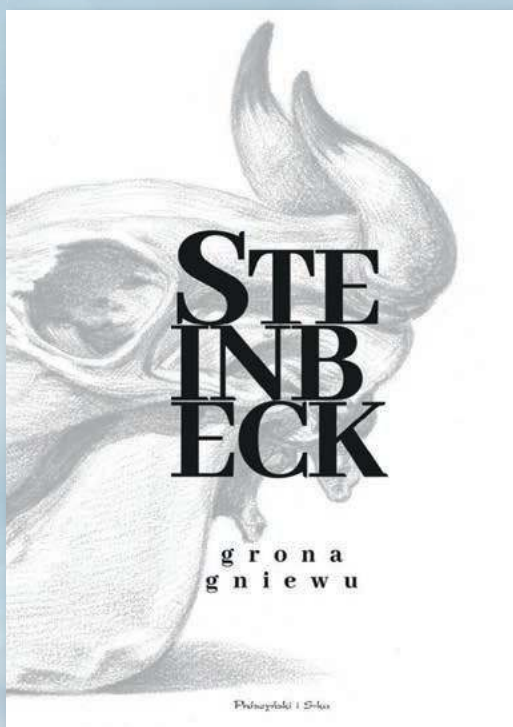
Czas płacić rachunki

INWIGILACJA
SZPITALE
SZCZEPIENIA
SZKOŁY
INFLACJA
SĄDY
GRANICA
KULTURA
KREDYTY
MEDIA
NEPOTYZM
PRAWA KOBIET
POLSKI ŁĄD
SOJUSZE
UNIA
PRĄD
GAZ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 770041 480208



Festeśmy na każdej półce

Prószyński i S-ka

KS. ADAM

Boniecki: Osiodłać Pegaza

DUŻĄ CZĘŚĆ ŻYCIA PRZYSZŁO MI SIĘ PORUSZAĆ w świecie naszpikowanym podsłuchami. Na ogół nie było wiadomo, czy w tym właśnie telefonie jest „pluskwa”, ale się zakładało, że jest. U Turowiczów telefon stał na korytarzyku z dala od pokoi. Ks. Andrzej Bardecki miał telefon w pokoju, gdzie odbywaliśmy zebrania działu religijnego i gdzie przyjmował gości. Mówił: „Proszę bardzo, niech podsłuchują i zobaczą, że nie spiskujemy”. Ważne rozmowy prowadził na świeżym powietrzu albo włączając radiowy program muzyczny. W redakcji „Tygodnika” sądziliśmy, że podsłuch jest w lampie. Potem się okazało, że był w ścianie. Czasem prowadzono podsłuch ze stojącego pod budynkiem samochodu, czasem ktoś przychodził i nieudolnie ukrywał, że rozmowę (albo kazanie) nagrywa przy pomocy ukrytego gdzieś w buciku mikrofonu. „Technika” była uzupełniana żywymi ludźmi. Ich elaboraty (raporty) można poczytać w teczках IPN-u. Nie są to dzieła najwyższej klasy literackiej. W relacjach z moich kazań wzruszają mnie pojawiające się co jakiś czas notatki, że „kazanie było czysto religijne”, w czym pobrzmiewa smutek autora, że nie pojechałem żadnym tekstem antypaństwowym.

Były więc podsłuchy, donosy, była „inwigilacja” – samochód pod domem i potem jazda za moim maluchem, gdziekolwiek się ruszyłem, itd. Człowiek się poruszał jakby w rozpryskanej w powietrzu brudnej, lepkiej cieczy, ale jakoś się z tym żyło.

Co innego Pegasus, o którym powiedziano, że „pozwała na inwigilację każdego, niezależnie od statusu i zajmowanej pozycji (...) umożliwia totalną kontrolę nad zainfekowanym urządzeniem, przejmowanie właściwie każdej zawartości. Od zdjęć i nagrań wideo, przez e-maile, SMS-y, listę kontaktów, aż po śledzenie lokalizacji, nagrywanie otoczenia smartfona w wersji audio oraz wideo, podsłuchiwanie szyfrowanej transmisji dźwięku oraz odczytywanie zaszyfrowanych wiadomości z różnorodnych aplikacji na urządzeniu. Jest wirusem informatycznym (tzw. trojanem)”. Profesorowie Maciej Gutowski i Piotr Kardas, od których pochodzi powyższy opis, konclu-



dują: „Mały krok dzieli nas od świata, w którym wymiar sprawiedliwości sprawować będą dysponujące nieograniczonymi możliwościami inwigilacji służby. To coś więcej niż wizja Orwella”.

Obawiam się jednak, że nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z grozy sytuacji. W przeprowadzonym 28 grudnia 2021 r. sondażu pracowni SW Research zapytano ankietowanych, „czy w związku z używaniem przez polskie służby Pegasus, m.in. przeciwko senatorowi PO Krzysztofowi Brejzie, powinna zostać Pani/Pana zdaniem powołana komisja śledcza?”. 42,9 proc. ankietowanych odpowiedziało „tak”. Przeciwnie powołaniu komisji w tej sprawie jest 20 proc. 37,1 proc. ankietowanych nie ma zdania. Obawiam się, że dla przeciętnego obywatela takie przenicowanie ludzi władzy, ubiegających się o nią, a nawet szerzej: przedstawicieli nielubianych „elit” – może mieć swoje dobre strony. Nawet jeśli nie akceptujemy inwigilacji nas, obywateli, jakoś łatwo nam przychodzi łamanie prawa wobec osób, które są przecież naszymi reprezentantami.

Dr Piotr Burczaniuk (UKSW), opisując system nadzoru i kontroli nad służbami specjalnymi w Polsce, wymienił dziesięć urzędów sprawujących nad nimi kontrolę, poczynając od sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych przez ministra (bez teki) koordynatora służb specjalnych, przez NIK, prokuraturę po społeczeństwo obywatelskie.

W 2019 r. z inicjatywy Rzecznika Praw Obywatelskich zespół ekspertów opracował projekt dokumentu („Osiodłać Pegaza”) zawierający – o czym piszą na dalszych stronach Agata Kaźmierska i Wojciech Brzeziński, i o czym wspomina także w wywiadzie w dziale Kraj nowy RPO Marcin Wiącek – postulat kompleksowych zmian w organizacji służb specjalnych, ze szczególnym uwzględnieniem dwóch kluczowych elementów: stworzenia jednego niezależnego organu ds. kontroli nad działalnością służb specjalnych i przyznania jednostce prawa do informacji o byciu przedmiotem zainteresowania ze strony uprawnionych instytucji.

©P

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!





34 Dobry biskup
Tutu
WOJCIECH
JAGIELSKI
*„Był nam
przewodnikiem
i sumieniem”
– mawiał o nim
Nelson Mandela.
W Południowej
Afryce zmarł
Desmond Tutu.*



44 Czarna noc
putinizmu
ANNA
ŁABUSZEWSKA
*W Rosji rok
2021 zaczął się
aresztowaniem
Aleksieja
Nawalnego,
a skończył
likwidacją
Stowarzyszenia
Memoriał. Rok
2022 zaczyna się
równie ponuro.*



64 Catrix
nadchodzi
MARCIN
NAPIÓRKOWSKI
*Nowy „Matrix”
każe nam spytać:
czy po życiu istnieje
śmierć? Czy nasi
bohaterowie
będą mogli
oddalić się kiedyś
na zasłużony
odpoczynek,
czy też ich losem
będzie nieustanne
wskrzeszanie
w postaci coraz
pokraczniejszych
monstrów?*

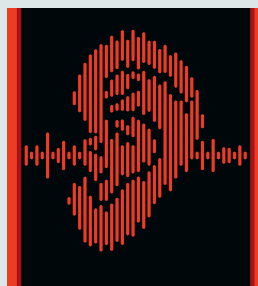
CZAS PŁACIĆ RACHUNKI



6 OBRAZ TYGODNIA

Lex Frankenstein

MAREK RABIJ
*Polskiego Ładu nie da się naprawić
nie pogarszając sytuacji jeszcze
bardziej. A dla PiS-u stawką jest
wynik najbliższych wyborów.*



12 TEMAT TYGODNIKA

Wszewhładza słabego państwa

AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
*Rachunek szkód wyrządzonych
przez sprawę Pegasusa obejmuje
bezpieczeństwo nie tylko naszych
danych, ale też całego kraju. Tylko
niepoważne służby mogły uznać,
że korzystanie z niego to okazja.*



22 KRAJ

Wiatrem po oczach

KAROLINA LEWICKA
*Mocy, by kontynuować polityczną
rewolucję, w obozie władzy już nie
ma. Zmęczony Jarosław Kaczyński
nie jest w stanie zapobiec gniciu
partii i wydzieraniu stanowisk
publicznych. Wyborcy
już to dostrzegli.*



26 KRAJ

Polityka? Nie moja sprawa

ROZMOWA Z MARCINEM

WIĄCKIEM, RZECZNIKIEM PRAW

OBYWATELSKICH:

*Na granicy widziałem płacz dzieci
i matek. Przepisy o zawracaniu
imigrantów nie spełniają
standardów międzynarodowych.*



30 KRAJ

O raty!

MAREK RABIJ
*Nie udało się rozwiązać problemu
kredytów frankowych, a na
horyzoncie mający już kolejny
kryzys z kredytami złotowymi w roli
głównej. Dla tysięcy rodzin marzenie
o własnym domu znów zmienia się
w koszmar.*

6 Lex Frankenstein
MAREK RABIJ

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

22 Wiatrem po oczach
KAROLINA LEWICKA

26 Polityka? Nie moja sprawa
ROZMOWA W MARCINEM WIĄCKIEM,
RZECZNIKIEM PRAW OBYWATELSKICH

30 O raty!
MAREK RABIJ

■ ■ **WIARA**

34 Dobry biskup Tutu
WOJCIECH JAGIELSKI

38 Boża kalkulacja ryzyka
ROZMOWA Z RABINEM DAVIDEM
ROSENEM: *Odkryłem, że duchowni
chrześcijańscy byli ignorantami na
temat mojej religii*

41 Płć duszy
ARTUR SPORNIĄK: *„Męski
Modlitewnik” może być sygnałem
potrzeby męskiej duchowości*

■ ■ **ŚWIAT**

44 Czarna noc putinizmu
ANNA ŁABUSZEWSKA

47 Kazachska zima
KRZYSZTOF STRACHOTA: *Kazachstan
sprawił wrażenie, jakby znalazł
kamień filozoficzny, który zabezpieczał
go od wstrząsów. Aż do dzisiaj*

49 Jadwiga nadal czeka
MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA:
*Ich synowie walczyli w Donbasie, do
domu nie wracają już od ośmiu lat*

50 Kij czy marchewka dla Kremla
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
*Nowy rząd Niemiec spiera się o politykę
wobec Rosji*

ZMYSŁY

GRAZYNA MAKARA



78 Końskie zdrowie

AGATA BRACHOWICZ:
Kiedy konie spędzasz do stajni w burzę,
mają cię... gdzieś. Ty je ratujesz,
bo myślisz, że piorun w nie trafi,
a one robią sobie właśnie prysznic.

■ **FELIETONY** ■

43 ZUZANNA RADZIK

62 TOMASZ STAWISZYŃSKI

76 JAN KLATA 77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

FOTO NA OKŁADCE:
WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Redaktor prowadzący:
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

52 Espresso z certyfikatem
PAWEŁ BRAVO: *Gdy idzie o walkę
z wariantem Omikron metodą
wielopiętrowych restrykcji, Włosi znów
są w europejskiej awangardzie*

■ ■ **HISTORIA**

54 Palec hrabiny
KS. ADAM BONIECKI: *Była partnerką do
brydża brytyjskiego króla i pielęgniarką
w szpitalach polowych I wojny światowej.
Podczas kolejnej stanie się człowiekiem-
instytucją: Maria Tarnowska*

■ ■ **NAUKA**

58 Wielka migracja małych istot
MARTA ALICJA TRZECIAK:
*Wzrost temperatur oceanów sprawia,
że masy planktonu przemieszczają się
z równika w kierunku biegunów*

■ ■ **POŻEGNANIE**

63 Siła spokoju
MICHAŁ OKOŃSKI: *W krakowskim
szpitalu zmarł Artur Strzelecki. Przez
więcej niż pół życia był jednym z filarów
„Tygodnika Powszechnego”*

■ ■ **KULTURA**

64 Catrix nadchodzi
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

68 Nowe życie
PIOTR KOŚCIEWSKI: *W manifestie
nowego muzeum pada ważna deklaracja:
„Sięgamy po nasze prawo, prawo lokalne,
do napisania własnej historii sztuki
– od nowa”*

71 Ja, ktoś inny
WOJCIECH ENGELKING o najnowszej
powieści Siri Hustvedt

74 W przebraniu syna
ANITA PIOTROWSKA o filmie „Titane”

76 Żółta księga
LEKTOR o „Wyborze”
Marcina Świetlickiego

■ ■ **ZMYSŁY**

78 Końskie zdrowie
ROZMOWA Z AGATĄ BRACHOWICZ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Uliczna wojna w Kazachstanie [Strona Świata]**
*Dziesiątki zabitych, setki rannych, rozgrabione i spalone
urzędy, galerie handlowe i sklepy – pisze WOJCIECH JAGIELSKI*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Punkt zwrotny [Podkast Powszechny]**
*Literatura zajmuje się głównie tym, co było, a czego nie ma
– mówi RYSZARD KOZIOŁEK w rozmowie z KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ*
tygodnikpowszechny.pl/podkast

➔ **Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA**
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



LEX FRANKENSTEIN

Polskiego Ładu nie da się naprawić, nie pogarszając sytuacji jeszcze bardziej. A dla PiS-u stawką jest wynik najbliższych wyborów.

MAREK RABIJ

WIZERUNKOWA KATASTROFA POLSKIEGO Ładu jest tak wielka, że najważniejsi politycy PiS, którzy w takich razach co najwyżej posypują popiołem głowy podwładnych, tym razem ścigają się na drodze do sondażowej Canossy. Premier Mateusz Morawiecki przeprasza „za niepotrzebny stres i nerwy”. Prezes Jarosław Kaczyński zapowiada wyciągnięcie wniosków z wpadki.

Jest za co przepraszać. Po raz pierwszy od 1993 r., kiedy wprowadzono podatki od dochodów osobistych, wchodzimy w nowy rok nie mając pojęcia, ile zarobimy, a ile oddamy fiskusowi. Nie jesteśmy w stanie obliczyć, jaka forma opodatkowania będzie najkorzyst-

niejsza. Czy przysługuje nam ulga dla klasy średniej i czy lepiej pobierać ją co miesiąc, czy skorzystać z rocznego odliczenia? Komu należy się ulga na dzieci? Rządowa infolinia zablokowała się tuż po uruchomieniu; do jej obsługi oddelegowano tylko pięciu specjalistów z Ministerstwa Rozwoju i Technologii oraz kilkunastu z resortu finansów. Telefony urywają się też doradcom podatkowym, ale i oni nie zawsze potrafią udzielić jednoznacznych odpowiedzi.

Niepewni Polskiego Ładu są nawet pracownicy urzędów skarbowych. „Nie jesteśmy w stanie z pełnym przekonaniem informować obywateli o nowych rozwiązaniach,

Łódź, grudzień
2021 r.

skoro najwyżsi przedstawiciele rządu nie są przekonani o tym, jak je interpretować i jaki będzie ich ostateczny kształt. Zważywszy na fakt, jak Polski Ład jest wdrażany, mamy poważne wątpliwości m.in. co do wpływu obecnych zmian na kształt rocznych rozliczeń podatkowych” – piszą do premiera pracownicy Krajowej Administracji Skarbowej.

Warto zatrzymać się przy ostatnim zdaniu tej korespondencji, bo mowa w nim nie tylko o tym, że państwo nie wywiązuje się z obowiązku jasnego określenia reguł podatkowej gry. Jeśli nawet obywatele nie wiedzą, ile mają oddać fiskusowi, to na jakiej podstawie państwo szacuje swoje wpływy z podatków?

Rząd zapowiedział już poprawki, ale łatanie Polskiego Ładu niewiele zmieni. Nasza ordynacja podatkowa nigdy nie grzeszyła prostotą, a zmiany zapoczątkowane w ubiegłym roku przez PiS upodobniły ją do Frankensteina. Podatnicy, którym przyjdzie teraz paradować w tym upiornym kostiumie, dopiero odkrywają kolejne pęknięcia, które władza będzie oczywiście cerować, ale już nie poprawi użyteczności i estetyki całości. Paradoksalnie, odbiór społeczny Polskiego Ładu nie jest dziś najgorszy, wedle różnych badań popiera go od 27 do 48 proc. ankietowanych, ale na razie to głównie wrażenia podkarmione rządową propagandą sukcesu.

Lista zalet Polskiego Ładu jest bowiem krótka. Podniesienie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł uwolni wreszcie od fiskusa tych, którzy znajdują się na progu ubóstwa. Chwalić, zwłaszcza w obliczu pandemii, można by też podwyżkę składki zdrowotnej – gdyby skutkowała proporcjonalnym wzrostem budżetu NFZ. Tymczasem, jak wynika z planu finansowego Funduszu, jego wpływy ze składki zdrowotnej zwiększą się w tym roku o 7,2 mld zł – gdy w zeszłym roku, w porównaniu z rokiem 2020, wzrosły aż o 10,7 mld zł.

Prawdziwe oceny Polskiego Ładu przyniosą dopiero kolejne miesiące, a dokładniej – pierwsze wypłaty. Jeśli bilans zmian wyjdzie większości podatników na minus, wówczas projekt, który miał załatwić PiS-owi łatwą wygraną w wyborach, może pociągnąć go w przepaść. ©P

Wariant Omikron coraz bliżej Polski

WOJCIECH PIĘCIAK



PÓŁTORA MIESIĄCA: TYLE WYSTARCZYŁO, by nowy wariant koronawirusa zdominował Europę Zachodnią – w tym już także część Niemiec, gdzie po chwilowym oddechu (gdy osłabła fala wywołana przez Deltę) statystyki zakażeń znów idą w górę, a władze wprowadzają nowe restrykcje, by spowolnić falę wywołaną Omikronem.

Falę, czy może raczej – jak ujął to pewien epidemiolog – ścianę: wykresy obrazujące dziś dynamikę są bowiem niemal pionowe. W Wielkiej Brytanii, Francji czy Hiszpanii liczby dziennych infekcji są czasem nawet dziesięciokrotnie wyższe niż podczas fali wywołanej Deltą. Europejski (chwilowy?) rekord padł 7 stycznia we Francji (330 tys. infekcji), a światowy 3 stycznia w USA (milion infekcji). Dodajmy, że tych stwierdzonych, bo łagodny zwykle przebieg zakażenia Omikronem – a w każdym razie łagodny (choć niestety nie zawsze) u osób podwójnie i potrójnie zaszczepionych – sprawia, iż wielu skarżących się na katar i ból gardła nie czeka w kolejkach na test, ale samemu sprawdza się „schnelltestem” (to neologizm stworzony przez Polaków w Niemczech) i przy pozytywnym wyniku pozostaje poza statystycznym „radarem”.

Czy jest więc się czego bać w Polsce, czekając, aż i u nas będzie po 150 tys. infekcji dziennie? Doświadczenie krajów Zachodu pokazuje, że uzasadniony jest zarówno optymizm (ostrożny), jak i obawy (poważne).

Najpierw te drugie. Na czoło wysuwa się tu – pierwszy raz od początku pandemii – kwestia bezpieczeństwa infrastruktury kry-

tycznej, tj. tego, co konieczne dla codziennego funkcjonowania społeczeństwa. Chodzi nie tylko o wydolność szpitali, ale też logistykę dostaw żywności, obsadę sklepów, służb publicznych itd. Masowość infekcji sprawia, że w Wielkiej Brytanii – gdzie na kwarantannę jest już 6 proc. społeczeństwa (4 mln ludzi) – są braki kadrowe, także w szpitalach. W niektórych miastach Szwajcarii komunikacja przeszła na tryb świąteczny, bo brak ludzi. To dwa „puzzle” z wielu tworzących ten obraz.

Natomiast źródłem optymizmu może być fakt, że masowość infekcji nie przekłada się na tak drastyczny jak kiedyś wzrost liczby chorych w szpitalach i liczbe zgonów (na Zachodzie są one na znacznie niższym poziomie niż podczas obecnej fali Deltę w Polsce). Dla niektórych to nawet powód do spekulacji, iż Omikron może być ostatnim mocnym akordem pandemii, bo po tym, jak prędzej lub później każdy będzie mieć z nim kontakt, społeczeństwa uzyskają wreszcie słynną odporność zbiorową i pandemia przejdzie w fazę endemiczną (wirus będzie nadal obecny, ale już tylko tak jak np. grypa).

A jak będzie w Polsce? Jak bardzo masowość infekcji wpłynie na wydolność szpitali i na infrastrukturę społeczną? W sytuacji, gdy odsetek zaszczepionych jest u nas o 20-30 punktów procentowych niższy niż we Francji czy Hiszpanii, jest to po prostu niewiadoma. ©P

O sytuacji we Włoszech piszemy w dziale Świat.

Centrum testowe drive-thru. Gdańsk, 18 grudnia 2021 r.



Czesi mają czas

MAREK RABIJ



BYL BRAK EMPATII, BRAK ZROZUMIENIA i brak chęci podjęcia dialogu – i to w pierwszym rządzie z polskiej strony”, powiedział w wywiadzie dla Deutsche Welle nowy polski ambasador w Czechach, Mirosław Jasiński, komentując genezę sporu o Turów. I na tym zakończyła się jego misja dyplomatyczna – premier kazał go zdymisjonować, rzecznik rządu wyjaśnił, że słowa ambasadora były „skrajnie nieodpowiedzialne”, wicepremier Jacek Sasin huknął zaś nawet o „bezsensownym powielaniu obcej narracji”. W ten sposób relacje polsko-czeskie wskoczyły w stare, wykoślawione tory.

Tymczasem ugodowa wypowiedź Jasińskiego nie mogła zaskoczyć w Czechach nikogo, bo jego zdanie podziela tam nie tylko prawie cała klasa polityczna, ale także opinia publiczna. Lekceważąc sąsiadów, Polska przedłużyła turoszowskiej kopalni koncesję na wydobycie na podstawie analizy kosztów środowiskowych, przeprowadzonej tylko na wąskim wycinku spornego obszaru. Praga, która starannie odrobiła lekcje z prawa unijnego, ma więc w ręku wszystkie argumenty w sporze. Jeśli Warszawa zamiast kompromisu będzie nadal szukać okazji do awantur, które można okazynie sprzedać wyborcom, Czesi nie będą przeszkadzać.

Rachunek za Turów płacimy my. Już na 200 mln zł. © MAREK RABIJ

LICZBA TYGODNIA

76

lat sędzi list, który 22-letni sierżant John Gonsalves wysłał pod koniec II wojny światowej z Niemiec do matki w USA. Adresatka i nadawca zmarli, ale poczta USA znalazła 89-letnią wdowę. Angelina Gonsalves wrzuciła się: „To tak, jakby mąż na chwilę do mnie wrócił”.

KRAJ W SKRÓCIE

DEZINFORMACJA

Z Facebooka zniknął profil Konfederacji: zdaniem portalu partia dezinformowała odbiorców w sprawie COVID-19 i publikowała „treści bezpośrednio atakujące inne osoby na podstawie tzw. cech chronionych, takich jak narodowość czy orientacja seksualna”. „Cyfrową cenzurę” skrytykował premier Morawiecki.

EKSPERYMENT

Poglądy zbliżone do Konfederacji prezentuje małopolska kurator Barbara Nowak, nazywająca szczepienia na COVID-19 „eksperymentem” – w tym przypadku premier Morawiecki jest ponoć zwolennikiem jej odwołania.



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

GŁUPOTA

Dymisji może być więcej, skoro ambasador RP w Czechach, krytykujący nasz rząd za spór o Turów, nie jest odosobniony w ocenie polityki Polski. „Poprawki w prawie IPN, które dotyczą badań historyków, to jedno z najgłupszych, jakie kiedykolwiek pojawiły się w prawie” – powiedział pełnomocnik rządu ds. kontaktów z diasporą żydowską Jarosław Marek Nowak, w rozmowie z „Jewish Daily”. Dodał, że Polska „w pewnym momencie” będzie musiała zrobić coś w kwestii zwrotu mienia żydowskiego.

WPŁYW

Najbardziej wpływowym Polakiem jest Donald Tusk – wynika z plebiscytu „Newsweeka” i narracji „Wiadomości” TVP. Na pasku tych ostatnich czytamy o „tuskowym”, które „drenuje kieszenie Polaków”.

Telewizja sterowana pilotem Dworczyka

SERWIS POUFNA ROZMOWA opublikował kolejne maile, rzekomo pochodzące ze skrzynki pocztowej szefa Kancelarii Premiera. Dotyczą sprostowania, które sąd nakazał zamieścić Mateuszowi Morawieckiemu w stacjach telewizyjnych za jego kłamstwa na temat inwestycji drogowych w czasach rządów Platformy Obywatelskiej. W wiadomości do premiera Michał Dworczyk z przykrością informował go, że nie da się pokryć kosztów emisji z rachunków PiS lub KPRM, w związku z tym szef rządu musi opłacić je sam.

Milioner Morawiecki sięgnął głębiej do kieszeni, ale sprawa miała dalszy ciąg. Doradca premiera, Mariusz Chłopik, napisał wiadomość do prezesa TVP Jacka Kurskiego i szefa TAI Jarosława Olechowskiego: „Po rozmowach mamy prośbę, by jutro TVP bardzo ładnie zaatakowało te osoby, które taki wyrok wydały i generalnie warszawski sąd apelacyjny według topowych kancelarii w Warszawie to stajnia Augiasza”. Chłopik prosił też w mailu o informację, który z posłów PiS przyjdzie do studia. „My z Michałem Dworczykiem musimy wiedzieć, kto idzie, a następnie go odpowiednio przygotujemy”. Jeszcze tego samego dnia „Wiadomości” TVP przygotowały ostry materiał, pełen krytycznych opinii o warszawskim sądzie apelacyjnym.

Wywołany do tablicy, Olechowski zaprzecza dziś, że dostał maila. Twierdzi, że albo trafił on do spamu, albo to fejk. Na temat samych nacisków nie powiedział ani słowa.

© MAREK KĘSKRAWIEC

Dawid nie cofa się przed Goliatem

TAJWAN OBIECAŁ LITWIE inwestycje warte 200 mln dolarów. To rodzaj podziękowania za zgodę na otwarcie w Wilnie nieformalnej ambasady tego państwa, które Pekin uznaje za historyczną – i *de facto* wciąż mu podległą – część Chin. To także próba złagodzenia skutków zakazu handlu z Litwą, nałożonego przez niezadowolone chińskie władze. Nieoficjalnie mówi się, że w ramach tajwańskich inwestycji u naszych sąsiadów może powstać zakład produkujący półprzewodniki, których wywołany pandemią niedobór paraliżuje w całej Europie branżę elektroniczną i samochodową.

Zbliżenie Litwy z Tajwanem nie jest przypadkowe: już w maju 2021 r. Wilno opuściło „Grupę 17+1”, w ramach której Chiny koordynują swoją politykę handlową w Europie Środkowej.

Zakaz handlu z Litwą dotyczy też towarów sprowadzanych do Chin z innych państw UE, w których wykorzystano części pochodzące z Litwy. To martwi również Brukselę, bo Pekin może w przyszłości blokować handel z innych przyczyn. Robił już tak w przeszłości, zakazując sprowadzania win z Australii (po tym, gdy Canberra wezwała do międzynarodowego śledztwa ws. początków pandemii) i norweskich łososi (po tym, gdy Pokojowego Nobla przyznano dysydentowi Liu Xiaobo). © MARCIN ŻYŁA



ALI KHARA / REUTERS / FORUM

AFGANISTAN. Tamten film z 19 sierpnia 2021 r. obiegł świat: widzieliśmy na nim żołnierzy USA na szczycie muru otaczającego lotnisko w Kabulu, jak odbierają dziecko z rąk ludzi próbujących desperacko dostać się na loty ewakuacyjne, a potem, po nawodnieniu, oddają je na powrót Afgańczykom. Jego rodzice z czwórką pozostałych dzieci dostali się na lotnisko, ale ich dwumiesięczny Sohail Ahmadi zaginął w chaosie. W listopadzie dziennikarze ustalili, że malca znalazł 29-letni kabulski taksówkarz Hamid Safi. Przygarnął go i był gotów wychować. Dzięki Czerwonemu Krzyżowi udało się znaleźć dziadka chłopca i 8 stycznia Sohail wrócił do rodziny w Kabulu (na zdjęciu). Agencja Reutersa nie podaje, czy chłopiec trafi ostatecznie do rodziców w USA. © P WP

Nie tylko Ukraińcy boją się „drugiej Jałty”

SZWECJA I FINLANDIA z uwagą śledzą wydarzenia, które w tych dniach rozgrywają się na linii Zachód–Rosja: ów maraton negocjacyjny, rozpoczęty 10 stycznia od spotkania rosyjsko-amerykańskiego i kontynuowany w różnych konfiguracjach dyplomatycznych, w tym na forum Rady NATO–Rosja.

Podobnie jak Ukraina, te dwa neutralne kraje – należące wprawdzie do UE, ale nie do NATO i w kwestii obronności zdane głównie na siebie – boją się, że Rosja może przymusić Zachód do swego rodzaju „drugiej Jałty”, tyle że z nową żelazną kurtyną przesuniętą na wschód w stosunku do pierwszej Jałty, tej z 1945 r. Czyli: do podzielenia Europy na nowe strefy wpływów, gdzie Ukraina (a także Gruzja i Mołdawia) znajdzie się pod kontrolą Moskwy, a Helsinki i Sztokholm (a także kraje Bałkanów) trafią do szarej strefy bezpieczeństwa – położonej między Rosją a NATO oraz mającej ograniczone prawo wyboru sojuszy.

Zagrożenie takie – dla Skandynawów nowe, za to dla Ukraińców będące chlebem powszednim od momentu wywołania przez Rosję wojny w Donbasie osiem lat temu (choć dziś chyba najbardziej realne) – pojawiło się, gdy w grudniu Władimir Putin postawił państwu NATO ultimatum, grożąc nową i pełnowymiarową już agresją na Ukrainę, je-

śli Zachód nie podejmie z Rosją rozmów na temat nowego traktatu o bezpieczeństwie w Europie. Kreml przedstawił od razu projekty dwóch takich układów (z USA i NATO), będących w gruncie rzeczy „drugą Jałtą”. Zakładają one m.in., że NATO nie rozszerzy się już na wschód i ograniczy swą obecność w Europie Środkowo-Wschodniej (także w Polsce).

Szwecja i Finlandia odebrały to jako ingerencję w ich suwerenność. „Nie pozwolimy odebrać sobie prawa do samodzielnego decydowania” – mówiła fińska premier Sanna Marin. Fiński prezydent Sauli Niinistö podkreślał w orędziu noworocznym, że „wolność wyboru Finlandii obejmuje też sojusze militarne i wniosek o członkostwo w NATO, jeśli zdecydujemy, że tego chcemy”. W podobnym duchu głos zabrał szwedzki minister obrony Peter Hultqvist, podkreślając, że nieakceptowalne jest „tworzenie stref wpływów”.

„Konieczna jest otwarta i odważna debata na tematy, o których dotąd raczej milczeliśmy. Znaczenie zachodniego sojuszu obronnego wzrosło, gdyż UE okazała się papierowym tygrysem także w kwestiach militarnych” – pisze fińska gazeta „Lapin Kansa”.

Wprawdzie w obu społeczeństwach i ich elitach politycznych nie ma dziś większości za wejściem do NATO, ale komentatorzy uważają, że w przypadku kontynuowania przez Putina agresywnej polityki może się to szybko zmienić.

©© WOJCIECH PIĘCIAK

(źródła: FAZ, NZZ, BPB, OSW, Censor.net.ua)

Jedno kłamstwo, dwie „prawdy”

STANY ZJEDNOCZONE nie odrobiły lekcji ze szturmu na Kapitol, gdy rok temu tłum zwolenników Donalda Trumpa próbował zapobiec formalnemu zatwierdzeniu wyników wyborów prezydenckich: odpowiedzialny za podżeganie do tych zamieszek Trump ma wciąż silną pozycję i nie wyklucza walki o Białą Dom w 2024 r.

W pierwszą rocznicę szturmu, 6 stycznia, Joe Biden przypuścił na poprzednika frontalny atak. Przemawiając w Kongresie oskarżył go o szerzenie kłamstw na temat wyborów w 2020 r. i zarzucił mu, że „przedkłada swoje zranione ego nad demokrację i konstytucję”. Odnosząc się do Trumpa aż 16 razy, Biden wezwał naród do odróżniania prawdy od kłamstw i dbania o demokrację, która według 66 proc. Amerykanów jest zagrożona.

Obawy są uzasadnione: aż 71 proc. zwolenników Republikanów uważa, że to Trump wtedy wygrał. On sam, uniewinniony przez Senat od zarzutu podżegania do zamieszek, odgrzewa powyborcze kłamstwa i umacnia swą pozycję w partii. Testując szanse na reelekcję w 2024 r. organizuje wiece, promuje kandydatów w tegorocznych wyborach do Kongresu i mści się na tych, którzy głosowali za jego impeachmentem.

Tymczasem nie jest jasne, czy Trump usłyszy zarzuty ws. zamieszek. Choć prokurator generalny zapewnia, że śledczy chcą ukarać sprawców „na każdym szczeblu”, dotąd zarzuty postawiono szeregowym uczestnikom szturmu. Nie ma też przełomu w pracach parlamentarnej komisji śledczej. Po przesłuchaniu ponad 300 świadków (zabrakło kluczowych z otoczenia Trumpa) wciąż nie wiadomo, czy atak na Kapitol był planowany i jaki był w tym ewentualny udział Trumpa.

W podzielonym kraju jedno jest pewne: w zależności od poglądów Amerykanie inaczej interpretują tamte zamieszki. Polityczne aspiracje Trumpa i wspierający go Republikanie, którzy w dniu rocznicy stronili od wypowiedzi, tylko pogłębiają ten problem. © MARTA ZDZIEBORSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

ROZNICA

Dwadzieścia lat temu (6 stycznia 2002 r.) dziennik „Boston Globe” opublikował pierwszy z serii artykułów ujawniających skalę ukrywania pedofilii wśród duchowieństwa. Wywołało to ostry kryzys, który zapoczątkował zmiany w Kościele katolickim.

ZMIANA

Po raz pierwszy świecki mężczyzna i zakonnica przedstawili streszczenie papieskiej katechezy podczas śródowej audycji ogólnej, zastępując tym samym księży z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej. Watykan zapowiedział, że będzie to stała praktyka.

LEDNICA

„Na krańce świata” – to hasło tegorocznego 26. Spotkania Młodych nad Lednicą, które odbędzie się 4 czerwca. Jednym z elementów spotkania będzie przejście młodych z zawiązanymi oczami przez tunel „zbudowany” z ludzi, symbolizujące nawrócenie św. Pawła.

KRYTYKA

Papieska Akademia Życia spotkała się z krytyką na Twitterze za negatywną wypowiedź na temat antyszczepionkowców. Jej rzecznik Fabrizio Mastrofini przyznał, że Akademia jest „najbardziej atakowaną instytucją w Watykanie”, ponieważ jest „jedyną, która reaguje na komentarze”. Inne watykańskie urzędy, choć obecne w mediach społecznościowych, zwykle nie angażują się w kontakt z odbiorcami.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Czy wiara zależy od dni wolnych od pracy?



MACIEJ MÜLLER

KIEDY NA POLSKIE ZIEMIE PRZYSZŁO CHRZEŚCIJAŃSTWO, przyszły także święta, wśród nich Epifania – mówił 6 stycznia w katedrze wawelskiej abp Marek Jędraszewski. Jednak w 1960 r. komuniści zniesli dni wolne od pracy w uroczystości Epifanii i Wniebowzięcia NMP. Według metropolity krakowskiego to „kolejny krok, by z serc katolickiej Polski jeśli nie całkiem wyrwać, to osłabić wiarę w Jezusa Chrystusa i jego przenaślwiąższą Matkę”. Dalej następowało (mało zaskakujące w nauczaniu tego hierarchy) wskazanie na kluczowe zagrożenie dla Kościoła i rodziny, jakim jest „antropologia nieograniczona” i płynąca z niej „ideologia gender”.

Zatrzymajmy się jednak na zacytowanym fragmencie, w którym abp Jędraszewski zdaje się definiować swoje podejście do wiary. Likwidacja dnia wolnego od pracy w katolickie święto stanowi dla niego „odrzućenie prawdy”, prowadzące z kolei do „osłabienia wiary”. Że komuni-

ści odrzucali wiarę – to truizm. Ale czy ta administracyjna zmiana wpłynęła na wiarę katolików? Masowa przynależność do Kościoła aż do początków XXI wieku dowodzi, że nie była ona związana z liczbą dni wolnych od pracy, ale miała korzenie sięgające głębiej.

Czy według metropolity krakowskiego państwo jest zobowiązane sporządzać listę dni wolnych od pracy zgodnie z kalendarzem liturgicznym dominującego związku wyznaniowego? I czy w takim razie Kościół pozbawiony państwowego wsparcia jest skazany na topnienie szeregów swoich wiernych? Czy przywileje dla instytucji stanowią o sile wiary jej członków? Ile warta jest wiara, którą załamuje konieczność pójścia do kościoła po południu? Tak było przed 2011 r. – w homiliach dominował wtedy temat... skandalu, jakim jest brak dnia wolnego 6 stycznia. Tak wtedy, jak i teraz w nauczaniu brakowało kwestii fundamentalnej – ewangelii. ©©

Papież, koty i króliki

„WIELE PAR NIE MA DZIECI, bo ich nie chce, albo mają tylko jedno, a dwa psy i koty” – powiedział Franciszek podczas pierwszej audycji generalnej. Wiele osób oburzyły te słowa. Papieżowi zarzucono, że chce nakładać na innych ciężary, których sam nie nosi. Ironizowano, że, mówiąc o bezdzietnych miłośnikach kotów, miał na myśli swego poprzednika. Przypominano, że jeszcze nie tak dawno przestrzegał katolickie małżeństwa, by nie „rozmnazały się jak króliki”.

Tyle że apel o odpowiedzialne rodzicielstwo pozostaje wciąż jednak apelem o rodzicielstwo. Macierzyństwo i ojcostwo – biologiczne, przybrane czy duchowe – nadaje sens życiu, mówi papież. Kto nie może mieć własnego potomstwa, powinien pomyśleć o adopcji, „jednej z najwyższych form miłości”, lub innym wsparciu dzieci bez rodziny. Troska o nowe pokolenie musi być priorytetem społeczeństw, spychanych przez egoizm i konsumpcjonizm w demograficzną przepaść.

Franciszek powiedział to samo, co mówili jego poprzednicy, tyle że obrazowo i zrozumiale dla ludzi wychowanych na mediach społecznościowych, gdzie – jak wiadomo – psy, koty i króliki mają największe zasięgi. ©© EDWARD AUGUSTYN

Kolejne uderzenie w jedność prawosławia

PATRIARCHAT MOSKIEWSKI przyjął pod swoją jurysdykcję 102 księży prawosławnych z 8 krajów afrykańskich i – łamiąc zasady – utworzył własny egzarchat Afryki. Święty Synod Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego uznał, że to konieczne wobec „schizmy”, w którą miał popaść patriarcha Aleksandrii Teodor II, popierając powstanie trzy lata temu autokefalicznego (niezależnego) Kościoła Ukrainy. Przedtem prawosławie w tym kraju podlegało Moskwie.

Decyzja ta oznacza pogłębienie rozłamu w świecie prawosławnym, którego pierwszym przejawem było zerwanie w 2018 r. przez Moskwę wspólnoty z patriarchą Konstantynopola, honorowym zwierzchnikiem prawosławia, a także z Kościołami Grecji, Aleksandrii i Cypru. Ukraiński religioznawca Dmytro Horiewoj uważa, że księżom afrykańskim sprawa autokefalii ukraińskiej jest obojętna i zostali po prostu przez Rosjan przekupieni. Zwierzchnik Prawosławnego Kościoła Ukrainy Epifaniusz komentował: „Widzimy, że patriarcha moskiewski Cyryl upodabnia się do Putina. Gdy nie mogą wpłynąć na pewne procesy, starają się dzielić”.

Utworzenie egzarchatu Afryki nie jest zapewne ostatnim krokiem Patriarchatu Moskwy. Jego przedstawiciele dają do zrozumienia, że „nie mogą odmówić opieki nad prawosławiem w Turcji” – co oznaczałoby tworzenie równoległych struktur kościelnych na terenie Patriarchatu Konstantynopola. ©© MAM

KULTURA W SKRÓCIE

BOWIE W WARNERZE

Wytwórnia Warner kupiła za ćwierć miliarda dolarów prawa do 26 albumów Davida Bowie, zyskując kontrolę nad dorobkiem artysty. Jeszcze w trakcie finiszowania umowy ukazał się zestaw albumów Bowiego z lat 1992-2001, wzbogacony niewydaną dotąd płytą „Toy” – od kilku dni dostępną także w serwisach streamingowych.

GAMMARUS STASIUKI

Ma już swoje hasło w Wikipedii. To gatunek skorupiak występujący m.in. w strumieniach Ukrainy, Rumunii i Beskidu Niskiego. Został opisany pod koniec 2021 r. przez biologów z Uniwersytetu Łódzkiego – Tomasa Mamosa, Michała Grabowskiego i Krzysztofa Jażdżewskiego – wielbicieli książek i publikowanych na naszych łamach felietonów Andrzeja Stasiuka.

GDAŃSK LITERACKI

Rodzinne miasto Güntera Grassa i Pawła Huellego będzie aplikowało do sieci Miast Literatury UNESCO. Starania o tytuł, który w Polsce posiadają już Kraków i Wrocław, zapowiedziano na 2023 rok.

GLOBY ROZDANE

W Los Angeles odbyła się 79. ceremonia wręczenia Złotych Globów. Za najlepsze filmy ostatniego roku uznano „Psie pazury” Jane Campion oraz musical „West Side Story” Stevena Spielberga (na zdjęciu), a za najlepsze seriale – „Sukcesję”, „Hacks” i „Kolej podziemną” na motywach powieści Colsona Whiteheada.



MATERIAŁ PRASOWY



YOMIURI SHIMBUN / AP / EAST NEWS

KAKIZOME to pierwsze słowa. A dokładniej: pierwsza kaligrafia wykonywana z początkiem roku. Tradycyjnie powstawała z użyciem tuszu mieszanego z wodą pobraną ze studni w Nowy Rok. Dziś skupienie się na wyobrażeniu sobie celów oraz zapisywaniu życzeń pomyślności ma sprzyjać oczyszczeniu myśli. W hali widowiskowej Nippon Budōkan w Tokio pierwszy raz po dwuletniej przerwie (wywołanej przygotowaniem do igrzysk i pandemią) odbył się konkurs kakizome zakończony wystawą najlepszych kaligrafii. Wzięło w nim udział ponad tysiąc osób. ©

Dyrektor na miarę PiS-u



PIOTR KOSIEWSKI

NIE POMOGŁY PROTESTY ŚRODOWISK ARTYSTYCZNYCH, krytyków i historyków sztuki ani związków zawodowych oraz publiczności warszawskiej galerii Zachęta. Decyzją Piotra Głińskiego jej nowym dyrektorem na czteroletnią kadencję został – bez konkursu – Janusz Janowski, malarz i prezes Związku Polskich Artystów Plastyków.

Zachęta ma kluczowe znaczenie dla polskiej kultury, od lat wyznacza standardy profesjonalizmu w dziedzinie realizacji wystaw, działalności wydawniczej i edukacyjnej. Tymczasem dorobek Janowskiego jest znikomy. Nigdy nie kierował dużą instytucją, organizował tylko wystawy o zasięgu lokalnym.

Właśnie upubliczniono zatwierdzony przez MKiDN program nowego dyrektora. Zapowiedział on realizację przyjętych już planów, ale też np. prezentację twórców jakoby rzadziej obecnych w obiegu artystycznym. Wymienił przy tym Magdalenę Abakanowicz i Edwarda Dwurnika – stale w tym obiegu obecnych! Planuje też organizację aż trzech triennale: malarstwa, rzeźby oraz rysunku i grafiki, choć podobne już się odbywają, zresztą formuła takich przeglądów wydaje się dziś przeżytkiem. Co więcej, liczba proponowanych wystaw przekracza możliwości nawet tak dużej galerii jak Zachęta. Najwyraźniej przed podpisaniem nominacji nikt nie zauważył braku przygotowania nominata ani osobliwości jego programu. Dlatego odpowiedzialność za dalsze losy Zachęty ponosi przede wszystkim Piotr Głiński. ©

Nowy test powikłań ciąży

MEDYCYNĄ CHĘTNIE SZUKA wskaźników, które z pewnym prawdopodobieństwem zapowiedzą stan zdrowia w przyszłości. Naukowcy z King's College w Londynie i amerykańska firma Mirvie opracowali test pozwalający z 75-procentową czułością wykryć wśród kobiet ciężarnych te, u których pojawi się stan przedrzucawkowy (preeklampsja) – i to na kilka miesięcy przed pierwszym objawem.

Stan przedrzucawkowy to groźna dla kobiety i dziecka sytuacja, w której ciśnienie krwi ciężarnej wzrasta, pojawia się uszkodzenie nerek, a w ciężkich przypadkach obrzęk płuc. Powikłaniem jest rzucawka, czyli napad drgawek. Szacuje się, że stan ten dotyczy nawet 1 na 12 ciąż.

Naukowcy badając obecne we krwi pacjentek cfRNA (czyli fragmenty materiału genetycznego będące śladem aktywności określonych genów), stworzyli wzorec prawidłowego przebiegu ciąży, a następnie porównali go z wzorcem obecnym w ciążach powikłanych preeklampsją. Badacze dzięki tej metodzie mają nadzieję wykrywać również inne powikłania ciąży.

© BARTOSZ KABAŁA

JAK SIĘ WŁAMUJE PEGASUS

NIETYKRYWALNA WIADOMOŚĆ

Użytkownik Pegasus wpisuje numer telefonu lub adres e-mail ofiary. System wysyła niewidoczną dla obiektu ataku wiadomość

INŻYNIERIA SPOŁECZNA

Cel otrzymuje SMS lub wiadomość w WhatsAppie zawierającą link. Po kliknięciu linku telefon w niezauważalny sposób pobiera instalator

TAKTYCZNY ELEMENT SIECIOWY

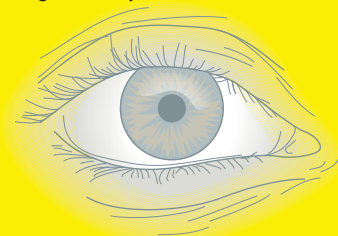
Gdy numer telefonu i e-mail ofiary są nieznane, w pobliżu celu należy umieścić urządzenie, które podszywa się pod komórkową stację bazową i potrafi pobrać potrzebne informacje

RĘCZNA INSTALACJA

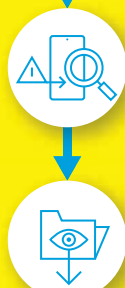
Możliwa jest po uzyskaniu fizycznego dostępu do urządzenia. NSO twierdzi, że proces trwa najwyżej 5 minut



Telefon w niezauważalny sposób pobiera instalator za pomocą serwerów uniemożliwiających użytkownikowi zlokalizowanie napastnika. Pegasus sprawdza, czy urządzenie jest z nim zgodne i czy nie ma numeru telefonu z krajów zastrzeżonych



Po weryfikacji w pamięci telefonu instalowane jest oprogramowanie szpiegowskie



KRAJE, W KTÓRYCH WYKRYTO INFEKCJE PEGASUSEM



ŹRÓDŁA:
CITIZEN LAB,
2018, BBC,
2021

JAK PEGASUS UNIKA WYKRYCIA

Ogranicza wykorzystanie pamięci urządzenia (najwyżej 5 proc. wolnej)

Nie instaluje się fizycznie w pamięci urządzenia



Ogranicza zużycie transferu danych (w roamingu łączy się z serwerami wyłącznie przez WiFi)

Ogranicza zużycie baterii (nieaktywny, gdy spadnie poniżej 5 proc. naładowania)



POBIERANIE DANYCH Z CHMURY

Pegasus klonuje hasła i loginy i przekazuje je na swój serwer

Serwer pobiera zgromadzone w chmurze użytkownika dane (nawet te sprzed wielu lat)



Dane przekazywane są operatorom systemu



JAKIE DANE GROMADZI PEGASUS



PASYWNE GROMADZENIE DANYCH

AKTYWNE GROMADZENIE DANYCH

WSZECHWŁADZA SŁABEGO PAŃSTWA

Rachunek szkód wyrządzonych przez sprawę Pegasusa obejmuje nie tylko naszą prywatność, ale też bezpieczeństwo całego kraju.

Tylko niepoważne służby mogły uznać,
że korzystanie z niego to okazja.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

IZRAELSKA FIRMA NSO GROUP, OD KTÓrej Centralne Biuro Antykorupcyjne miało kupić oprogramowanie szpiegowskie Pegasus, prawdopodobnie już „wyciągnęła wtyczkę”. Możliwe zresztą, że wkrótce nie będzie też jej samej, bo stoi na skraju bankructwa. W tej branży to nic niezwykłego, takie firmy regularnie znikają i pojawiają się następne. Bliźniaczko podobny do Pegasusa program Predator już jest na rynku.

Odcięcie polskich służb od Pegasusa żadnego problemu jednak nie rozwiązuje. Jeśli jego nabywcy uwierzyli, że tylko oni będą mieli dostęp do danych dzięki niemu pozyskanych, można to nazwać skrajnym frajerstwem, i zdaje się, że rząd w Warszawie już się o tym przekonał. Przede wszystkim jednak afera nazywana „polskim Watergate” bezwstydnie obnażyła słabość państwa.

Ślady

Prezentacja wygląda nudno jak instrukcja obsługi drukarki. Ciekawszy jest opis funkcjonalności systemu: podsłuchiwanie rozmów, zdalne włączanie kamery i mikrofonu, odczytywanie zaszyfrowanych wiadomości czy wykradanie haseł. Cyfrowe życie inwigilowanego podane na tacy interfejsu zaprojektowanego tak, by operator programu nie przemęczał się zbyttnio, przesiewając dane. To ulotka dla potencjalnych nabywców Pegasusa.

Pochodzi sprzed około siedmiu lat – dzięki niej wiadomo, że program już wtedy umożliwiał np. automatyczne włączenie podsłuchu, gdy cel znalazł się w konkretnym miejscu albo spotkał z inną monitorowaną osobą. Od zeszłego roku wiadomo, że Pegasus potrafi też już włamywać się do tzw. usług chmurowych, gdzie użytkownicy przechowują kontakty, zdjęcia i inne pliki.

– Sam moduł szpiegowski w takich programach nigdy nie jest najciekawszym ani najdroższym elementem systemu – mówi „Tygodnikowi” Claudio Guarnieri, szef Amnesty International Security Lab, specjalnej komórki zajmującej się bezpieczeństwem cyfrowym w znanej organizacji ochrony praw człowieka. – Naprawdę istotne są sposoby pozwalające na umieszczanie programu w urządzeniu wybranym na cel. Około roku 2013 i 2014 były to fałszywe wiadomości z linkami instalujące oprogramowanie szpiegujące. Dziś to tzw. exploity zero-click, które dają dostęp do urządzenia bez interakcji ze strony celu ataku.

Słowem, operator klika, a zaatakowany może się nigdy nie dowiedzieć, że był inwigilowany. Imponujące? Choć to narzędzie niemal totalnej inwigilacji, nie jest żadnym rolls-royce’em cyberszpiegostwa. Co najwyżej hałaśliwym hatchbackiem. – W rzeczywistości program niechlujnie się ukrywa – mówi Guarnieri. Pegasus zo-

stawia charakterystyczne ślady aktywności sieciowej i w sekwencji procesów wykonywanych na urządzeniu. Naukowcy z ośrodka badawczego Citizen Lab na Uniwersytecie w Toronto umieją te ślady rozpoznawać i od ponad sześciu lat tropią przypadki inwigilacji Pegasusem: – To nie jest trudne, kiedy wiesz, czego i jak szukać. Też opracowaliśmy własną metodologię badawczą po tym, gdy kilka lat temu celem ataku stał się jeden z pracowników Amnesty International – tłumaczy Guarnieri.

W lipcu 2021 r. wyciekła lista 50 tys. numerów domniemanych celów inwigilacji programem NSO. Firma tłumaczyła wówczas, że nie wie, co to za numery, bo ich nie gromadzi, ale że to musi być fałszywka, bo jej narzędziami aż tylu celów nie inwigilowano. Tyle że z ekspertyzy niezależnych ekspertów, którym przekazano wówczas kilkadziesiąt tych telefonów, wynika, że włamano się na nie Pegasusem. Rolls-royce’ów na masową skalę się nie sprzedaje.

Dziury

Amerykanin Jonathan Scott opublikował ostatnio w sieci fragmenty kodu i działające próbki Pegasusa. Twierdzi, że na technologii włamywania się do smartfonów zarobił przeszło 2 mln dolarów. Zlecenia dostawał m.in. od FBI i sieci komórkowych. – W tej branży oficjalnie

→ opracowuje się np. sposoby przywracania ustawień fabrycznych używanych telefonów, które oddają klienci. W praktyce to szukanie luk w zabezpieczeniach – wyjaśnia w rozmowie z „Tygodnikiem” Scott, który dziś kieruje działem cyberbezpieczeństwa w Celo i kończy doktorat na North Central University w Minnesocie.

Systemowe dziury i błędy, o których mówi, tzw. exploit, to najcenniejsza waluta w świecie cyberbezpieczeństwa. Trwa wyścig między twórcami oprogramowania a poszukiwaczami luk. Apple, Google czy Microsoft oferują po kilkaset tysięcy dolarów nagrody za znalezienie exploitów w ich oprogramowaniu. Każda aktualizacja zamyka te dziury, utrudniając działanie wirusów i programów szpiegujących. Ale tzw. brokerzy exploitów, tacy jak m.in. Zerodium, dają za nie nawet 2,5 mln dolarów, a potem z zyskiem odsprzedają. Np. firmom takim jak NSO – Miliony, jakie za korzystanie z Pegasusu płać rządy, to drobne w porównaniu z kosztami rozwoju i opracowania podobnych rozwiązań we własnym zakresie – twierdzi Guarnieri.

Podobnie jak Scott, karierę zaczęli Shalev Hulio i Omri Lavie, byli żołnierze Jednostki 8200 izraelskiego wywiadu wojskowego. Gdy zakładali firmę CommuniTake, popularny stawał się pierwszy iPhone; stworzyli program do zdalnego przejmowania kontroli nad smartfonami. Miał służyć wsparciu technicznemu klientów sieci komórkowych, którzy nie dawali sobie rady z obsługą urządzenia i prosili operatora o pomoc. Naprawdę dużych pieniędzy dorobili się jednak dopiero, gdy w 2010 r. do firmy dołączył trzeci wspólnik. Niv Carmi, były oficer Mosadu. To wtedy ich klientami zostały agencje rządowe z całego świata, oficjalnie zainteresowane ściganie terrorystów, pedofilów i handlarzy narkotyków. Pegasus formalnie do tego właśnie ma służyć.

Fakty

Do spotkania doszło w lipcu 2017 r. w Budapeszcie, a oficjalnie jego celem było „wzmocnienie współpracy w zakresie bezpieczeństwa i innowacji”. Podczas wspólnej konferencji prasowej z szefami rządów Grupy Wyszehradzkiej ówczesny premier Izraela Benjamin Netanjahu z uśmiechem Giocondy przekonywał: „To rynki dyktują, co działa, a nie ja. Jedynym, w czym faktycznie interweniowałem, jest cyberbezpieczeństwo”.

Wkrótce Polska i Węgry miały podpisać umowy na korzystanie z Pegasusu. Już wtedy izraelska prasa, raz po raz informując o działaniach NSO, sugerowała, że dla rządu Netanjahu to narzędzie polityki zagranicznej w myśl zasady: najpierw biznes, później zacieśnianie stosunków dyplomatycznych.

Budapeszt w listopadzie przyznał, że korzystał z Pegasusu, choć gdy latem wypłynęła lista 50 tys. numerów domniemanych celów inwigilacji, z których 300 było przedmiotem zainteresowania służb węgierskich, rządzący na Węgrzech zapierali się, że takiego programu ich państwo nie posiada. Dopiero dwa miesiące temu wiceprzewodniczący Fideszu Lajos Kósa oświadczył, że to „program jak każdy inny” i używany jest „zgodnie z prawem”. Wiceminister sprawiedliwości Pál Völner, który miał wydawać zgody na inwigilację Pegasusem m.in. dziennikarzy, podał się w minionym tygodniu do dymisji.

Polskie władze zdają się podążać węgierskim kursem. Najpierw próbowały afery wykić, a premier przekonywał, że to fake news. Później narracja się zmieniła na „nie ma dowodów, że to polskie służby używają Pegasusu” i „służby działają zgodnie z prawem, pod nadzorem prokuratora generalnego i sądu”. Wreszcie Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Sieci” pytany o Pegasusu powiedział, że „źle by było, gdyby polskie służby nie miały tego typu narzędzia”, a „opowieści o rzekomych tysiącach sprawdzanych telefonów są całkowicie pozbawione związku z rzeczywistością”. Wicepremier ds. bezpieczeństwa nie widzi powodów, by zwoływać komisję śledczą w celu wyjaśnienia sprawy: „Nie ma tu nic, żadnego faktu, poza histerią opozycji”.

Uporządkujmy zatem fakty:

■ Cztery lata temu Citizen Lab opublikowało raport stworzony na podstawie własnej metody identyfikacji serwerów, na które trafiały dane z zainfekowanych Pegasusem urządzeń. W ten sposób powstała lista 1014 domen zarządzanych przez 36 niezależnych od siebie grup. NSO ma od rządu Izraela zgodę na sprzedaż oprogramowania tylko służbom państwowym, analitycy Citizen Lab założyli więc, że to 36 różnych służb. To również wtedy wykryto ślady działań Pegasusu w sieciach wszystkich polskich operatorów sieci komórkowych.

■ W sierpniu 2019 r. magazyn „Czarno na białym” ujawnił, że rok wcześniej Fundusz Pomocy Pokrzywdzonym Ministerstwa Sprawiedliwości przekazał CBA 25 mln zł na „zakup środków techniki specjalnej służących do wykrywania i zapobiegania przestępczości”. Termin przekazania pieniędzy pokrywa się z momentem, który Citizen Lab wskazuje jako początek działania Pegasusu w Polsce. Po doniesieniach TVN24 przedstawiciele CBA i rządu powtarzali, że „państwo nie dysponuje żadnym masowym systemem inwigilacji Polaków”. Tę formułkę politycy PiS powtarzają zresztą i teraz. Sęk w tym, że Pegasus nie służy do „masowej inwigilacji”, tylko do inwigilacji określonej liczby osób (w zależności od wykupionego abonamentu, ale o tym za chwilę).

■ Pod koniec listopada 2021 r. prokurator Ewa Wrzosek poinformowała, że otrzymała od Apple wiadomość: „Sponsorowani przez państwo napastnicy mogli wziąć na cel twój telefon iPhone (...) prawdopodobnie wybrali cię ze względu na to, kim jesteś albo co robisz (...)”. Tego samego dnia podobne wiadomości otrzymało kilka tysięcy użytkowników iPhone’ów na całym świecie, a Apple w sądzie federalnym w Kalifornii złożyło pozew przeciw NSO w związku z łamaniem prywatności użytkowników. Citizen Lab potwierdziło serię ataków na telefon prokurator Wrzosek między czerwcem a sierpniem 2021 r. Warszawska prokuratura okręgowa odmówiła jednak wszczęcia śledztwa, bo nie dopatrzyła się znamion czynu zabronionego.

■ W grudniu o inwigilacji Pegasusem poinformowali adwokat Roman Giertych oraz senator Krzysztof Brejza. Na telefon Giertycha, wedle informacji, które przekazał, przeprowadzono 18 włamań. – Według analizy Citizen Lab mój telefon był atakowany 33 razy – mówi „Tygodnikowi” senator Brejza. – Najpierw 11 razy podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego, a potem, po krótkiej przerwie, były 22 włamania podczas kampanii parlamentarnej. Po wyborach ataki skończyły się, jak ręką odjął – opowiada. Podkreśla też, że chciałby zobaczyć wnioski do sądu, na podstawie których służby otrzymały zgodę na takie działania, szczególnie że wniosek o przedłużenie jego inwigilacji na czas trwania kampanii parlamentarnej „mógł być podparty

materiałami wykradzionymi i sfalszowanymi podczas pierwszej fali włamań”. Analizę telefonu senatora przeprowadziło Amnesty International Security Lab, potwierdzając wcześniejsze ustalenia Citizen Lab.

Choć rozsądek zgodnie z zasadą *is fecit, cui prodest* (ten jest winien, komu to przynosi korzyść) podpowiadał, kto i dlaczego używał u nas Pegasusa, to trzeba było czekać aż do zeszłego tygodnia. „Tu żadną tajemnicą związany nie jestem” – powiedział „Sieciom” Kaczyński w kontekście kampanii wyborczej, podczas której podsłuchiwany miał być senator Brejza. Pojawia się tu jednak paragraf 22 polskiego porządku prawnego. Zdaniem prawników, z którymi rozmawialiśmy, jeśli CBA dopełniła formalności (a nie wiemy, czy to zrobiła), to informacje o wykorzystaniu Pegasusa powinny być objęte ochroną na podstawie Ustawy o ochronie informacji niejawnych. A ona dla nikogo wyjątków nie czyni. Potwierdzenie zatem, że służby posiadają Pegasusa, przez przedstawiciela państwa, który tę wiedzę rzeczywiście posiada, może być złamaniem prawa.

Zasady

– Mleko już się rozlało i należy wyjaśnić, kto ponosi odpowiedzialność, że do takiej sytuacji w służbach doszło – mówi „Tygodnikowi” gen. Marek Dukaczewski, były szef Wojskowych Służb Informacyjnych.

Zdaniem niektórych ekspertów wykorzystywanie Pegasusa jest w Polsce nielegalne. – Powszechne jest to, że zgoda na stosowanie takich narzędzi jest udzielana na bazie przepisów dotyczących podsłuchów. Tymczasem takie programy to podsłuch, śledzenie i rewizja w jednym. Na dziś mamy tu więc z prawnego punktu widzenia Dzikiego Zachód – mówi Guarnieri. Na inny aspekt zwraca uwagę gen. Dukaczewski: – Sędzia badający zasadność stosowania technik operacyjnych może nie wnikać w to, jakie środki operacyjne zostaną użyte, ale wystawia postanowienie na ich stosowanie ważne w określonym czasie. To oznacza, że jeśli postanowienie zostanie wydane dzisiaj, służbom nie wolno pozyskiwać informacji z wczoraj. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że w sprawie senatora Brejzy doszło do ujawnienia jego SMS-ów z 2014 r. pozyskanych za pomocą Pegasusa, a na to zgody sądu nie było, bo nawet jeśli wydawał pozwolenie na inwigilację, to zrobił to w 2019 r. – zauważa.



MICHAŁ DYAKOWSKI

Atmosfera skandalu chyba nigdy nie przyczyniła się do bezpieczeństwa ani wiarygodności państwa. A to one są dziś stawką „polskiej Watergate”.

Nie przypadkiem wśród państw, które kupiły Pegasusa, są przede wszystkim kraje Bliskiego Wschodu, Ameryki Łacińskiej czy Afryki. Żadne nie jest modelowym państwem prawa.

Kto mógłby wszystkie wątpliwości rozwiązać? Takiej niezależnej instytucji w Polsce nie ma. Sejmowa komisja ds. służb specjalnych niezależna nie jest, bo w 2016 r. PiS zniósł w niej rotacyjne przewodnictwo i zdominowali ją politycy partii rządzącej. Zresztą komisja Pegasusem dotąd się nie zainteresowała. Wedle wypowiedzi jej członka Marka Suskiego dopiero to zrobi. Ale kiedy dokładnie, nie jest jasne.

Dwa i pół roku temu eksperci pracujący pod egidą Rzecznika Praw Obywatelskich w raporcie „Osiodłać Pegaza” dokładnie rozpisali, w jaki sposób Sejm mógłby powołać „niezależny organ, który

prowadziłby nadzór nad działalnością służb specjalnych” – na jakiej podstawie miałby działać, spośród kogo wybierać skład, a nawet jak funkcjonowałoby obsługujące go biuro. Powstało gotowe rozwiązanie. Odpowiedzi ze strony rządzących na tę propozycję brak.

Opozycja żąda powołania w Sejmie komisji śledczej i może to być jedyna racjonalna opcja, choć atmosfera skandalu chyba w żadnych okolicznościach nie przyczyniła się do budowy bezpieczeństwa ani wiarygodności państwa. A to one są dziś stawką „polskiej Watergate”.

Tarapaty

Zeszłoroczne śledztwo analityków Amnesty International Security Lab oraz 17 największych redakcji świata koordynowanych przez francuską organizację Forbidden Stories wskazało, że celem inwigilacji Pegasusem mogło być trzech urzędujących prezydentów, trzech premierów, król, siedmiu byłych szefów rządów oraz kilkudziesięciu ministrów, działaczy związkowych, obrońców praw człowieka, naukowców i aż 180 dziennikarzy – w tym m.in. CNN, „New York Timesa” i Al Jazeera. Ślady programu znaleziono też m.in. w telefonie zamordowanego w 2017 r. meksykańskiego dziennikarza Cecilia Pinedy Birta.

To wszystko sprawiło, że o NSO zrobiło się głośno, ale firma wpadła w wielkie problemy z innego powodu – podobno przez amerykańskich dyplomatów w Ugandzie. Gdyby używali amerykańskich numerów telefonów, to przy pomocy Pegasusa nie dałoby się ich zhakować, bo ma on być zaprogramowany tak, że wykrywszy numer amerykański albo izraelski, po prostu się nie instaluje. Urzędnicy Departamentu Stanu USA w Ugandzie używali jednak numerów lokalnych. Ktoś – nie jest do końca jasne kto, bo Uganda i Rwanda mają oprogramowanie NSO – zaczął ich inwigilować, na co Biały Dom odpowiedział na początku listopada sankcjami nałożonymi na NSO oraz Candiru – także izraelską firmę, sprzedającą konkurencyjne względem Pegasusa narzędzie. Teraz żadna firma z USA bez specjalnego zezwolenia nie może im sprzedać nawet śrubki. Tymczasem istnienie NSO i podobnych jej firm zależy właśnie od kupowania amerykańskich „cyberśrubek” – np. exploitów, których największy rynek znajduje się w USA.

→ Sankcje mogą zagrażać potężnemu biznesowi (w zeszłym roku izraelskie start-upy cyberbezpieczeństwa zebrały od inwestorów niemal 9 mld dol., a inwestycje w tamtejszy sektor stanowiły 41 proc. całego globalnego rynku). Przede wszystkim jednak Waszyngton to najważniejszy sojusznik Izraela, który na zagrożenie dla tej relacji zareagował szybko i stanowczo. 25 listopada ograniczył liczbę krajów, do których wolno sprzedawać izraelskie narzędzia do cyfrowej inwigilacji. Lista 102 krajów została ścięta do 37. Zniknęły z niej m.in. Arabia Saudyjska i Maroko, ale też Polska i Węgry.

Powodu, dla którego nas skreślono, oficjalnie nie podano. Sugeruje to jednak co najmniej obawy, że oprogramowanie jest wykorzystywane niezgodnie z przeznaczeniem. Agencja Kontroli Eksportu izraelskiego MON jasno określiła, że jest nim „zwalczanie terroryzmu” lub „poważne przestępstwa”, a nie wolno go stosować „do wyrządzania krzywdy jednostce lub grupie osób ze względu na ich religię, płeć, rasę, przynależność etniczną lub narodową, orientację seksualną, poglądy, przynależność polityczną, wiek lub status osobisty”. W przypadku naruszenia tych warunków Izrael ma prawo do cofnięcia licencji eksportowej firmie sprzedającej oprogramowanie za granicę.

W tym miejscu dochodzimy do dwóch zasadniczych kwestii: „odłączenia wtyczki” od Pegasusu polskim służbom oraz tego, skąd izraelskie władze miałyby wiedzieć, czy program jest wykorzystywany zgodnie z przeznaczeniem.

Szkody

Pogląd na to, jak może wyglądać licencja na Pegasus, dają informacje dziennika „Haaretz”, który ustalił, że podstawowy poziom pozwala klientowi NSO śledzić jednocześnie 25 urządzeń na terytorium własnego kraju. Za pakiet dla bardziej wymagających trzeba dopłacić. Ile? Citizen Lab dotarło do analogicznych danych o Candiru. Opcja podstawowa kosztuje 16 mln euro (prawie 73 mln zł). Za dodatkowe 1,5 mln euro klient może śledzić kolejnych 15 urządzeń i infekować telefony w jednym obcym kraju. Skoro swoje usługi NSO sprzedawało jak hatchbacki, zapewne było taniej niż w Candiru.

NSO „nie potwierdza i nie dementuje tożsamości klientów”. Firma ani izraelskie MON nie odpowiedziały nam na pytanie, czy ze służbami państw skreślonych z listy automatycznie zerwano umowy.

Fakt, że tak się stało, nieoficjalnie potwierdza nasz rozmówca zaznajomiony ze sprawą. – Izraelowi za bardzo zależy na dobrych relacjach z USA, by było inaczej – utrzymuje. Inny nasz rozmówca za uważa, że już pod koniec zeszłego roku bliski współpracownik polskiego ministra spraw wewnętrznych pojechał do USA zabiegać, by licencji – nie tylko na Pegasus, ale także m.in. na amerykańskie oprogramowanie do monitoringu sieci – nam nie cofano. Ale wrócił z niczym.

Skąd Amerykanie albo Izraelczycy mieliby wiedzieć, czy klient łamie warunki użytkowania szpiegującego oprogramo-

wania? Aby ukryć tożsamość użytkowników Pegasus, komunikacja między nimi a zainfekowanym urządzeniem odbywa się przez rozbudowaną sieć serwerów anonimizujących – dane, nim trafiają do odbiorcy, wędrują z kontynentu na kontynent. Można sobie wyobrazić, że na którymś z etapów tej sztafety są klonowane, a kopia trafia nie tylko do jednego odbiorcy. NSO zapewniała nas, że „nie ma wglądu w dane gromadzone przez jej użytkowników”.

Nawet jeśli to prawda, to niekoniecznie NSO musi być owym dodatkowym odbiorcą.

Cytowane przez „Washington Post” źródła w amerykańskim wywiadzie twierdzą, że izraelskie służby mają dostęp do informacji zbieranych przez Pegasus. Podobnego zdania są źródła „Guardiana”. Citizen Lab dotarło do sądowych materiałów, z których wynika, że obsługujące NSO serwery nie zawsze znajdują się w państwach ich użytkowników, co ułatwiłoby wgląd w zbierane informacje. „Dla Izraela szaleństwem byłoby nie mieć takiego wglądu”, twierdzi John Scott-Railton z Citizen Lab. Tę opinię podziela gen. Dukaczewski: – Ja bym takiej okazji nie przegapił – mówi. Inny wysoki rangą polski oficer dodaje: – W zasadzie każda poważna służba takiej okazji by nie przegapiła, a tylko niepoważna służba mogła uznać, że korzystanie z Pegasusu to okazja.

To nie koniec. Analizując kod Pegasus, Jonathan Scott znalazł w nim komentarze w języku chińskim, a próbka,

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński,
Marek Rabin, Mariusz Sepiolo, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięćlak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięćlak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dzierżdzikowska,
Maja Kuczmńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Maślowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Lubiński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocui,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

którą dysponuje, próbowała nawiązywać połączenie z chińskimi serwerami firmy Tencent. Możliwe powiązania między NSO a Chinami Claudio Guarnieri nazywa „lipą”, ale Scott obstaje przy swoim: – Kod mówi sam za siebie.

Nie przypadkiem wśród państw, które kupiły Pegasus, są przede wszystkim kraje Bliskiego Wschodu, Ameryki Łacińskiej czy Afryki. Żadne nie jest modelowym państwem prawa. Dla wielu zakup tego narzędzia był zapewne próbą zbudowania namiastki skutecznego służb – na skróty, po tanioci, od końca i bez fundamentu zapewniającego profesjonalizm. W ten sposób, zamiast poważnych instytucji, mamy niebezpieczne gierki gadżetami.

– Po wyjściu z bloku wschodniego Polsce ponad 20 lat zajęło znalezienie się na mapie poważnie traktowanych aktorów międzynarodowej sceny bezpieczeństwa. Koszty, które ponieśliśmy, były różnorodne, od operacji „Samum” po udział w operacjach w Iraku i Afganistanie. Mniej więcej trzy razy krócej trwało zburzenie właściwie wszystkich tych osiągnięć – mówi „Tygodnikowi” dr Paulina Piasecka, dyrektorka Centrum Badań nad Terroryzmem im. Krzysztofa Liedela w Collegium Civitas. – A zrobiliśmy niemało, by do tego doprowadzić, poczynając od raportu o likwidacji WSI, przez włamanie do natowskiego Centrum Ekspertkiego Kontrwywiadu, aż po stosowanie narzędzi takich jak Pegasus w sposób, który lokuje nas na liście niedemokratycznych reżimów.

Jej zdaniem osłabienie zaufania międzynarodowych partnerów pozbawia nas dostępu do cennych źródeł informacji. – Oślepią nas na wiele zagrożeń – wyjaśnia. – Wobec rosnących napięć w regionie i w skali globalnej, ale także elementów konfliktu hybrydowego w bezpośrednim otoczeniu Polski, warto się zastanowić nad ceną, jaką możemy zapłacić za działania krótkowzroczne i podejmowane głównie ze względu na wewnętrzne cele polityczne.

© AGATA KAŻMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Od podsłuchu cena chleba nie zależy

BARTEK SYTA / MATERIAŁY
PRASOWE IBRIS



MARCIN DUMA, BADACZ OPINII, PREZES IBRIS:

Polacy nie czują, że sprawa Pegasus ich dotyczy, mają dziś inne problemy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Aż 75 proc. respondentów, w tym 40 proc. wyborców PiS, uważa podsłuchiwanie opozycji za niedopuszczalne – pokazały właśnie badania Ipsos dla OKO.Press. Pan odpowiedział na to na Twitterze, że temat Pegasus ma dla Polaków bardzo niski priorytet: po epidemii, cenach, granicy, „lex TVN”, relacjach z UE i edukacji.

MARCIN DUMA: Ścisłej – prawie na równi z edukacją. Zareagowałem, bo tytuł wiadomości o tym sondażu sugerował, że 75 proc. Polaków jest oburzonych sprawą Pegasus i że wynikną z tego problemy dla rządu. Rzeczywiście, ten wynik, gdy chodzi o skalę i to, jak przekracza granice między bańkami, wygląda porażająco. Ale już gdy przyjrzeć się innemu pytaniu z tego samego badania – o tematy poruszane przy wigilijnym stole, czyli o te najbardziej angażujące – okaże się, że Kowalscy nieszczególnie żyją Pegasusem.

Wskazało ten temat niewiele ponad 5 proc. badanych. Inflację – prawie 40 proc. Czym tłumaczy Pan ogromną rozbieżność między brakiem przywołania na inwigilację opozycji a nikłym zainteresowaniem tą konkretną sprawą?

Otóż tym właśnie, co pokazują dane: że Polacy najbardziej przejmują się tematami, które bezpośrednio ich dotyczą. „Jaki Pegasus?! – zapyta Kowalski. – Kto by mnie chciał podsłuchiwać? Ja nie mam nic na sumieniu. To dotyczy polityków, dziennikarzy, ale to nie mój świat. Mnie interesuje, ile zapłacę za prąd i gaz, za chleb, mąkę, cukier, masło i olej”.

Sprawa Pegasus nie odpowiada nam na pytanie „w jakim ja kraju żyję”, tylko „w co ze sobą grają politycy”? Dokładnie tak. Od tego, czy mnie ktoś podsłuchuje, cena chleba nie zależy.

Jeszcze.

Oczywiście, Pegasus powinien Polaków interesować, bo to sprawa z punktu wi-

dzenia reguł demokracji fundamentalna. Tylko co z tego, gdy przypadła akurat na moment, kiedy mamy całkowicie inne problemy. Ludzka hierarchia potrzeb zaczyna się od rzeczy podstawowych: czyli poczucia bezpieczeństwa – dlatego wysoko w badaniach pojawia się temat granicy wschodniej – i spraw bytowych – to covid i ceny. Dopiero potem jest miejsce na całą resztę.

Pegasus nie jest o bezpieczeństwie? Nie o bezpieczeństwie Kowalskiego.

Co by się musiało stać, żebyśmy poculi, że to nas też dotyczy?

Trzeba by najpierw zaspokoić te bardziej podstawowe potrzeby z piramidy. Argument, że skoro dziś podsłuchują Breję, to jutro mogą podsłuchiwać mnie – nie zadziała, bo Polacy nie są dziś sobie w stanie zwizualizować sytuacji, w której dobierają się do nich rząd, partia, Ziobro i Kamiński. Bo i po co?

Czy nie ma tu analogii z „wolnymi sądami?” Dla niewielu Polaków to była ich sprawa.

Otóż nie ma. Sprawy „wolnych sądów” czy „wolnych mediów” wpadły w pułapkę polaryzacji: gdy mówi się „tak” lub „nie”, bo uważa tak moja strona, a nie dlatego, że dokonano się analizy racji. A w sprawie Pegasus wyrok 40 proc. wyborców PiS jest jednak jednoznacznie negatywny. Polaryzacja już tu nie działa.

Polacy nie zbuntują się przeciwko temu, że politycy się szpiegują, zamiast zająć się covidem oraz inflacją?

Nie sądzę. Wyborcy opozycji się nie obrażą za to, że jest ona podsłuchiwana i o tym mówi, przeciwnie. Wyborcy PiS wytworzyli sobie zaś słuch selektywny – odrzucają tematy, które zaburzają im wizję świata. „Pegasus jest zły, ale skupmy się na innych sprawach”.

© P ROZMAWIAŁ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

„Tygodnik Powszechny”

– artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu!

Czytelniczko, Czytelniku!

Kupujesz pismo w kiosku? Na stacji? W saloniku prasowym?

A może rozważysz zakup **TYGODNIKA** z dostawą do domu?

To wygodne, pewne, szybkie i bezpieczne, a dodatkowo na początku lutego dostaniesz W PREZENCIE nasz autorski notes kulinarny „Smaki” – dostępny WYŁĄCZNIE dla Prenumeratorów! **Wybierz najlepszą dla siebie opcję dostawy** – przeczytasz o nich na sąsiedniej stronie, a dostaniesz „Smaki” bez dodatkowych kosztów.



ZAMÓW NA

TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
już od 155 zł

**CIESZ SIĘ
WYSMAKOWANYM
PREZENTEM!**

*Czytelniku!
Jeżeli będziesz gotował brukselkę trzymając się wskazówek
tego notesu, to odkryjesz, że na etapie posypywania jej
wędzoną papryką zwykła brukselka staje się arcydziełem
sztuki, a Ty, wykonawca koncertu, jesteś artystą.*

Ks. Adam Boniecki



ks. Adam Boniecki
redaktor senior

Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

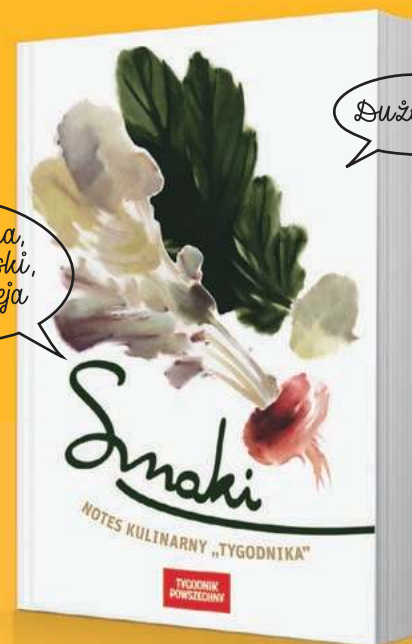
**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES | **manago**
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!



Notes kulinarny
„Smaki”
otrzymasz już
na początku lutego
na nasz koszt!



MAŁGORZATA

Kordowicz: Kłamstwa



CZY ZAWSZE NALEŻY W OBECNOŚCI PANA młodego wychwalać jego wybrankę? – zastanawiają się rabini w Talmudzie. Pismo poucza wszak: „Od orzeczenia fałszywego stroń” (Wj 23, 7; Cylkow), może więc ograniczyć się do prawdziwych zalet owej nie-

wiasty? Warto dodać, że kontekst dyskusji sugeruje, iż uwagi dotyczą li tylko kobiecej powierzchowności. Jeden mędrzec klaruje drugiemu: jeżeli ktoś nabył na rynku towar gorszego sortu – czy winniśmy towar pochwalić i zwiększyć jego wartość w oczach nabywcy, czy też skrytykować go i pomniejszyć wartość towaru w jego oczach? Jako że w kontaktach z innymi należy kierować się empatią, stąd ostatecznie można chwalić pannę młodą przy panu młodym i mówić, że jest piękna i powabna, nawet jeśli tak nie jest. Talmud zaświadcza, że na zachodzie (czyli, z babilońskiej perspektywy, w Izraelu) śpiewa się pannom młodym: „Nie ma cienia do powiek, nie ma różu, nie ma zaplecionych włosów, a jednak można ją porównać do wdzięcznej łani”.

Z prawdą celowo mija się sam Wiekuisty. Słyszac zapowiedź swojego zajścia w ciążę, Sara śmieje się w duchu: „Czyżbym po zwiędnięciu mojem miała doznać rozkoszy? – a pan mój starcem” (Rdz 18, 12). Natomiast w kolejnym wersie Najwyższy pyta Abrahama: „Czemuż to śmiała się Sara mówiąc: czyżbym rzeczywiście rodzić miała, gdy się zestarzałam?”. Rabini wyrokuje: pokój – nie tylko między małżonkami – jest taką wartością, dla której wolno minąć się z prawdą. W tym kontekście rozpatrują słowa Józefowych braci, którzy po śmierci Jakuba „wysłali do Josefa tak: »Ojciec twój nakazał przed śmiercią swoją, mówiąc: Tak powiecie Josefowi: Proszę cię, chciejże przebaczyć winę braci twoich i grzech ich, że zło wyrządzili ci! A teraz przebacźże winę sług Boga ojca twojego!«. I zapłakał Josef, gdy tak przemówiono do niego” (Rdz 50, 16-17).

Komentatorzy nie mają złudzeń: Jakub niczego takiego nie nakazał, ponieważ nie miał żadnych obaw dotyczących postępowania Józefa wobec braci po swojej śmierci. Niektórzy jednak czują związany z powoływaniem się na rzekome słowa ojca dyskomfort i radzą sobie z nim dwójako, podpierając się midraszami. Po pierwsze: do Józefa musiał pójść ktoś z rodziny, by wina braci nie wyszła na jaw. Targumy – aramejskie przekłady Pisma – zachowują tę tradycję: według jerozolimskiego idą dzieci Bilhy, służącej Racheli (to z nimi często w dzieciństwie przebywał Józef, zob. Rdz 37, 1-2), wedle targumu Jonatana – sama Bilha (jeśli kobieta nazmyśla, to będzie w porządku?). Po drugie: niepokój braci tłumaczy się tym, że gdy kondukt pogrzebowy Jakuba mija dół, do którego bracia wrzucili nastoletniego Józefa, ten poświęca owemu miejscu chwilę refleksji. Dlaczego Józef płacze? Mało co tak boli, jak brak zaufania. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Stół i ołtarz



EWANGELISTA JAN OPOWIADANIE O PRZEMIENIENIU wody w wino zakończył zdaniem: „Taki początek znaków uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i tak objawił swoją chwałę, a Jego uczniowie uwierzyli w Niego”. Tenże Jan podaje również, że

gdy po nieudanym połowie Piotr i pozostali uczniowie „wysiedli na brzeg, zobaczyli rozniecone ognisko, położoną na nim rybę oraz chleb” i Jezusa zmartwychwstałego, który powiedział: „Chodźcie coś zjeść”. Także ewangelista Marek wspomina: „Wreszcie [Jezus] ukazał się Jedenastu, gdy byli za stołem, i wyrzucił im brak wiary i zatwardziałość serca, bo nie wierzyli tym, którzy widzieli Go zmartwychwstałego”. Poza tym Jezus dawał się zapraszać w gościnę tak, że w oczach przeciwników uchodził za obżarciucha i pijaka. Słowem wiele najważniejszych wydarzeń miało miejsce przy stole w czasie posiłku. Tymczasem obecnie przy Stole Pańskim robi się coraz luźniej. Spada liczba uczestników na niedzielnych mszach.

Niektórzy z biskupów przyczyny tego mszalnego kryzysu dostrzegają w strachu przed zarażeniem koronawirusem, w limitowaniu miejsc w kościołach, jak też w dyspensach od uczestniczenia w niedzielnej Eucharystii czy w przyzwyczajeniu do oglądania mszy w mediach. Zawiedli się też ci, którzy twierdzili, że po ustaniu pandemii wszystko powróci do normy, zwłaszcza „dzieci zaśękną za katechezą”. Jeden z biskupów tak tę kwestię ujął: „Podobnego zjawiska spodziewaliśmy się w odniesieniu do kwestii chodzenia do kościoła. Mieliliśmy nadzieję, że wierni zauważą, że od coniedzielnego oglądania mszy św. w telewizji ważniejsze jest realne spożywanie Ciała i Krwi Pańskiej. Niestety, w dużej części tak się nie stało”. Natomiast prymas Wojciech Polak stwierdza: „Niepokojące są badania CBOS-u, z których wynika, iż w najmłodszej grupie badanych spadek praktyk religijnych sięga 30 proc. To są liczby wręcz dewastujące. Pokazują, że w młodym pokoleniu następuje bardzo mocne przewartościowanie. To domaga się poznania przyczyn tego procesu i znalezienia adekwatnej odpowiedzi duszpasterskiej i sposobu, jak głosić tym ludziom kerygmat”.

Zwykle takie nieszczęścia jak epidemie powodowały wzrost praktyk religijnych; tym razem stało się inaczej. Widocznie nie w tzw. zaświatach szukano ratunku. Ale tę zmianę należy uznać za dobry znak, co powinno zmuszać do krytycznego popatrzenia na dotychczasowy kerygmat. Odchodzący z Kościoła i rezygnujący z sakramentów nie stają się automatycznie wrogami Boga i chrześcijan. A to znaczy, że nie Bóg rozczarował ludzi, ale Kościół. Czy nie nadszedł czas na przesunięcie akcentów i przypomnienie sobie, że zanim Kościół zaczął gromadzić się przy ołtarzu, by składać ofiarę, zbierał się przy stole, by dzielić się chlebem? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Ku przestrodze

*Kto kuje żelazo,
zastanawia się najpierw,
co chce z niego zrobić:
czy sierp, czy miecz,
czy siekiere. Także i my
powinniśmy się
zastanowić, jaką cnotę
chcemy wypracować,
żeby nie trudzić się
na próżno.*

ANTONI WIELKI



*Kto wnika w trudności,
ten ich nie doznaje.*

LAOZI



SŁOWO, ODCZYTUJĄC nasze życie (*lectio divina*), wzbudza w nas bardzo różne emocje – czasami radość i nadzieję, innym razem lęk i smutek. Zawsze jednak jest Dobrą Nowiną, gdyż zawsze wypowiedziane jest przez Pana z miłością. Takie właśnie słowo, będące mocną przestrogą, skierował ku nam Pan w liturgii przed tygodniem.

Myszę o następującym fragmencie Pierwszego Listu św. Jana: „Taka jest nowina, którą usłyszeliście od początku, że mamy się wzajemnie miłować. Nie tak jak Kain, który pochodził od Złego i zabił swego brata. A czemu go zabił? Ponieważ czyny jego były złe, brata zaś sprawiedliwe” (zob. 1 J 3, 11-21).

Co jest najbardziej przerażającego w tym tekście?

Z całą pewnością stwierdzenie, iż „Kain pochodził od Złego”. Ta konstatacja św. Jana rzeczywiście przeraża – w szczególności jeśli ją zestawimy z fragmentem Księgi Rodzaju opowiadającym o narodzinach Kaina. Czytamy tam: „Mężczyzna zbliżył się do swojej żony Ewy. A ona poczęła i urodziła Kaina, i rzekła: Otrzymałam mężczyznę od Pana” (Rdz 4, 1).

Wydając Kaina na świat, Ewa ma pewność, iż jest on darem Pana – to właśnie w wykładzie Biblii znaczy imię „Kain”: „otrzymany [od Pana]”. Biblia w punkcie wyjścia zachwyca

się Kainem; jest absolutnie pewna, iż „pochodzi on od Pana” – matka określiła go dumnym słowem „mężczyzna” – w zdecydowanym kontraście do młodszego brata, Abła, którego imię znaczy tyle, co „marność” (jak Koheletowy refren: „marność nad marnościami; wszystko marność”).

Jakże więc to się stało, że Kain, pierworodny syn Adama – dar od Boga – stał się kimś, kogo natchnione słowo Nowego Testamentu nazywa „pochodzącym od Złego”?

Nie znamy odpowiedzi na to pytanie. Nie wiemy, jak to się stało. Wiemy, że się stało! A skoro się stało – może się... powtórzyć. Na mnie; na Tobie; na każdym.

Każdy z nas jest „otrzymanym od Pana” – nosimy w sobie niezwykłą godność podobieństwa do Jedyne, Bożego Syna, wyposażeni w dary, talenty i możliwości. Nie oznacza to jednak, że jesteśmy „skazani” na dobro, zdeterminowani i pozbawieni decyzji.

Wszystkiemu, co otrzymaliśmy i kim jesteśmy w Bożym, stwórczym marzeniu, możemy zaprzeczyć – aż po skrajne przeciwieństwo.

To uderzające, że tym, który nas przed tym przestrzega, jest Jan – uczeń Miłości. Mówi też, w jaki sposób to się zaczyna: „Jeśliby ktoś posiadał na świecie majątek i widział, że brat jego cierpi niedostatek, a zamknął przed nim swe serce, jak może trwać w nim miłość Boga?”. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (16 – 23 I)

2. niedziela zwykła: Iz 62, 1-5; Ps 96;
1 Kor 12, 4-11; J 2, 1-12;

Poniedziałek: 1 Sm 15, 16-23;
Ps 50; Mk 2, 18-22;

Wtorek: 1 Sm 16, 1-13; Ps 89; Mk 2, 23-28;
Środa: 1 Sm 17, 32-33. 37. 40-51;

Ps 144; Mk 3, 1-6;

Czwartek: 1 Sm 18, 6-9; 19, 1-7;
Ps 56; Mk 3, 7-12;

Piątek: 1 Sm 24, 3-21; Ps 57; Mk 3, 13-19;
Sobota: 2 Sm 1, 1-4. 11-12. 19. 23-27;

Ps 80; Mk 3, 20-21;

3. niedziela zwykła: Ne 8, 2-4a. 5-6. 8-10;
Ps 19; 1 Kor 12, 12-30; Łk 1, 1-4; 4, 14-21.

Wybrał PIOTR SIKORA

WIATREM PO OCZACH

Mocy, by kontynuować polityczną rewolucję, w obozie władzy już nie ma. Zmęczony Jarosław Kaczyński nie jest w stanie zapobiec gniciu partii i wydzieraniu stanowisk publicznych. Wyborcy już to dostrzegli.

KAROLINA LEWICKA

STAŁO SIĘ TO, CZEGO DŁUGO UDAWAŁO się unikać. Sondaże partii władzy pikują. Jeszcze na początku 2020 r. chciało na PiS głosować 44 proc. Polaków i nawet późniejsze, ogromne protesty po wyroku Trybunału Konstytucyjnego zaostrażającym prawo antyaborcyjne nie strąciły partii Kaczyńskiego z pozycji lidera. Kolejne miesiące 2021 roku miały być dla obozu władzy, pomimo pandemii, mocnym zastrzykiem

energii, który zostawi opozycję daleko w tyle.

Tymczasem Polski Ład, uważany przez stronników Mateusza Morawieckiego za sondażową trampolinę, nie zawładnął masową wyobraźnią. A kryzys humanitarny na granicy z Białorusią, który usiłowano wyzyskać do cna zożywając ludzi marznących w lasach, dał PiS-owi tylko chwilową poprawę notowań – do drugiej

połowy października, kiedy to partia zaliczyła kolejne tąpnięcie. Jak donieśli analitycy CBOS-u: „pomiar przyniósł dość wyraźną zmianę w układzie sił na naszej scenie politycznej” – PiS nadal było na czele, ale pierwszy raz spadł poniżej 30 proc. (28 proc. w drugiej połowie października, 29 proc. dwa tygodnie później), tracąc poparcie nawet wśród emerytów, wierzących oraz osób o prawicowych poglądach. W połowie grudnia w sondażu Kantar Pu-



blic PiS miało już tylko 28 proc. poparcia i zaledwie 2 punkty procentowe przewagi nad PO.

– Nadal kilka milionów ludzi ślepo popiera partię Kaczyńskiego – podkreśla prof. Mikołaj Cześnik z Uniwersytetu SWPS i Fundacji Batorego. – Ale wiele wskazuje na to, że odtąd droga tego ugrupowania będzie wiodła pod górkę, a w oczy powieje wiatr. Obóz władzy jest zmęczony, narasta w nim napięcie, lider zaś najlepsze lata ma już za sobą. To się musi zacząć sypać.

Propaganda przegra z masłem

Chociaż dziś Kaczyński przyznaje, że nie dziwi się złorzeczeniom Polaków na ceny w sklepach, to jednak władza długo bagatelizowała ich wzrost. Jeszcze latem kolejne dane GUS-u (5 proc. w lipcu, 5,5 proc. w sierpniu, 5,9 proc. we wrześniu) komentował uspokajająco sam szef rządu: „Owszem, rośnie inflacja, ale wynagrodzenia Polaków rosną jeszcze szybciej. A jeśli płace rosną szybciej niż ceny, to znaczy, że możemy kupić więcej”. Za kulisami toczyły się wtedy koalicyjne negocjacje z Jarosławem Gowinem. Wiceprezes Porozumienia Michał

Wypij wspomina, że podczas ostatniej, blisko sześciogodzinnej rozmowy „ostatniej szansy” na agendzie pojawiła się także inflacja: – Nasi eksperci tłumaczyli, że Polski Ład może ją podbić, domagaliśmy się zdecydowanych działań, w tym podwyżki stóp procentowych. Ale Morawiecki przekonywał nas, że do października inflacja będzie zduszona, a do końca roku w ogóle o niej zapomnimy.

Wczesną jesienią zatem, gdy inflacja nieubłaganie się rozpędzała, w mediach brylował wicepremier Henryk Kowalczyk radośnie tłumaczący Polakom, że jeśli dostali 20-procentową podwyżkę pensji, to po odliczeniu 6 proc. inflacji i tak zostaje 14 proc. na plusie! Ekonomisci, słysząc te wzięte z sufitu dane o podwyżkach płac, łapali się za głowy. Polacy także nie kupili tej argumentacji. Wzrost cen został zauważony przez 98 proc. z nas, a inflacji obawiamy się bardziej niż pandemii oraz wojny. Stąd trudno zrozumieć tę początkową dezynwolturę PiS-u, skoro to przecież inflacja najsilniej zakłóca wykreowany przez propagandę partyjną wizerunek władzy jako gwaranta świetnie funkcjonującej gospodarki oraz powszechnego dobrobytu. Czyli dotkliwie gozdi w obietnicę lepszego i bogatszego jutra, na której Prawo i Sprawiedliwość najpierw doszło do władzy, a przez ko-

lejne lata utrzymywało na scenie politycznej hegemoniczną wręcz pozycję. To się w 2021 r. załamało, a ludzie coraz częściej odpowiadają negatywnie na pytanie, czy żyje się im lepiej. I coraz mocniej obawiają się przyszłości.

– Nie istnieje taka propaganda, która zdoła przykryć wzrost cen masła, chleba i kilograma kurczaka. Bo to nie jest kwestia ideologiczna, tylko codzienne, wspólne doświadczenie każdego obywatela przy kasie w sklepie – mówi Jakub Bierzyński, socjolog i jeden z założycieli SMG/KRC Poland, największej w Polsce agencji badań rynkowych. – Jeśli ludziom żyje się lepiej, to łatwiej dają wiare propagandzie, by uzyskać w ten sposób spójny obraz świata: skoro ja mam się dobrze, to i ta władza musi być niezgorza. Ale gdy biedniejemy, to znikają powody, by wciąż wierzyć narracji sączącej się o 19.30 z TVP.

Potem rodzi się kolejny znany mechanizm społeczny: ludzie zaczynają na nowo układać w głowach obraz otaczającej ich rzeczywistości. Widzą wyraźnie, że im się pogorszyło, a obwiniają o to, jakżeby inaczej, polityków sprawujących władzę. Wtedy też dopiero zaczynają →

*Ryszard Terlecki, Jarosław Kaczyński
i Mariusz Błaszczak. Sejm, kwiecień 2016 r.*



→ docierać do powszechnej świadomości liczne afery obozu rządzącego, wcześniej ignorowane lub bagatelizowane zgodnie ze starą zasadą: „może i kradną, ale przynajmniej się z nami dzielą”.

– W pewnym momencie następuje przekroczenie masy krytycznej, balonik pęka, a władza lawinowo traci poparcie. To kwestia kilku miesięcy, czasem idzie to jeszcze szybciej – ocenia Bierzyński. Zdaniem socjologa zbliżamy się do tego przełomu, tym bardziej że końca inflacji wciąż nie widać i nawet prezes NBP Adam Glapiński przyznaje, że w 2022 r. sięgnie ona 7,6 proc., co rok temu uznali byśmy za tragedię.

Prezentacja tarczy antyinflacyjnej, lekko obniżającej ceny paliw i rozdającej po kilkaset złotych najuboższemu gospodarstwu domowemu, została w odbiorze społecznym przykryta – tak wynika nawet z wewnętrznych badań PiS-u – zenującą aferą Łukasza Mejsy. Poza tym, według dużej części ekonomistów, w dłuższej perspektywie tarcza da proinflacyjny efekt. Jakby tego było mało, walka z drożyzną poprzez podnoszenie stóp procentowych też nie odbywa się bez konsekwencji. Bije po kieszeni zwłaszcza 4 mln Polaków, którzy wzięli kredyty hipoteczne i z przerażeniem obserwują dziś tempo, w jakim rośnie wysokość ich rat. To dla wielu rodzin może być w 2022 r. dramat.

– PiS odejdzie nie dlatego, że niszczy nam demokrację. Ono straci władzę dopiero wtedy, gdy Polakom zaczną się gorzej żyć – podsumowuje prof. Radosław Markowski z Uniwersytetu SWPS. I przypomina, że wszystkie, z wyjątkiem Marca '68, peerelowskie protesty były motywowane ekonomicznie: poznański Czerwiec '56 wybuchł, gdy robotnikom uszczuplono pensje; w grudniu 1970 roku strajkowano przeciwko podwyżkom cen żywności, podobnie sześć lat później w Radomiu. A podczas Sierpnia '80 żądano podwyżki płac i dodatku drożyznianego. Rewolucje wybuchają wtedy, gdy ludzie stają się biedni. Tak może być i teraz.

Kłątwa drugiej kadencji

Także pandemia może zaszkodzić PiS-owi, choć władzy wciąż wydaje się, że jaśkoś panuje nad sytuacją. Najpierw usta-

W pewnym momencie następuje przekroczenie masy krytycznej, balonik pęka, a władza lawinowo traci poparcie społeczeństwa.

To zazwyczaj kwestia kilku miesięcy, czasem idzie to jeszcze szybciej.

lono, w toku prowadzonych w kancelarii premiera przy Alejach Ujazdowskich dzień w dzień badań opinii, emocji i nastrojów, że polskie społeczeństwo boi się ponownego zamknięcia kraju bardziej niż kolejnych ofiar. To silna trauma po pierwszym lockdownie. W grę nie wchodzi więc – to rządzący politycy też wiedzą ze swoich analiz – żadne restrykcje dla niezaszczepionych, bo to głównie wyborcy PiS-u i Konfederacji. Gdyby mieli być systemowo karani za unikanie szczepień, władza zaprzeczyłaby swojej egalitarnej narracji. Bo skoro zaszczepili się mieszkańcy dużych miast, wykształceni, zamożni, głównie wyborcy opozycji, to znowu „oni”, czyli przedstawiciele „elit”, mogliby używać życia, a przed głosującym na PiS „zwykłym człowiekiem” zastrząśnięto by drzwi restauracji.

– Ta strategia będzie działać tylko do czasu – uważa Władysław Kosiniak-Kamysz, lider PSL i zarazem lekarz. – Nie ma rodziny niedotkniętej lub niedoświadczonej wirusem lub jego pośrednimi skutkami, np. niemożnością dostania się do onkologa czy kardiologa. Ludzie cierpią przez nieudolność i tchórzostwo tej władzy. To będzie jedna z kropel, które w końcu przeleją czarę goryczy.

A to wszystko, zdaniem prezesa PSL-u, zbiegnie się także z kłutwą drugiej kadencji – zmęczeniem władzy i znużeniem nią wyborców: – My też tego doświadczyliśmy z Platformą Obywatelską.

Dla PO szósty rok władzy był pierwszym, w którym PiS ją dogoniło. Najpierw w lutym, a potem w kwietniu partie uzyskały takie samo poparcie, następnie,

przez kilka miesięcy, na czele była formacja Jarosława Kaczyńskiego. W grudniu 2013 r. ponowny remis: na oba ugrupowania chciało głosować po 23 proc. wyborców (CBOS). Rok 2014 to już upadek wizerunku: taśmy z restauracji Sowa i Przyjaciele, które słynnymi ośmiorniczkami dewastują wizerunek obozu władzy, oraz odejście Donalda Tuska na stanowisko szefa Rady Europejskiej. Z tym akurat wiązano nadzieję na wzrost w sondażach, ale pojawiła się niewielka i na krótko. PO, która „wisała na Tusku”, bez lidera zaczęła zsuwać się po równi pochyłej.

Była też ślepa na zmianę, jakiej uległo polskie społeczeństwo, choć jednoznaczne wyniki badań leżały na stole, a prezentował je na początku 2014 r. stworzony przez PO Instytut Obywatelski. Z raportu „Polacy – jacy byliśmy, jacy będziemy, jacy jesteśmy” wynikało, że społeczeństwo „ma dość wylanego betonu, stali i chce czegoś więcej”. Że pogłębia się tęsknota za państwem opiekuńczym, że słabnie poparcie dla demokracji, a poglądy gospodarcze ostro skręcają w... lewo. Tę diagnozę wykorzystywała jednak nie PO, ale prawicowe PiS, słynące z dokładnych badań całego społeczeństwa i przygotowujące iście lewicowe programy socjalne. Dziś jednak rząd Zjednoczonej Prawicy również rozmija się ze społecznymi oczekiwaniami, gdyż ludzie w Polsce, oprócz transferu gotówki, chcą też sprawnego państwa, dostępnych dla wszystkich usług publicznych i ochrony zdrowia, a także stabilnej gospodarki oraz cen. Tymczasem PiS już tych oczekiwań nie jest w stanie przewidzieć, bo straciło zmysł społeczny. Zabrakło mu też zyczajnie pieniędzy, więc działa wyłącznie responsywnie, konsumując wyniki bieżących analiz. A to raczej za mało, by myśleć o trzeciej kadencji.

Partia władzy w szóstym roku rządów kompletnie utraciła też sterowność wewnętrzną. Po wyrzuceniu z rządu Gowina udało się doszukać brakujące do sejmowej większości szable, ale teraz trzeba je liczyć przed każdym głosowaniem i słono się wolnym elektronom odpłacać.

– Jeśli mamy rynek spekulacyjny, to ceny rosną wykładniczo – mówi Szymon Hołownia, lider Polski 2050. – Na Nowogrodzkiej pewnie co dzień meldują się lu-

dzie, którzy mówią Kaczyńskiemu: daj! Wiedzą, że musi płacić, aby trwać.

Prezes musi też tolerować osoby, które kiedyś wyrzuciłby na bruk z marszu, choćby Łukasza Mejsę, wiceministra sportu od kontrowersyjnych terapii medycznych za tysiące dolarów. To jego głos pomógł przy uchwalaniu budżetu i odrzuceniu weta Senatu do „lex TVN”, dlatego – zanim w końcu Mejsa stracił pracę w rządzie – PiS tygodniami „wyjaśniał” tę sprawę, a ustalenia dziennikarzy sam premier nazywał fake newsami.

Morawiecki albo... Nowak

Jeszcze gorszy dla przyszłości PiS-u jest trwający od lat podskórny konflikt z Solidarną Polską Zbigniewa Ziobry. Drogi obu ugrupowań mocno się rozeszły i raczej nie będzie startu ze wspólnej listy wyborczej za dwa lata. Szef SP musi więc zbudować samodzielną pozycję, a zrobić to może tylko w pewnej kontrze do PiS-u. Stąd blokuje – w cichym sojuszu z Konfederacją, swoim potencjalnym partnerem koalicyjnym – możliwość uchwalenia ustawy o weryfikacji szczepień pracowników oraz domaga się wypowiedzenia wojny unijnej polityce klimatycznej. Przede wszystkim jednak potęguje spór Warszawy z Brukselą, nie godząc się na zapowiadaną przez Kaczyńskiego i Morawieckiego likwidację Izby Dyscyplinarnej SN, warunek podstawowy uruchomienia dla Polski pieniędzy z Funduszu Odbudowy. Ziobro żąda w zamian spłaszczenia struktury sądownictwa oraz kadrowego i kompetencyjnego okrojania Sądu Najwyższego, co z kolei (już to wiadać) nie uzyska akceptu Andrzeja Dudy.

– Tu byłby potrzebny ze strony Nowogrodzkiej manewr iście napoleoński – komentuje senator Marek Borowski. – Czyli uzgodnienie z opozycją, by wspólnymi głosami przeszła ustawa o likwidacji Izby.

Tyle że zdaniem senatora KO to jeszcze spotęgowałoby konflikt z Ziobrą i zrodziłoby ryzyko przyspieszonych wyborów. Kaczyński na razie ich nie pragnie, co nie oznacza, że ostatecznie nie pójdzie tą drogą. Zwłaszcza jeśli sondaże miałyby się obsunąć poniżej 25 proc. – Wtedy jestem sobie w stanie wyobrazić – przekonuje Szymon Hołownia – że prezes PiS-u występuje z orędziem do narodu, w którym mówi, że czasy są trudne, stąd rządzącym potrzebny jest odnowiony mandat i silna większość w parlamencie. Wówczas na jesieni mamy wybory.

Jeśli ten scenariusz się ziści, pojawia się pytanie, kto miałby – jesienią tego roku lub dopiero za dwa lata – stać się twarzą PiS-u w wyborach parlamentarnych. Morawiecki, choć został wiceprezesem partii, wciąż jest tam uważany za *homo novus*, no i dawno temu stracił uwielbienie Kaczyńskiego. Działacze PiS-u doskonale to wiedzą, choć oficjalnie prezes wciąż nazywa premiera „najzdolniejszym człowiekiem polskiej polityki”. Kalkulując przy okazji, że w obliczu tak kruchej i chwiejnej większości raczej nie podejmie ryzyka, by go na urzędzie podmienić np. na Mariusza Błaszczaka lub... Piotra Nowaka, obecnego ministra rozwoju, a wcześniej wiceministra finansów. To nazwisko krąży od kilku tygodni na sejmowej giełdzie, ale trudno sobie wyobrazić, by stało się lokomotywą wyborczą. To musi być ktoś zupełnie inny.

– Wizerunek premiera nie jest idealny, ale też wcale nie jest fatalny – ocenia prof. Olgierd Annusewicz, politolog UW. Na pewno nie pomaga mu historia z podwrocławską działką i jest za bogaty, jak na realia polskiego społeczeństwa. Szkodzi mu także afera mailowa, odsłaniająca nieciekawą polityczną kuchnię. Ale z drugiej strony podwyższenie kwoty wolnej i pakiet podatkowy Polskiego Ładu przyniosą finansowe korzyści wielu wyborcom PiS-u, poza tym ten elektorat jest raczej zadowolony z toczzonej przez rząd walki z Brukselą. Formalnie więc pozycja Morawieckiego w obozie władzy przez ostatni rok osłabła, ale premier wciąż może utrzymać się w siodle, bo Kaczyński nie ma żadnego personalnego asa w rękawie. Ponadto prezes wciąż rządzi na prawicy i na dobrą sprawę jest jedynym spoiwem tego środowiska. Może więc decydować jednoosobowo.

– Kaczyński to żaden genialny strateg. Prezentuje lokalny, peryferyjny spryt polityczny, ale bez niego tego obozu nie ma – uważa prof. Markowski, lecz po chwili dodaje: – Tyle że sam obóz nie jest już nim, co było oczywiste przez ostatnie lata, całkowicie oczarowany.

Według Włodzimierza Czarzastego, współprzewodniczącego Nowej Lewicy, Kaczyński stracił swój urok: – Jeszcze dwa, trzy lata temu, kiedy planował kolejne posunięcia, choćby na pierwszy rzut oka nie realne lub nielogiczne, przyjmowano je bez szemrania i zabierano się do pracy. Działacze PiS-u wierzyli, że prezes wie lepiej. Ale ta epoka kultu jednostki właśnie się koń-

czy, a opinie starzejącego się Kaczyńskiego bywają coraz głośniejszemu kwestionowane.

Na prawicy rodzi się lęk

Zmęczony gaszeniem pożarów lider i zużyta sprawowaniem władzy Zjednoczona Prawica pogrążają się od miesięcy w politycznej niemocy. Zamiast odważnych wizji możemy się więc spodziewać pasywnego zarządzania, i to głównie swoim wizerunkiem. Co pewien czas pojawiają się udane szarże, jak choćby odrzucenie senackiego weta do „lex TVN”, przeprowadzone przez Sejm jak za starych, dobrych czasów pierwszej kadencji: w ciągu dwóch godzin, tuż przed świętami i z pogwałceniem regulaminu izby. Ale mocy na to, by dokończyć polityczną rewolucję, już nie ma i nie będzie. Tym bardziej że weto Andrzeja Dudy do ustawy medialnej dobitnie pokazało pęknięcie na szczycie obozu władzy i niemoc Kaczyńskiego w sztuce koordynowania działań i doprowadzania spraw do końca. Doły partyjne to widzą i są bardzo zaniepokojone, również wypadającymi co rusz z szaf trupami, jak afera z Pegasusem czy ujawnienie przez byłego funkcjonariusza SOP prawdy o wypadku z udziałem Beaty Szydło.

W takich okolicznościach zamiast dynamicznych rządów czekają nas teraz co najwyżej kolejne spory i rozrost Bizancjum, bo partyjni działacze wszystkich szczebli będą chcieli się zabezpieczyć na wypadek chudych lat. Niewykluczone też, że w trakcie układania na nowo linii wyborczych podziałów kolejny raz pogłębi się radykalizm samego prezesa PiS-u. Będziemy znowu słyszeć opowieści o budowie przez Berlin IV Rzeszy, ujrzymy fraternizowanie się z europejskimi nacjonalistami i populistami oraz rosnący dystans do Ameryki rządzonej przez Joego Bidena. Nie wiadomo, czy przywróci to spójność obozowi w sytuacji np. ciągłych pokus Zbigniewa Ziobry, by kołysać koalicyjną łódką. Wiadomo jednak, że pośród ludzi obecnej władzy rodzą się dziś obawy przed odpowiedzialnością karną za łamanie konstytucji i demontaż wymiaru sprawiedliwości, co może skłonić to środowisko do powtórnego zwania szeregow. Przecież żaden prominentny polityk koalicyjnej rządzącej, na czele ze Zbigniewem Ziobrą, nie zechce wpaść do wody, z której wyłowi go potem niezależny prokurator.

© KAROLINA LEWICKA

Polityka?

Nie moja sprawa

MARCIN WIĄCEK, RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH:

Swojego światopoglądu nie ujawnię. Ludzie przychodzący do mnie – wierzący, niewierzący, lewicowi, prawicowi – mają się tu czuć równie komfortowo.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Wahał się Pan.

MARCIN WIĄCEK: Nie byłem pewien, czy ze wszystkim dam radę. Chodziło głównie o zarządzanie ludźmi: nigdy nie byłem czymś szefem w takiej skali.

I tylko to?

To była ogromnie ważna życiowa decyzja. Przed lipcem ubiegłego roku, gdy zostałem wybrany, byłem raczej mało znanym naukowcem. Teraz miałem kierować biurem konstytucyjnego organu państwa.

Przedtem byłem uporządkowanym człowiekiem nauki i biblioteki. Dom, biurko, książki. Względny spokój, nie zbyt wymagające terminy.

Teraz dziesiątki spotkań, analiza setek stron dokumentów, media. Wszystko pod presją terminów.

Polityki się Pan nie bał?

Nigdy się w nią nie angażowałem bezpośrednio, i ta moja apolityczność pasowała mi do urzędu Rzecznika.

To się nie najlepiej składa, bo ja chciałem o polityce...

Będę się opierał. Każdy parlamentarzysta, który podniósł za moją kandydaturą rękę, wiedział, z kim ma do czynienia. Z prawnikiem, naukowcem, ekspertem.

Marszałek Terlecki też? Mówił, że trzeba znaleźć RPO zastępcę, który będzie PiS-owi „jeszcze bliższy niż prof. Wiącek”.

To ja odpowiadam za powoływanie zastępców, a na tych stanowiskach nie ma wakatów... W ogóle poglądy polityczne moich zastępców, podobnie jak pozostałych pracowników, nie mają dla mnie znaczenia. Liczą się kompetencje i umiejętności, a te oceniam niezwykle wysoko.

Kiedy po raz pierwszy się Pan dowiedział, że jest brany pod uwagę?

Prezes PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz, zwrócił się do kilku wydziałów prawa z prośbą o wskazanie potencjalnych kandydatów. Tak dostałem rekomendację mojego wydziału. Jestem z tego dumny, choć nie zająłem w głosowaniu pierwszego miejsca.

Pierwsza była Zuzanna Rudzińska-Bluszcz, która poległa w parlamencie.

Po kilku miesiącach od tego zdarzenia dostałem zaproszenie na spotkanie od szefa PSL. Poszedłem. Spytał, czy byłbym gotów podjąć się tej misji.

Pański wybór, efekt zgody wszystkich sił, to w Polsce jak cud. Myślał Pan, dlaczego był do przełknięcia dla partii Kaczyńskiego?

Mogło się tak stać z przyczyn już opisanych. Nigdy nie wchodziłem bezpośrednio w politykę, starałem się przemawiać językiem prawa.

Prof. Matczak – i wielu innych protestujących w obronie sądów – też by powiedział, że mówi językiem prawa.

Każdy ma prawo do swojego stylu i własnej argumentacji.

To sprawdzmy inne hipotezy, dlaczego był Pan do przyjęcia.

Pierwsza: jest Pan – jak mówił Pański krytyk, mec. Michał Wawrykiewicz z Wolnych Sądów – prawnym pozytywistą...

...jestem legalistą. Jeśli to jest prawny pozytywizm, to zgoda...



...symetrystą i „łagodnym barankiem”, a na to stanowisko potrzebny jest „doberman”.

Proszę mnie zwolnić z komentowania podobnych słów i porównań. Być może napięcie bierze się stąd, że pan mecenas jest ze świata praktyki, a ja ze świata nauki?

Gdzie przebiega granica między politycznym a niepolitycznym?

Jest takie powiedzenie: rozmowa o polityce zaczyna się tam, gdzie się kończy rozmowa o prawie.

A co, jeśli polityk podważa prawa jakiejś grupy? Narusza godność? Na przykład?

Na przykład mówi, że LGBT+ to nie ludzie, tylko ideologia.

Oczywiście to jest nie do przyjęcia. Mam jednak w takich sytuacjach jako RPO ograniczone pole działania.

Może Pan wyrazić sprzeciw.

Moim zdaniem tego typu wypowiedzi w ogóle nie powinny paść.



PROF. MARCIN WIĄCEK jest prawnikiem, nauczycielem akademickim, specjalistą z zakresu prawa konstytucyjnego i praw człowieka. Od 23 lipca 2021 r. sprawuje urząd Rzecznika Praw Obywatelskich. Na zdjęciu: w punkcie pomocy humanitarnej przy granicy polsko-białoruskiej w Michałowie, listopad 2021 r.

skie prawo nie jest przygotowane na legalne stosowanie tego typu środków.

Prezydent zawetował „lex TVN”. Musi Pan być zadowolony.

Od początku mówiłem, że na rynku medialnym ważna jest stabilność prawa. Jeśli nadawca otrzymuje koncesję na określony czas, to powinien mieć pewność, że w tym okresie nie będą zmieniane reguły gry. Więc tak: uważam, iż dobrze się stało, że ta ustawa nie weszła w życie.

Wieszczono inny scenariusz: wysłanie do Trybunału Konstytucyjnego. Jest Pan spokojny o jego niezawisłość?

Moim zdaniem „lex TVN” było niezgodne z konstytucją, więc Trybunał nie miałby innego wyboru, niż to uznać.

Jest Pan tego pewien? Ja nie.

Dziś to już dywagacje... A co do samego TK, to sprawa jest skomplikowana. Z jednej strony, trzech jego sędziów zostało w grudniu 2015 r. wybranych w sposób prawnie wadliwy. Z drugiej, nie ma w kraju środków prawnych pozwalających na weryfikację prawidłowości powołania sędziów Trybunału. Jeśli wyrok TK został wydany i opublikowany w Dzienniku Ustaw, to wywołuje on skutek prawny.

Ważny jest też międzynarodowy aspekt: mamy orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w tzw. sprawie Xero Flor przeciwko Polsce. Stwierdzono w nim jasno, że jeśli w skład Trybunału wchodzi przynajmniej jedna osoba powołana w sposób wadliwy, to jest on sądem ustanowionym nieprawidłowo.

Ta sytuacja grozi patem. I polskie sądy, i te zagraniczne mogą próbować kwestionować skuteczność orzeczeń TK.

Siedzimy w Pana gabinecie, obok flaga Polski i Unii. Która jest ważniejsza?

Rozumiem, że chodzi panu o prymat polskiego prawa nad unijnym.



Faktycznie, nie jest Pan dobermanem.

(Śmiech) Być może to kwestia temperamentu, charakteru. Także przyjętej wizji rzecznika, jako urzędnika państwowego, strażnika konstytucyjnych praw obywateli.

Drugi przykład: minister edukacji sugeruje, że głównym celem szkoły powinno być zbawienie.

Proszę mnie jednak zwolnić z oceny podobnych wypowiedzi. Mam prawo nie odpowiadać na takie pytania, nie chcę być wciągnięty w wir politycznych i ideowych sporów.

Ja mam prawo je zadawać, a czytelnicy oceniać odmowę. Naturalnie.

Trzeci: prezydent na spotkaniu z osobami niepełnosprawnymi stawia za wzór polskie udogodnienia architektoniczne.

Nie znam tej wypowiedzi. Za to w swoich licznych wystąpieniach wręcz alar-

muje, jak wiele jest w kwestii udogodnień do zrobienia.

Kolejny na wskroś polityczny temat: inwigilacja.

Za czasów mojego poprzednika na stanowisku RPO powstał bardzo obszerny raport dotyczący podstaw prawnych czynności operacyjnych służb. Pokazał on dobitnie, jak bardzo nasze obecne przepisy odbiegają od standardów europejskich.

Czego brakuje?

Na przykład niezależnego organu, który mógłby nadzorować stosowanie inwigilacji. Ale też odpowiednich przepisów, choćby obowiązku poinformowania osoby, wobec której została zastosowana kontrola, że taki fakt miał miejsce. To pozwoliłoby np. na zaskarżenie zasadności inwigilacji.

Rząd się zarzekał, że nie ma Pegasusa. Jak dojść do prawdy? Powołując komisję śledczą?

To sprawa dla polityków. Ja natomiast – po tym, jak przeczytałem w prasie, na czym polega Pegasus – uważam, że pol-

→ Nasza ustawa zasadnicza w art. 8 nie pozostawia wątpliwości – jest najważniejszym prawem RP. Prawo międzynarodowe, w tym prawo unijne w świetle konstytucji jest nadrzędne względem ustaw, ale nie względem ustawy zasadniczej. Natomiast inaczej rzecz przedstawia się z perspektywy prawa międzynarodowego i unijnego, które ma pierwszeństwo nad uregulowaniami krajowymi.

Jest więc sprzeczność.

Warto sobie zdać sprawę, że ona istnieje od dawna. Podobnie jak dyskusja o prymat. 16 lat temu rozgorzał spór o unijną instytucję europejskiego nakazu aresztowania, czyli coś w rodzaju uproszczonej ekstradycji. W świetle prawa unijnego kraj ma obowiązek wydać obywatela innemu państwu UE. Tyle że polska konstytucja mówiła, iż taka ekstradycja jest zakazana. Sprawa trafiła do TK, który stwierdził, że to konstytucja jest najwyższym prawem RP. Ale równocześnie odsunął wejście w życie orzeczenia o 18 miesięcy. W tym czasie znowelizowano konstytucję, likwidując ową sprzeczność.

Przypomniałem to zdarzenie, by pokazać, że ten spór jest starszy niż jedno polityczne rozdanie. I że już znajdowaliśmy sposoby na rozwiązywanie tego typu trudnych problemów prawnych i ustrojowych.

Kiedy był Pan ostatnio na granicy?

Kilka tygodni temu.

Co Pan zobaczył?

Dramaty. Płacz dzieci, matek. Byłem świadkiem, jak odnalazła się cała grupa. Jedno z dzieci cierpiące na porażenie mózgowie, drugie wyziębione.

Tymczasem każdy człowiek – podkreślmy: także ten, który przekroczył granicę nielegalnie – wymaga ochrony godności. Owszem, państwo ma obowiązek bronić granic przed osobami próbującymi je przekroczyć przemocą. Ale gdy odnajdują się w lesie na terenie naszego kraju ludzie potrzebujący pomocy, to obowiązkiem państwa jest wziąć ich w opiekę.

Co to znaczy?

Po pierwsze: ratować życie i zdrowie. Po drugie, wszcząć procedury, jeśli ta osoba prosi o status uchodźcy. Oczywiście, można kogoś wydalić z terytorium Rzeczypospolitej, ale powinno się to odbywać po wysłuchaniu racji, po zbadaniu sytuacji człowieka, w ramach czytelnych reguł.

Przepisy o inwigilacji odbiegają od standardów europejskich.

Brakuje np. niezależnego organu nadzorczego. Polskie prawo nie jest przygotowane na legalne stosowanie środków takich jak Pegasus.

Czy te standardy zostały naruszone?

Dla mnie bardzo problematyczne są zwłaszcza tzw. push-backi, czyli przypadki zawracania ludzi na linię granicy.

Zapisane w polskich przepisach.

Które moim zdaniem nie spełniają standardów międzynarodowych. Posłużę się porównaniem. Sąd nie może dokonać ekstradycji osoby podejrzanej o popełnienie przestępstwa do kraju, w którym tej osobie groziłoby niebezpieczeństwo. Ta zasada tym bardziej powinna się stosować wobec osób, co do których nie ma podejrzenia, że popełniły przestępstwo. A nawet z oficjalnych informacji podawanych przez Straż Graniczną wynika, że push-backi miały miejsce.

Podobnie jak przypadki złego traktowania dziennikarzy.

Zarówno wtedy, gdy był stan wyjątkowy, jak i teraz – w czasie obowiązywania specustawy ograniczającej wolność przemieszczania się – mówiłem, że powinni tam pracować dziennikarze. I że uniemożliwianie tego zagraża prawu obywateli do informacji.

Rozmawiamy 22 grudnia. Wczoraj zmarło na koronawirusa 775 osób. To przerażające. Brak słów.

Wie Pan, jaką sprawę podejmował najczęściej?

Bardzo często otrzymujemy skargi, że korzystanie z jakiejś usługi jest uzależnione od przedstawienia tzw. paszportu covidowego. Proszę zrozumieć, że ja stoję tu na straży standardów: zobowiązanie kogoś do ujawnienia informacji o stanie zdrowia, gromadzenie danych w tym zakresie – to wymaga postępowania ustawodawczego.

A rząd rządzi rozporządzeniami.

I to jest podstawowy problem. Regulacje mające służyć walce z pandemią – skądinąd merytorycznie zasadne – są przeprowadzane z pominięciem drogi ustawodawczej. A tylko ona pozwala na refleksję, ekspercką analizę, przedstawienie racji stron.

Ta najczęściej podejmowana przez Pana sprawa to kasacje grzywnien za nienoszenie maseczek.

Od początku epidemii za naruszenie wprowadzanych mocą rozporządzeń zakazów czy nakazów wymierzano kary. One wszystkie są teraz uchylane – przy udziale RPO.

W potocznym odbiorze może Pan się jawić jako rzecznik koronasceptyków.

Obowiązkiem władzy jest podjęcie wszystkich środków, by zatrzymać rozwój pandemii. Tylko że to powinno się odbywać w formie ustaw – jedynej odpowiedniej formy dla ograniczania praw człowieka.

Osoby przestrzegające obostrzeń nie czują się w Polsce tak chronione.

Sam czuję się poirytowany, gdy wchodzę do sklepu, a tam widzę ludzi bez maseczek, którym w dodatku nikt nie zwraca uwagi. Niestety, w tej sprawie możemy tylko apelować – do ludzi, do personelu, do funkcjonariuszy publicznych – o stosowanie i egzekwowanie prawa.

A co z obowiązkiem szczepień?

Adriana Porowska, szefowa pomagającej osobom bezdomnym Kamilańskiej Misji Pomocy Społecznej, powiedziała mi, że jako osoba mająca chronić najstarszych nie czuje się bezpieczna. Powód: pracownicy pomocy społecznej, a więc m.in. schronisk czy DPS-ów, nie podlegają obowiązkowi szczepień.

Jestem sceptyczny w stosunku do powszechnego obowiązku w sytuacji, gdy nie mamy stanu nadzwyczajnego. Ale wybrane grupy zawodowe to inna rozmowa. Istnieje daleko idące podobieństwo w wykonywanej pracy między medykami a np. opiekunami w DPS-ach, więc postulat pani Porowskiej wydaje mi się racjonalny.

Jakie problemy obnażyła pandemia?

Po pierwsze, ochrona zdrowia. Zaniepokoiła mnie informacja, że tysiące leka-

rzy chce zrezygnować z pracy. Z powodu zmęczenia, wypalenia, słabego wynagrodzenia. A przecież już podczas tej pandemii był znacznie ograniczony dostęp do specjalistów.

To był i nadal jest bardzo ciężki okres dla osób z niepełnosprawnościami. Źle się stało, że wśród ludzi z przywilejem szybkiego szczepienia nie było na początku ubiegłego roku przedstawicieli tej grupy. Jako nauczyciel akademicki miałem to prawo – mój niepełnosprawny student już nie.

Inny przykład: dzieci z niepełnosprawnościami nie da się ot tak przenieść w tryb pracy zdalnej. Potrzebują terapii, których zdalnie przeprowadzić się nie da. Te dzieci podczas pandemii ucierpiały.

Z edukacją jest szerszy problem – zaostrzyły się nierówności.

A konstytucja gwarantuje „powszechny i równy” dostęp do edukacji.

Epidemia i nauczanie zdalne tym prawem zachwiały. Głównie dlatego, że nasz kraj okazał się niegotowy na cyfryzację. Być może to będzie dla mojego biura kolejny temat pogłębionej analizy – po „Rapporcie RPO na temat pandemii”, który w tych dniach upublicznimy.

Podczas ślubowania odstąpił Pan od formuły: „Tak mi dopomóż Bóg”.

Od początku mówiłem, że nie ujawnię swojego światopoglądu. Między innymi po to, by każdy przychodzący do mnie – wierzący, niewierzący, prawicowy, lewicowy – czuł się równie komfortowo.

Czy mogą się tak czuć uczniowie i nauczyciele w polskiej szkole?

Mogę mówić o standardach: programy nauczania nie powinny być nasycone treściami *stricte* religijnymi oraz powinny zachowywać odpowiedni dystans i równowagę w sprawach światopoglądowych.

Krzyże w klasach są okej?

Europejski Trybunał Praw Człowieka stwierdził, że nie stanowią one naruszenia wolności sumienia.

Brak dostępu do etyki dla dzieci niechodzących na religię?

Tu jest problem: ten dostęp powinien być absolutnym standardem.

Z drugiej strony, jestem sceptyczny w stosunku do zaproponowanej przez

ministra edukacji i nauki koncepcji, by obowiązkowe było chodzenie na religię lub etykę. Musielibyśmy mieć pewność, że brak dostępności etyki nie doprowadzi do sytuacji, iż niektóre dzieci będą *de facto* zmuszone uczęszczać na religię. A teraz takiej pewności nie ma.

Oceniając szykowany przez rząd projekt nowelizacji prawa antyprzemocowego, przemówił Pan językiem genderowym.

Ja bym tak tego nie nazwał. Przemówiłem językiem prawa. A konkretnie – konwencji stambulskiej, opublikowanej w Dzienniku Ustaw.

Która przemawia językiem genderowym.

Powtórzę: stoję na straży prawa.

To prawo jest powszechnie kontestowane w kręgach obecnej władzy.

Kontestacja kontestacją, a organy władzy, np. ministerstwa czy parlament, regularnie uchwalają przepisy, które tę konwencję wykonują. Bo ona służy dobremu celowi – walce z przemocą. Nawet jeśli nie zgadzamy się z fragmentami, których zresztą mogłoby tam nie być...

Dlaczego? Chodzi w nich o zwrócenie uwagi na kulturowe źródło przemocy. Na niszczący wpływ stereotypów płciowych.

Przyjmuję to do wiadomości, a intuicyjnie dostrzegam nawet zasadność takiego stanowiska. Ale dla mnie ważniejsze

jest wykonywanie prawa. I skuteczność walki z przemocą. Dlatego zwróciłem uwagę, że projekt ustawy o jej przeciwdziałaniu – skądinąd zawierający dobre rozwiązania – nie uwzględnia specyfiki płci: to kobiety są częściej pokrzywdzone.

Kolejny temat ultrapolityczny: aborcja. Tu też otarł się Pan o politykę.

Jak?

Lobbując za powrotem do projektu prezydenckiego, który dopuszczał – pomimo wyroku TK – aborcję w przypadku wad letalnych płodu.

To nie był lobbying. Przyjmuję do wiadomości obecny stan prawny. Jest on oparty na dwóch orzeczeniach Trybunału – obu stwierdzających, że płód ludzki ma prawo do życia. W wyroku z 2020 r. napisane jest natomiast, że to orzeczenie nie kończy sprawy, i że istnieją sytuacje przekraczające zwykłą miarę, kiedy nie można od kobiet oczekiwać heroizmu. Powinniśmy się zastanowić, jak je wprowadzić do prawa. Zwłaszcza widząc tragedię taką jak ta z Pszczyny. Nie mamy dowodów, że ten dramat to pokłosie wyroku. Ale nie możemy tego wykluczyć.

Wróćmy do Pana apolityczności.

Gdy Pan ją podkreśla, powołuje się na swoich mistrzów.

Mam na myśli głównie prof. Janusza Trzcńskiego. Był moim opiekunem naukowym, a później także szefem, ale przede wszystkim wzorem postawy. Wpoił mi zasadę: prawo służy ludziom. ➔

POZEGNANIE

Pani Krystynie Strzeleckiej,
naszej wieloletniej głównej księgowej,
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci Syna

Ś.†P.

Artura Strzeleckiego

redaktora „Tygodnika Powszechnego”,
współtworzącego to pismo od blisko czterech dekad

składają

ZARZĄD SIW ZNAK, DAWNI WSPÓŁPRACOWNICY
I PRZYJACIELE Z SZEROKO POJĘTEGO ŚRODOWISKA ZNAKU

→ Mówił, że jeśli chcę pisać artykuł albo wygłosić przemówienie, muszę sprawdzić, jak opisywana rzecz przełoży się na ochronę praw. Nauczył mnie też, by nie dobierać argumentów prawnych pod tezę, np. ze względu na poglądy.

A mistrzowie wśród Pana poprzedników?

Proszę pamiętać, że w trakcie kadencji niektórych z nich byłem dzieckiem... Bardzo bliski był mi natomiast sposób pełnienia funkcji przez Janusza Kochanowskiego. Politycznie możliwie przezroczysty, realizował swój pogląd na rzeczywistość niezależnie od tego, jakiej partii mogło to się nie spodobać, i jaka była w danej sprawie reakcja opinii publicznej.

Zdarza się Panu pokłócić o politykę?

Nie. A mam przyjaciół o różnych, czasem przeciwstawnych poglądach. I bardzo to sobie cenię. Staram się rozmawiać z każdym.

Pan jest jak PSL.

(Śmiech) Jeśli panu się tak to kojarzy...

Pana patron już dzwonił?

Od chwili gdy zostałem rzecznikiem, spotkałem się z wieloma politykami z Polski, UE czy Rady Europy. Wśród nich był też szef PSL – choć nie jest moim patronem, jak pan sugeruje. Po prostu posłowie przekazują mi sprawy, które trafiają do ich biur i dotyczą obszarów działania RPO.

Politycznych telefonów nie było?

Nie, i bardzo to sobie chwale. To może oznaczać, że moja wizja misji RPO jest szerzej rozumiana i względnie respektowana. Pan to nazwał cudem, ja bym to określił inaczej: to wyraz dojrzałości klasy politycznej.

Niektórzy uznają to za żart roku, mimo że się dopiero zaczął.

A dla mnie potencjał – do wykorzystania w nadchodzących 12 miesiącach.

© © Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

O raty!

MAREK RABIJ

Nie udało się rozwiązać problemu kredytów frankowych, a na horyzoncie majaczy już kolejny kryzys z kredytami złotowymi w roli głównej. Dla tysięcy rodzin marzenie o własnym domu znów zmienia się w koszmar.

POKÓJ MIAŁ NIESPEŁNA 11 METRÓW KWADRATOWYCH. Dla jednego dziecka był w sam raz. Dla dwójki również, dopóki dzieci nie poszły do liceum, po drodze dorobiwszy się książek, komputerów, gitar, konsol i wspólnej świnki morskiej.

– Właśnie spłaciliśmy kredyt we frankach – opowiada ich ojciec, Tomasz. – Marzyło się nam kilka lat z większym luzem w finansach, ale dzieci bardziej potrzebowały osobnych pokoi. Wyliczyliśmy, że jeśli sprzedamy mieszkanie, kredyt na nowe nie będzie dużym obciążeniem. Za 36 metrów na Dolnym Mokotowie dostaliśmy 420 tys. zł. Część gotówki zostawiliśmy na remont, z banku wzięliśmy na 25 lat 290 tys. zł kredytu i za 636 tys. zł kupiliśmy trzy pokoje nieco dalej, w pobliżu biurowego zagłębia przy Domaniewskiej, gdzie pracuje.

Pierwsza rata w grudniu 2020 r. wyniosła niecałe 1,3 tys. zł. – Z nowym kredytem nie chcieliśmy mieć takich stresów jak z frankowym, dlatego założyliśmy, że bierzemy tylko taki, który będziemy w stanie udźwignąć, nawet jeśli rata wzrośnie o drugie tyle – uśmiecha się Tomasz. – Nie jesteśmy hazardzistami, wiedzieliśmy, że stopy procentowe w trakcie tych 25 lat będą się zmieniać. Nie sądziliśmy jednak, że tak szybko otrzymamy się o limit bezpieczeństwa, który sobie wyznaczaliśmy.

Tomek dostał już z banku wyliczenie: od lutego rata kredytu wyniesie 1,65 tys. zł, czyli 27 proc. więcej w porównaniu z początkową. Tego samego dnia GUS podał jednak dane o inflacji, która w grudniu, jeszcze przed wejściem w życie podwyżek taryf energetycznych, wzrosła do 8,6 proc. Ekonomści zapowiadają więc kolejne pod-

wyżki stóp procentowych. – Myślę, że pod koniec roku rata wyniesie już ok. 2,1 tys. zł – wylicza Tomasz. – Nie wiemy jeszcze, ile stracimy na Polskim Ładzie, ale oboje z żoną mamy jednoosobową działalność i podejrzewam, że budżet domowy stopniowo nam tylko przez to o co najmniej 600-700 zł miesięcznie. I tyle zostało z naszej zapobiegliwości – kwituje.

Czy leci z nam prezes?

Podwyżka stóp, którą 4 stycznia zapowiedziała Rada Polityki Pieniężnej, była już czwartą w ciągu czterech ostatnich miesięcy. W efekcie główna stopa procentowa od października ubiegłego roku wzrosła z 0,1 do 2,25 proc. W dodatku wśród bankowców i ekonomistów panuje przekonanie, że na tym nie koniec. PiS będzie dążyć do zdławienia inflacji niemal za wszelką cenę, przy okazji licząc zyski, jakie budżetowi przynosi wzrost cen. Skok inflacji o tylko jeden punkt procentowy przekłada się na wzrost wpływów z VAT o ok. 4 mld zł.

Tego przeciętny Polak dziś nie dostrzega, czuje natomiast drożyznę, która stała się palącym problemem politycznym ponad podziałami. A im goręcej PiS przekonuje obywateli, że przeciwdziała wzrostowi cen, tym mocniej przywiera doń etykieta politycznego niedojdy, bo wyborcy po prostu widzą, że rządowa polityka antyinflacyjna nie przynosi efektów. Aby odzyskać odznakę gospodarczego szeryfa, PiS musi przejść do ofensywy, dlatego prezes Adam Glapiński wraz z posłuszną mu Radą Polityki Pieniężnej tak odważnie podnosi stopy, aby podkreślić determinację w walce z inflacją. W tle słychać jednak ostrzeżenia kolejnych ekonomistów, że nie da



MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasy w środę 12 stycznia o godzinie 7.30

w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl.

| Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM





LUKASZ DEINAROWICZ / FORUM

Osiedle wielorodzinne gdańskiej spółdzielni mieszkaniowej Ujeścisko, maj 2020 r.

się jej zgnieść jedynie za pomocą narzędzi polityki monetarnej, bo źródłem inflacji tym razem nie jest wyłącznie rozbuchana konsumpcja wewnętrzna. Takie stanowisko otwarcie prezentuje m.in. prof. Leon Podkaminer z Wiedeńskiego Instytutu Międzynarodowych Porównań Gospodarczych, będący zarazem... doradcą pre-

zesa NBP. Tyle że takie głosy są marginalizowane, bo do wyborców ma dotrzeć jasny sygnał, że rząd wydał drożyznie bezwzględnej wojnę. Dlatego większość banków i funduszy inwestycyjnych zakłada dziś, że do końca roku główna stopa procentowa NBP na koniec roku sięgnie co najmniej 4,5 proc.!

Dla posiadacza przeciętnego kredytu hipotecznego na 300 tys. zł, zaciągniętego na początku ubiegłego roku na ćwierć wieku ze stałą 2-procentową marżą, oznaczałoby to wzrost miesięcznej raty z obecnych 1,7 tys. zł do ok. 2 tys. zł. Niby niewiele, zważywszy na koszt inwestycji, ale w porównaniu z wyjściową ratą, która jeszcze rok temu oscylowała na poziomie 1,3 tys. zł miesięcznie, wzrost obciążeń będzie już dotkliwy. Dla identycznego kredytu na pół miliona złotych rata, która w styczniu 2021 r. wynosiła 2,1 tys. zł, wzrosłaby z obecnych 2,8 do 3,4 tys. zł. Słowem – zapowiada się powtórka kryzysu frankowego z polskim złotym w roli głównej. I tym samym zestawem pytań, na które brak jednoznacznej odpowiedzi. Czy to klienci, którzy zaciągnęli kredyty na granicy wypłacalności, powinni teraz ponieść konsekwencje własnej lekkomyślności, czy może duża część winy spada na system bankowy oraz państwo?

Ofiary politycznego darwinizmu

Areną boomu mieszkaniowego ostatnich miesięcy są przede wszystkim miasta, choć tym razem nie ogranicza się on tylko do tych największych. Poza tym progi, jakie stanowi zdolność kredytowa i wymóg posiadania 20 proc. wkładu własnego, automatycznie odcięły od rynku mieszkaniowego najgorzej zarabiających. To wszystko może być dla rządowych strategów przesłanką do założenia, że w grupie kredytobiorców przeważają zwolennicy opozycji, a zatem los świeżo upieczonych posiadaczy hipotek można uznać za nieuchronny koszt wyborczy.

Z danych Biura Informacji Kredytowej wynika, że łączna wartość kredytów hipotecznych zaciągniętych w Polsce przekroczyła już pół biliona złotych, z czego aż 390 mld przypada na zadłużenie 2,5 mln gospodarstw domowych spłacających hipotekę w rodzimej walucie. Aż 98 proc. z nich ma kredyt o zmiennej stopie procentowej, pozostałe dwa negocjowały sobie stałą, bezpieczną stopę przez pierwszych 5-7 lat. Zmianę w polityce monetarnej NBP rzecz jasna najsilniej odczują posiadacze kredytów o zmiennej stopie, którzy pożyczili na mieszkanie w ostatnich kilkunastu miesiącach. Z wyciszeń ekonomisty Rafała Mundrego, które cytuje serwis Subiektywnie o Finansach, wynika, że dla ok. 33 proc. kredytobiorców zeszłoroczne ➔

→ podwyżki stóp były pierwszymi, z jakimi zetknęli się w trakcie spłaty hipoteki. To zaś oznacza, że gwałtowny wzrost raty uderza dziś w 816 tys. polskich gospodarstw domowych.

Wyższe oprocentowanie to oczywiście problem wszystkich posiadaczy kredytów o zmiennej stopie, ale konstrukcja umów hipotecznych, w których na początku w racie dominują odsetki, sprawia, że po kieszeni najmocniej doświadcza osoby spłacające pożyczkę od niedawna. Statystyki Biura Informacji Kredytowej nie pozostawiają w tej mierze wątpliwości: rata „nowego” kredytu hipotecznego od marca do września ubiegłego roku urosła średnio aż o 456 zł miesięcznie. W przypadku starszych umów, w ramach których klienci z każdą ratą wpłacają mniej odsetek, a więcej kapitału, było to nieco ponad 200 zł.

Dużo to czy mało? To oczywiście zależy od zasobności konsumentów. Jak podaje Komisja Nadzoru Finansowego, statystyczny posiadacz kredytu hipotecznego w 2020 r. przeznaczał na jego spłatę 29 proc. miesięcznych zarobków. Zakładając, że większość takich gospodarstw domowych składała się z minimum dwóch pracujących dorosłych, można dojść do wniosku, że tegoroczny skok stóp procentowych nie wywoła tsunami konsumenckich niewypłacalności i innych tragedii. Ten sam raport KNF sygnalizuje jednak, że w przypadku 8 proc. kredytobiorców obciążenie ratą hipoteki sięga 60 proc. Dla tej grupy bieżąca obsługa kredytu już wkrótce może stać się drogą przez mękę, i rzeczywiście – do banków zgłaszają się pierwsi klienci, których już teraz nie stać na spłatę zaciągnię-

Gdy w życie wchodziła reforma WIBOR, nic nie zwiastowało, że błoga drzemka, jaką ucięły sobie w Polsce stopy procentowe, skończy się **rok później przebudzeniem jak z koszmaru.**

tych kilka miesięcy wcześniej pożyczek. Wraz z kolejnymi podwyżkami stóp takich osób będzie dużo więcej.

Co naprawdę winduje raty

Sytuacji tych ludzi na pierwszy rzut oka nie da się porównywać z losem frankowiczów. W ich kredytach spornym elementem była klauzula indeksacyjna, a mówiąc prościej: to, że banki mogły dość dowolnie ustalać kurs franka do złotego. Takie zapisy w świetle prawa unijnego są niedozwolone, a wyrok TSUE, który jesienią 2019 r. orzekł, że klauzul indeksacyjnych nie wolno bez zgody kredytobiorcy zastąpić innym przelicznikiem walutowym, pozwolił polskim frankowiczom skutecznie unieważniać całe umowy i domagać się zwrotu wszystkich wpłaconych pieniędzy. W listopadzie 2021 r. – jak szacuje serwis Infor – w sądach czekało na rozstrzygnięcie już ok. 62 tys. pozwów przeciwko bankom, a 9 na 10 spraw kończyło się rozstrzygnięciem na korzyść kredytobiorców.

O co mieliby teraz skarżyć banki klienci przekonani, że także ich nabito w kredyty, tylko złotówkowe? Stopy procentowe to kompetencja NBP, któremu na straży wartości rodzimej waluty każe stać sama konstytucja. Trudno zatem wyobrazić sobie rozsądnie skonstruowany pozew przeciwko bankowi centralnemu o konsekwencje wzrostu rat. Banki z pewnością również wyciągnęły lekcję z frankowej wpadki i prześwietliły swoje umowy na obecność klauzul niedozwolonych. Możliwe więc, że kredytobiorcom z ery taniego pieniądza nie pozostało nic innego, jak zacisnąć zęby i płacić. W obliczu podobnych problemów rząd ideologicznie bliskiego PiS-owi Viktora Orbána ogłosił zamrożenie oprocentowania kredytów na kilka miesięcy, ale na korzyść Węgrów przemawia to, że mają tam rok wyborczy. Kalendarz polskiej polityki nie jest dla rodzimych kredytobiorców aż tak łaskawy. Ostatnią deską ratunku dla klientów może jednak okazać się stawka WIBOR. Tak przynajmniej uważa część prawników, którzy zdążyli wyspecjalizować się w obsłudze spraw frankowych.

Aby zrozumieć w czym rzecz, musimy na chwilę zajrzeć do kredytowej kuchni. Podnosząc raty, banki chętnie wskazują dziś na NBP jako winnego, ale jest w tym goście równie subtelna, co perfidna manipulacja. O wysokości rat i całego zadłużenia decydują bowiem nie same stopy procentowe, ale stawka WIBOR, czyli w uproszczeniu oprocentowanie, na jakie banki umawiają się, pożyczając sobie nawzajem pieniądze. W zamierzonych czasach, kiedy żyły wyłącznie z obracania gotówką zdepo-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **OGÓLNOKLUBOWE**, środa, 12 stycznia,
Spotkanie z Moniką Toporek i Karolem Wilczyńskim,
„Jesteśmy wśród was. Jak pomagać uchodźcom”
/ online /

- **BIAŁYSTOK**, czwartek, 13 stycznia,
Spotkanie z prof. Lechem Giezmą,
„Ojczyzna jako wspólnota wyobraźni”
/ online /

- **ZIELONA GÓRA**, wtorek, 25 stycznia, Spotkanie
z Adamem Bodnarem, „Ochrona praw człowieka we
współczesnej Polsce – szanse i zagrożenia” / stacjonarnie /

**REZERWUJ
ZAS!**



więcej na [KlubTygodnika.pl/wydarzenia](https://klubtygodnika.pl/wydarzenia)

nowaną przez klientów, było to jedno z podstawowych narzędzi branży: bank, któremu w danym dniu brakowało pieniędzy, choćby na bieżącą obsługę odsetek czy na kredyty, po prostu zaciągał u kolegów „chwilówkę”. Stawkę WIBOR ustalano każdego dnia, wyciągając średnią ze wszystkich takich transakcji, jedynie po odrzuceniu najdroższej i najtańszej. Kiedy na rynku rosła niepewność i pożyczki bankowe drożały, poziom WIBOR pozwalał przerzucić ten koszt na klientów.

Jak jest dzisiaj? Wskaźnik wciąż decyduje o oprocentowaniu kredytów i depozytów bankowych. Sęk w tym, że jego wysokość nie jest już średnią oprocentowania pożyczek międzybankowych, bo banki *de facto* przestały pożyczać sobie pieniądze. W styczniu i lutym ubiegłego roku na całym polskim rynku bankowym przeprowadzono tylko dwie transakcje, na podstawie których mógłby zostać obliczony WIBOR 6M, a bywają miesiące, kiedy nie ma ich wcale. Dlaczego? Dla przeciętnego posiadacza lokaty zabrzmi to abstrakcyjnie, ale w bankowości jest dziś za dużo pieniędzy. Od kryzysu finansowego po upadek Lehman Brothers banki centralne krajów rozwiniętych stymulują swoje gospodarki, drukując masę taniego pieniądza, a duża jego część natychmiast trafia na rynki finansowe, gdzie z zyskiem obracają nim fundusze inwestycyjne, gracze giełdowi, wreszcie same banki. W rezultacie tempo wzrostu PKB, choć samo w sobie imponujące, nie nadąża za sektorem finansowym, który produkuje „sztuczny”, bo niezakotwiczony w realnej gospodarce pieniądź.

Ratunkiem stałe stopy

Jak zatem określa się stawkę WIBOR, skoro banki pożyczają sobie pieniądze tak rzadko, że trudno na tej podstawie oszacować nawet opłacalność takich transakcji? Wyjściem z sytuacji stało się tzw. kwotowanie, czyli rodzaj ankiety, w której banki odpowiadają, za ile „byłyby gotowe” pożyczyć konkurentom pieniądze – gdyby ktoś był zainteresowany.

Wysokość WIBOR banki kształtują więc w niemal tak samo uznaniowy sposób, jak czyniły to wcześniej z tabelami kupna i sprzedaży walut. Jedynym ograniczeniem są wskaźniki stopy depozytowej i lombardowej wyznaczane przez RPP. Każdorazowo stawka WIBOR musi

mieścić się między obydwoma wartościami, a ponieważ dzieli je obecnie aż jeden punkt procentowy, banki mają duże pole manewru. W efekcie WIBOR rośnie dziś szybciej od stóp procentowych NBP. Wartość WIBOR 3M to aktualnie 2,62 proc., mimo że główna stopa NBP wzrosła „tylko” do 2,25 proc. W latach 2006-20 – jak wynika z wyliczeń serwisu Subiektywnie o Finansach – średnia różnica między WIBOR 3M a główną stopą procentową wynosiła zaledwie 0,08 punktu procentowego.

Słabe punkty tego systemu są oczywiście tajemnicą poliszywna w świecie finansów. W 2019 r. Krzysztof Jedlak, redaktor naczelny „Dziennika Gazety Prawnej”, w liście do premiera Morawieckiego pytał wprost, czy WIBOR „nie jest to coś na kształt tabeli kursowej, którą banki w przypadku kredytów walutowych ustalały same, arbitralnie, a więc na swoją korzyść?” (cytat za serwisem Bizblog). Akurat wtedy Polska przymierzała się do wymuszonej unijnymi regulacjami zmiany sposobu obliczania tej stawki. Ostatecznie przyjęto rozwiązanie, które nasza Komisja Nadzoru Finansowego zaakceptowała jako zgodne z europejskimi wytycznymi, choć w praktyce... nie zmieniło właściwie niczego.

Na pobożnych życzeniach skończyła się także inna bardzo ważna sprawa: inicjatywa KNF, która zadeklarowała, że będzie naciskać na polskie banki, by chętniej udzielały kredytów hipotecznych o stałej stopie procentowej. W Niemczech i Holandii oferty ze stałą stopą (przez co najmniej kilka pierwszych lat trwania umowy) stanowią niemal 80 proc. akcji kredytowej banków.

W Czechach – 47 proc. Na Węgrzech – 72. W Belgii – ponad 90 proc. Także wiele kredytów we Francji i w Niemczech – pomimo bardzo niskich stóp procentowych w strefie euro, utrzymujących się od ponad dekady – dotyczy umów o stałym oprocentowaniu przez cały okres spłaty. Ale w krajach o wysokiej kulturze bankowej nikomu nie trzeba tłumaczyć, że tak długoterminowa inwestycja obciążona jest dużym ryzykiem, więc obie strony transakcji muszą podzielić je po połowie, godząc się właśnie na stałe oprocentowanie.

W polskiej bankowości nadal zdaje się tymczasem obowiązywać przetestowana na frankowiczach zasada: „strzycz barany”. Klient wciąż nie jest partnerem, z którym warto zbudować trwalszą relację opartą na jego zadowoleniu. W tym kontekście coraz częstsze skargi kredytobiorców, którzy twierdzą, że w bankach zapewniono ich, iż „rata kredytu się nie zmieni”, niekoniecznie muszą być tylko dowodem na ich ekonomiczną ignorancję. Sprawy frankowe pokazały, że doradcy bankowi często z premedytacją okłamywali klientów.

Gdy w 2020 r. w życie wchodziła reforma WIBOR, nic nie zwiastowało, że błoga drzemka, jaką ucięły sobie w Polsce stopy procentowe, skończy się już rok później przebudzeniem jak z kosmaru. Klienci, którzy z ufnością rzucali się wtedy na kredyty (od czerwca do listopada 2020 r. banki zawarły 343 tys. umów hipotecznych o wartości 118 mld zł), mogli się wydawać bankowcom potulnymi barankami. Teraz wielu z nich może zacząć używać rogów.

© P MAREK RABII

POŻEGNANIE

Z ogromnym żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Tadeusza Talara

Jego żonie, synowi oraz bliskim
składamy wyrazy głębokiego współczucia

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO



MICHAŁ DYAKOWSKI

DOBRY BISKUP TUTU

„Był nam przewodnikiem i sumieniem”
– mawiał o nim Nelson Mandela.
W Południowej Afryce zmarł Desmond Tutu.

WOJCIECH JAGIELSKI

UMARŁ W ŚWIĘTO BOŻEGO NARODZENIA. Zgodnie z jego życzeniem jego ciało złożono w trumnie z surowych, sosnowych desek, z uchwytami ze zwykłego sznura – najtańszej, jaką udało się znaleźć. Nie chciał też żadnych kwiatów, wojskowych pocztów ani pompacyjności. Z powodu szalejącej pandemii we mszy żałobnej uczestniczyło tylko sto osób.

Tutu życzył sobie, by jego szczątki poddano resomacji. Uważał tę metodę rozkładu ludzkich zwłok za mniej szkodliwą dla środowiska naturalnego i oszczędniejszą niż kremacja. Urnę z prochami umieszczono pod posadzką katedry.

Odprowadzając nabożeństwo żałobne anglikański arcybiskup Thabo Makgoba życzył rodakom, by śmierć Desmonda Tutu stała się dla nich początkiem odnowy i odmiany. „Niech nasze życie będzie skromne, jak jego życie, jak ta sosnowa trumna, która jest tego symbolem – powiedział. – Niechże ci, co mają w bród, zacisną pasa, by i inni mogli się najeść do syta”.

Na ulicy Vilakazi

Południowa Afryka jest krajem, który wydał aż czterech laureatów Pokojowej Nagrody Nobla, a każdy z nich otrzymał ją za walkę z apartheidem, porządkiem rasowej segregacji, obowiązującym tu jako ustrój państwowy przez prawie pół wieku (1948-1990). Ulica Vilakazi, położona w Soweto na przedmieściu Johannesburga, jest jedną na świecie, przy której mieszkali dwaj nobliści. Zanim została przerobiona na turystyczną atrakcję, była też sceną, na której rozgrywały się najważniejsze dramaty południowoafrykańskich dziejów. W 1976 r. wybuchło tu uliczne powstanie czarnej młodzieży przeciwko obowiązkowi nauki w języku afrykanerskim, mowie prześladowców. Dziesięć lat później nowa uliczna rebelia ogarnęła całe Soweto i przyspieszyła upadek apartheidu, po czym wyrodziła się w bratobójczą wojnę między zwolennikami a przeciwnikami Afrykańskiego Kongresu Narodowego, partii Mandeli.

Tutu do niej nie należał, ale również dla niego najważniejszym celem była walka z apartheidem. Podobno w Soweto spotkali się tylko raz, pod koniec lat 50. Mandela miał 40 lat, był znanym w całym Soweto prawnikiem i jednym z przywódców Afrykańskiego Kongresu Narodowego. Tutu, młodszy o 13 lat, uczył w szkole, do której zaproszono Mandelę.

Po raz drugi spotkali się w lutym 1990 r., kiedy ostatni biały prezydent kraju, Frederik de Klerk (trzeci z pokojowych noblistów), uznawszy, że apartheidu nie da się obronić, kazał wypuścić z więzienia skazanego na dożywocie Mandelę, by układać się z nim w sprawie przyszłości Południowej Afryki. Pierwszą noc na wolności Mandela spędził w domu Tutu, sławnego już na cały świat noblisty i pierwszego czarnego anglikańskiego arcybiskupa Kapsztadu.

Ksiądz

„Nie było niczego wzniosłego w tym, że postanowiłem zostać kapłanem – wspominał Tutu, syn nauczyciela i gospodyni domowej z miasteczka Klerksdorp, położonego wśród kopalń złota w dawnym Transwalu, godzinę drogi od Johannesburga. – Chciałem być lekarzem, ale rodziców nie było stać na opłacenie studiów medycznych. Teologia była tańsza”.

Kapłanem został też za sprawą poznanego w dzieciństwie, w Soweto, anglikańskiego pastora Trevora Huddlestona. Mandela powiedział, że żaden biały nie uczynił tyle dobrego dla Południowej Afryki, co ten misjonarz przybyły z Wielkiej Brytanii. Huddlestone w kazaniach i pismach potępiał apartheid jako grzech i wspierał prześladowanych czarnych (to on sprezentował muzykowi Hugh Masekeli pierwszą profesjonalną trąbkę). Opiekował się Tutu, gdy ten jako chłopak zachorował na gruźlicę i prawie dwa lata przeleżał w szpitalu. Pastor stał się dla niego duchowym przewodnikiem i mistrzem.

W 1961 r., po nauce w seminarium, 30-letni Tutu został wyświęcony na księdza. W Południowej Afryce dojrzewał bunt czarnych. W 1960 r., w miasteczku Sharpeville pod Johannesburgiem, policja zastrzeliła ponad 60 czarnych. W obawie przed rozruchami biały rząd wprowadził stan wyjątkowy, tysiące osób zostało wtrąconych do aresztów. Uznał też Afrykański Kongres Narodowy za organizację wywrotową i zakazał jego działalności. Kongresowa młodzież z Mandelą na czele wystąpiła przeciwko przywiązaniu do pacyfizmu starym przywódcom (należał do nich czwarty noblista, zuluński wódz Albert John Luthuli, który właśnie w 1960 r. otrzymał nagrodę). Mandela wyjechał do Etiopii i Algierii szkolić się na komendanta partyzanckiej armii, której nigdy nie stworzył. Po powrocie

został wytropiony i skazany na dożywocie.

Tutu polityką się nie zajmował. Dzięki wsparciu Kościoła anglikańskiego (czwarty największy w Południowej Afryce; trzy czwarte jego wiernych stanowili czarni) wyjechał na naukę do londyńskiego King's College. Uważał Anglię za raj na ziemi. Wspominał, że ludzie byli dla niego uprzejmi, piłkarskie mecze ulubionej drużyny Arsenalu oglądał na tej samej trybunie, na którą przychodzili biali, a policjanci zwracali się do niego „sir”.

Po powrocie do Afryki w 1975 r. Tutu, wyróżniający się błyskotliwym intelektem, charyzmą, światowym obyciem (wiele podróżował dzięki stypendium Światowej Rady Kościołów) i wigorem, został pierwszym czarnym dziekanem anglikańskiej katedry św. Marii w Johannesburgu, a rok później biskupem w królestwie Lesotho. W 1978 r. jako pierwszy czarny objął stanowisko sekretarza generalnego Południowoafrykańskiej Rady Kościołów.

Bojownik

Południowa Afryka była pariasem, karany przez resztę świata ostracyzmem i sankcjami, a czarna młodzież, pozbawiona przywódców – których jak Mandelę wtrącono do więzienia, zmuszona do ucieczki z kraju jak towarzyszy Mandeli albo zamordowana jak Steve'a Biko – szukała nowych przewodników.

Jedni słuchali żony Mandeli, Winnie, która osamotniona i prześladowana przez tajną policję poddała się żądzy zemsty, nienawiści i przemocy. Jej zwolennicy mordowali szpicli i kolaborantów, paląc ich żywcem w „płonących naszyjnikach”, oponach samochodowych oblewanych benzyną, wciskanych nieszczęślikom na ramiona i podpalanym.

Inni słuchali duchownych, wyczulonych na krzywdę i sprzeciwiających się niegodziwym porządkom. Pastorzy Huddlestone, Tutu, Beyers Naudé, Paul Verryn, Michael Lapsley, Njongonkulu Ndungane, Frank Chikane, Allan Boesak czy katolicy księża Denis Hurley i Wilfrid Napier z kapłanów, niespodziewanie dla nich samych, stali się duchowymi przywódcami powstania. Południowoafrykańskie Kościoły anglikański, katolicki i metodystyczny występowały przeciwko apartheidowi. Holenderski Kościół Reformowany – poza nielicznymi

→ wyjątkami, jak Beyers Naudé – usprawiedliwiał segregację rasową, szukając jej uzasadnienia w Biblii.

Jako anglikański dziekan Tutu mógł zamieszkać w którejś z dzielnic Johannesburga, zastrzeżonych dla białych, musiał tylko o to poprosić rządzących. Wybrał dom w Soweto.

Pracę w parafii zaczął od pogrzebów ofiar ulicznych starć z policją. „Jestem już zmęczony tych chodzeniem tydzień w tydzień na pogrzeby, wygłaszaniem mów nad mogiłami – powiedział podczas któregoś z nich. – Najwyższa pora, byśmy przestali marnować ludzkie życie”.

Wspominał, że jako ksiądz nie mógł nie zająć się polityką. „Nigdzie nie jest tak łatwo być dobrym chrześcijaninem jak w Południowej Afryce – mówił. – Nigdzie granica między dobrem a złem nie jest tak wyraźna”.

Odbierając Pokojową Nagrodę Nobla mówił, że tyrania, przemoc i dyskryminacja odczłowieczają zarówno ofiarę, jak prześladowcę, że ofiara i prześladowca potrzebują się nawzajem, by odzyskać człowieczeństwo. „Jest ono możliwe jedynie we wspólnocie, w solidarności – mówił. – To jest właśnie Ubuntu: jestem, ponieważ ty jesteś”.

To miał też pewnie na myśli, gdy po upadku apartheidu nadawał Południowej Afryce imię „Ludu Tęczy”, wielobarwnego, różnorakiego, ale pojednanego ze sobą i ze światem. Ludu, który wybacza, ale nie zapomina, że co było, potrafi wspólnie zabiegać o lepsze jutro.

Szybko pojął, że kapłańska szata pozwala mu mówić i robić to, co jego rodakom było zabronione. Piewcom apartheidu odwołującym się na każdym kroku do Biblii niezręcznie było więzić księży. Tym bardziej że Tutu, sprzeciwiając się apartheidowi, nie wzywał do zemsty, lecz pojednania. Występował przeciwko apartheidowi, odrzucając nie tyle polityczny porządek, co niesprawiedliwość. Przekonał do tego całą Południowoafrykańską Radę Kościołów, która stała się awangardą ruchu wyzwolenczego.

Wygłaszał żałobne mowy podczas pogrzebów ofiar rozruchów i skrytobójczych mordów, dokonywanych przez białe „szwadrony śmierci”. Kroczył na czele protestacyjnych marszów, a swoje katedry w Johannesburgu, a potem także w Kapsztadzie uczynił azylami dla działaczy praw człowieka, przeciwników apartheidu i ich adwokatów.

Potępiał apartheid, ale także przemoc, po jaką czarna młodzież coraz częściej i coraz chętniej sięgała, by walczyć z białym reżimem. W lipcu 1985 r. w Duduzie na przedmieściu Johannesburga, po pogrzebie, któremu przewodniczył, ocalał życie szpicelowi, którego wzburzony tłum zamierzał spalić żywcem. Ściągnął z nieszczęśnika „płonący naszyjnik” i zapowiedział, że jeśli tak będzie się toczyć walka o wolność, wyjedzie z kraju na zawsze.

Biali mieli go za groźnego fanatyka, a czarni radykałowie uważali, że zanadto cacka się z białymi, że dopuszcza się zdrady, przekonując, że z białymi trzeba szukać zgody. „Jeśli pragniesz pokoju, układasz się z wrogami, a nie z przyjaciółmi” – odpowiadał.

Był wspaniałym mówcą, a każde przemówienie, powielane w dziennikarskich korespondencjach, czyniło go jeszcze sławniejszym. Międzynarodowy rozgłos stawał się dla Tutu jeszcze lepszym listem żelaznym niż kapłańska szata.

Przemierzał świat wzdłuż i wszerz przekonując prezydentów i premierów, by zerwali kontakty z Południową Afryką, rządzoną przez białych rasistów. Amerykańskiego prezydenta Ronalda Reagana i brytyjską premier Margaret Thatcher, którzy sprzeciwiali się sankcjom, też nazwał rasistami. Przemawiając w ONZ, zrównał apartheid z hitleryzmem.

Niedługo potem, w 1984 r., przyznano mu Pokojowego Nobla, a dwa lata później został arcybiskupem Kapsztadu, pierwszym czarnym zwierzchnikiem Kościoła anglikańskiego w Południowej Afryce. „Stał się symbolem ruchu wyzwolenczego” – przyznawał Frank Chikane.

Jako arcybiskup napisał do Frederika de Klerka, który w 1989 r. został nowym prezydentem kraju, że jeśli uwolni Mandelę i unieważni przepisy apartheidu, czarni wybaczą białym krzywdy. A gdy w lutym 1990 r. Mandela wyszedł na wolność, Tutu ogłosił: rzucam politykę, niech się nią teraz Mandela zajmuje.

Cztery lata później, po pierwszych wolnych wyborach, w których głos czarnych liczył się tak samo jak białych, Mandela został pierwszym czarnym prezydentem Południowej Afryki. Tutu wyznał, że słuchając, jak Mandela składa prezydencką przysięgę, pomyślał: „Boże, jeśli każesz mi umrzeć teraz, nie będę miał nic przeciwko”.



PAUL HACKETT / CORBIS / GETTY IMAGES

Trzy wcielenia

Mandela poprosił Tutu, by pokierował Komisją Prawdy, mającą ujawnić i rozliczyć zbrodnie epoki apartheidu. W tym wcieleniu widziałem go w grudniu 1997 r. w Johannesburgu, gdy błagał swoją sąsiadkę, byłą żonę Mandeli, Winnie (Nelson rozwiódł się z nią po wyjściu z więzienia z powodu małżeńskiej niewierności), by przyjęła na siebie winę za śmierć ludzi, których jej zwolennicy z Soweto zamordowali jako policyjnych konfidentów.

„To była wojna, a ja w niej walczyłam, podczas gdy wielu z was przyglądało się temu w telewizji, siedząc wygodnie w fotelach” – odpowiadała Winnie swoim oskarżycielom i sędziom.

„Byłaś naszą boginią wolności – mówił drżącym głosem Tutu. – Ale stało się jednak coś złego, czego nie potrafię nazwać. Błagam cię, błagam, błagam. Zdobądź się na to, by przyznać, że stało się coś złego, coś poszło nie tak. I proszę o wybaczenie”. Winnie wykrztusiła słowa przeprosin. Ale ani nie uznała winy, ani nie prosiła o przebaczenie. I tak na dobrą sprawę nie wiadomo nawet, co miała na myśli mówiąc, że „coś poszło nie tak”. Wielką poli-



Arcybiskup Desmond Tutu na ceremonii wręczenia Nagrody Templetona w Londynie. Nagroda przyznana została „za inspirowanie ludzi na całym świecie poprzez promowanie przebaczenia i sprawiedliwości”. Londyn, 24 maja 2013 r.

tykę czy własne życie, straconą młodość, miłość i marzenia?

Powołanie Komisji Prawdy było jedną z pierwszych decyzji prezydenta Mandeli, który uznał, że poznanie prawdy o przeszłości jest nie tylko konieczne, ale także ważniejsze od karania winnych. Za szczere wyznanie grzechów, wyrażenie skruchy i gotowość naprawienia krzywd winowajcy, także ci odsiadujący już kary więzienia, mogli liczyć na łaskę i wybaczenie.

Ale nie wszyscy zgodzili się zeznawać, inni ujawniali tylko to, co było dla nich wygodne. „Winy i skrucę wyznawali ci, którzy wykonywali rozkazy, a nie ci, którzy je wydawali” – mówił rozczarowany Tutu.

Po raz pierwszy widziałem go w kwietniu 1993 r. na żałobnym wiecu na stadionie w Soweto, na którym żegnano Chrisa Haniego, jednego z najważniejszych czarnych przywódców, zamordowanego przez białego imigranta. W gazetach pisano, że Haniego zabili obrońcy apartheidu, by sprowokować czarnych do wojny domowej, która uderzałaby pokojowe rokowania z Mandelą, ocaliła stare porządki.

Biali mieli go
za groźnego fanatyka,
a czarni radykałowie uważali,
że jest zbyt ugodowy.
**Przekonywał, że trzeba
z białymi szukać zgody.**

Wypełniony po brzegi stutysięczny stadion kipiał gniewem i żądzą zemsty, wokół trwały zamieszki, płonęły policyjne samochody. Zdawało się, że nic nie powstrzyma mścicieli, a kondukt pogrzebowy, zanim ze stadionu dotrze na cmentarz, zniszczy na swej drodze wszystko, co białe. Zgromadzeni na trybunach nie chcieli słuchać przemów i modlitw o pokój i pojednanie. Woleli śpiewać rewolucyjne pieśni o walce, męczeństwie i zwycięstwie. Nieuważnie i z rozdrażnieniem słuchali Mandeli.

Ale dali się uwieść Tutu, który potrafił hipnotyzować. Jak szaman zaczarował i odmienił wzburzony tłum. Sto tysięcy wołało za nim: „Będziemy wolni!

Będziemy wolni wszyscy!”. Kiedy spostrzegł, że ludzie słuchają go i robią, co im powie, zawołał: „Jesteśmy Bożym ludem tęczy! Nikt nas nie powstrzyma w marszu do zwycięstwa, po wolność! Bóg jest po naszej stronie!”.

Po raz ostatni widziałem go na tym samym stadionie w Soweto, ale już na sportowych igrzyskach. W 2010 r. w Południowej Afryce zaczynały się piłkarskie mistrzostwa świata, pierwsze na tym kontynencie. Na trybunie honorowej Tutu, jak zwykle, sypał żartami, z których większość dotyczyła jego niewielkiego wzrostu i wielkiego nosa. Tym razem opowiedział, jak to chrześcijańscy misjonarze nawracali Afrykę. „Mieli Biblię, a my, Afrykanie, mieliśmy ziemię. Powiedzieli nam: zamknijcie oczy i módlcie się do Pana. Posłusznie zrobiliśmy, jak nam kazali – mówił. – A kiedyśmy rzekli: »Amen« i otworzyli oczy, okazało się, że teraz myśmy mieli Biblię, a oni ziemię”.

Do końca życia zajmował się tysiącem spraw. Potępiał zachodnią inwazję na Irak, prześladowania Palestyńczyków w Izraelu, tyranię w Zimbabwie, uczył zgody w Kenii, Greków i Turków na Cyprze, Hiszpanów i Basków, wytykał korupcję i prywatę następców Mandeli w Południowej Afryce, upominał się o prawa chorych na AIDS, mniejszości seksualnych. Domagał się wyświecania kobiet na kapłanów (córka Tutu, Mpho, była pastorem, ale straciła uprawnienia kapłańskie po poślubieniu partnerki, Marceliny van Furth) oraz walki o ochronę środowiska naturalnego i klimatu, opowiadał się za prawem do eutanazji.

Mandela lubił się z Tutu przekomarzać. Kiedy Tutu wytykał mu, że stroi się jak panna na wydaniu, Mandela odparł, że nie może poważnie traktować tego, co w sprawach mody ma do powiedzenia facet, który na co dzień chodzi w sukience. Ale powiedział też kiedyś: „Jeśli Desmond nie trafi do nieba, nikt z nas się tam nie dostanie”. ©© WOJCIECH JAGIELSKI

Boża kalkulacja ryzyka

RABIN DAVID ROSEN:

Odkryłem, że duchowni chrześcijańscy byli ignorantami na temat mojej religii. Zdziwiło mnie to zwłaszcza u biskupów, bo zakładałem, że muszą wiedzieć coś o korzeniach chrześcijaństwa, czyli o Żydach i o judaizmie.

ZUZANNA RADZIK: Od wielu lat angażujesz się w dialog żydowsko-chrześcijański. Czy miewasz czasem wątpliwości?

RABIN DAVID ROSEN: Nie – zdarzają się rozczarowania, frustracje, chwile, kiedy jestem zły, ale wątpliwości nie mam żadnych. I czuję się niewiarygodnie uprzywilejowany, że mogę robić to, co robię, i być tam, gdzie jestem. Radość z tego, czym się zajmuję, wynagradza każdą frustrację.

Jak stałeś się zawodowcem od dialogu międzyreligijnego?

Zacząłem się w Południowej Afryce za czasów apartheidu, gdzie trafiłem w ramach delegacji jako bardzo młody rabin do największej wtedy na świecie kongregacji ortodoksyjnej w Sea Point na przedmieściach Kapsztadu. Miałem zostać rok lub dwa, ale złożono mi propozycję, której się nie odrzuca: jako młodziutki rabin zostałem głównym rabinem synagogi wielkości mamuta. Zgodziliśmy się z moją żoną Sharon zostać w Południowej Afryce pod warunkiem, że będziemy mogli aktywnie zaangażować siebie i wspólnotę w walkę o sprawiedliwość społeczną. Można to było robić relatywnie bezpiecznie poprzez działania międzyreligijne.

Czyli przez walkę o prawa obywatelskie do dialogu międzyreligijnego.

Szukałem sposobu zbudowania relacji z różnymi chrześcijańskimi wyznaniem i społecznością muzułmańską przez zaangażowanie w Forum Międzyreligijne. Był to fascynujący proces. Najpierw odkryłem, że duchowni chrześcijańscy byli ignorantami na temat mojej religii. Zdziwiło mnie to zwłaszcza u biskupów, bo zakładałem, że muszą wiedzieć coś o korzeniach chrześcijaństwa, czyli o Żydach i o judaizmie. Spotykałem

się ze strasznymi stereotypami, ale ludzie, którzy je żywili, nie byli źli, tylko nigdy nie mieli kontaktu z Żydami. W przypadku muzułmanów pojawiały się z kolei napięcia polityczne. Potem zdałem sobie sprawę, że nie tylko oni niewiele wiedzieli o mnie, ale też ja sam musiałem ich zrozumieć i się nauczyć.

I czego się dowiedziałeś?

Zrozumiałem, że są to nie tylko wspólni ludzie, ale że dzielimy te same wartości. Co rodzi wspólną odpowiedzialność, by je promować. Jeśli tego nie robimy, nie jesteśmy tym wartościom wierni.

Potem zrobiłem następny krok, na który większość rabinów ortodoksyjnych nie była jeszcze gotowa. Zadałem sobie pytanie o znaczenie innych religii w Bożej ekonomii, czyli o to, co Bóg mówi przez nie do nas. Byłem dorosłym człowiekiem, rabinem przewodzącym synagodze, ale nigdy wcześniej o to nie pytałem. Twierdzimy, że Bóg jest większy niż nasze pojmowanie Go, a zatem jest większy niż którakolwiek z religii.

Co takie widzenie zmienia?

Doświadczam międzyreligijnych działań jako duchowo rozwijających i pozwalających mi dostrzec Boga poza ramą mojej tradycji. Nie dlatego, że moja tradycja jest niewystarczająca czy problematyczna, ale w uznaniu, że są różne ścieżki do Boga. A w końcu, jak mówił Martin Buber, z chrześcijanami dzielimy Księgę i nadzieję. I to nie jest mała rzecz.

Wkrótce potem zostałeś naczelnym rabinem Irlandii.

Po tym, jak wyrzucili mnie z Południowej Afryki, znalazłem się w Irlandii. Mój poprzednik lord Immanuel Jakobowitz mówił: Irlandia jest w 95 procentach katolicka, w 5 procentach prote-

stancka, a ja jestem rabinem naczelnym pozostałych. Przesada, ale pokazuje, że nie da się poważnie sprawować tego stanowiska, ignorując chrześcijańską wielkość. To było ponad 35 lat temu, a więc w czasach bardzo katolickiej Irlandii. Ze względu na stanowisko byłem zaangażowany w dyplomatyczne i akademickie życie kraju. A ponieważ moją pasją stał się dialog międzyreligijny, 30 lat temu zaś nie było aż tak wielu ortodoksyjnych rabinów, których to interesowało, dostawałem mnóstwo zaproszeń.

Jakie było Twoje najlepsze i najdziwniejsze międzyreligijne spotkanie?

Oba będą z początków mojej działalności, bo wraz z doświadczeniem masz mniej zaskoczeń, zarówno pozytywnych, jak i negatywnych. Najbardziej pozytywne było takie: pewnego dnia w Kapsztadzie przyszedł do mnie ksiądz, którego wcześniej nie spotkałem. Chciał mi powiedzieć, jak mocno odczuwa ciężar chrześcijańsko-żydowskiej historii, ale również jak jest szczęśliwy, że żyje w czasach Soboru Watykańskiego II i po ogłoszeniu soborowej deklaracji „Nostra aetate” (o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich). Nic to dla mnie nie znaczyło, bo wcześniej nie słyszałem o Soborze ani o tym dokumencie. Bardzo chciałem poznać żydowskie korzenie chrześcijaństwa i spytał, czy mógłby przyjść do synagogi. Nigdy nie spotkałem takiego pragnienia poznania Żydów nie tylko ze względu na historię, lecz także teologiczne zakorzenienie. Stał się regularnym gościem w naszym domu, bawił się z naszymi córeczkami, zostaliśmy przyjaciółmi. Ta przyjaźń otworzyła także mnie – dzięki niej wyzbyłem się własnych stereotypów.

A doświadczenie najbardziej dziwaczne?

Będąc właściwie antytezą tego, o którym opowiedziałem, choć ostatecznie dobrze się skończyło. Wiedziałem, że w Południowej Afryce najważniejsze będzie zaangażowanie w dialog Holenderskiego Kościoła Reformowanego. Oni byli ideowym zapleczem partii nacjonalistycznej, która zrodziła i narzuciła apartheid. Mówiono o nich „partia nacjonalistyczna w modlitwie”. Usłyszałem o ich duchowym centrum w Kapsztadzie, gdzie prowadzony był dialog z katolikami. A trzeba wiedzieć, że dla Holenderskiego


RABIN DAVID ROSEN (ur. 1951)

jest dyrektorem ds. kontaktów międzyreligijnych w American Jewish Committee. Od ponad 40 lat dba o zrozumienie i dobre stosunki między wspólnotami religijnymi. Wielokrotnie nagradzany, otrzymał m.in. odznaczenie papieskie w 2005 r. za wkład w pojednanie żydowsko-katolickie, a w 2010 r. został mianowany CBE (Commander of the British Empire) przez królową Elżbietę II za pracę promującą zrozumienie i współpracę międzywyznaniową. Wywiad został przeprowadzony w ramach cyklu comiesięcznych spotkań „Wspólne dziedzictwo: rozmowy o relacjach chrześcijańsko-żydowskim” prowadzonych online przez Forum Dialogu. Wszystkie nagrania z polskim tłumaczeniem można zobaczyć na kanale YouTube.

Kościół Reformowanego w RPA istniały dwa zagrożenia: „czarne” i „katolickie” – *zwart gevaar* i *romeins gevaar*. Kościół katolicki był anty-Kościółem. Pomyślałem: jeśli rozmawiają z katolikami, to może spotkają się także z Żydem.

Udało się?

Pierwsze spotkanie rozpocząłem stwierdzeniem, które świetnie działało na wszystkich innych: że to, co mamy wspólnego, jest o wiele ważniejsze, niż to, co nas dzieli. Ku mojemu zdziwieniu mój rozmówca odpowiedział: „Nie mogę się z tobą zgodzić, rabinie. Najważniejsza dla mnie rzecz nas różni. Nie podzielasz mojej wiary w Jezusa jako zbawiciela. Muszę więc powiedzieć ci prawdę: będziesz się smażył w piekle. Mógłbym się z tobą spotykać tylko po to, by spełnić swój chrześcijański obowiązek: nawrócić cię i ocalić”. Jestem wdzięczny Najwyższemu, że pobłogosławił mnie wtedy spokojem. Odpowiedziałem mądrzej, niż można by się spodziewać po moim młodym wówczas wieku: „Dziękuję ci za szczerość. Uważam wciąż, że jest bardzo ważne, żebyśmy się spotykali i żebyś ty zrozumiał, jak ja myślę, a ja żebym zrozumiał ciebie. W związku z tym, co powiedziałeś, będziesz musiał przychodzić na spotkania, bo daję ci okazję, byś mnie nawró-

cił. Inaczej nie spełnisz swojego chrześcijańskiego obowiązku”. Był rozbawiony i przyszedł. Z czasem przyprowadził innych. Dla mnie była to lekcja, że nie powinno być zbyt wielu sytuacji, w których byłbyś gotów walczyć. I że ważne jest angażować ludzi tam, gdzie są, by zaprowadzić ich w inne miejsce.

Czyli w dialogu trzeba ośwoić też wrogość i niechęć?

Skoro już mówimy o krytycyzmie i wrogości, to najwięcej jej spotkało mnie z żydowskiej strony. Ludzie odbierają to, co robię, jako brak lojalności wobec naszej własnej tradycji. Na szczęście z każdym rokiem rzadziej. Teraz nawet od ultraortodoksów w Izraelu nie doświadczam już takiej niechęci wobec mojej pracy jak 20-30 lat temu. Niekoniecznie w nią wierzą i nie chcieliby jej sami wykonywać, ale uznają, że ktoś musi się tym zająć.

Po ponad pół wieku dialogu widać efekty.

W 50. rocznicę „Nostra aetate”, a podkreślę, że deklaracja ta była prawdziwą rewolucją, Watykan wydał dokument i zaprosił mnie przy jego ogłaszaniu na konferencję prasową, podczas której mogłem się odnieść do niego nieco krytycz-

nie. To jest coś nowego. Potem w odpowiedzi na ten rocznicowy dokument mamy dwa ortodoksyjne żydowskie dokumenty: „Spełniać wolę naszego Ojca w Niebie”, który teologicznie idzie nieco dalej, i drugi, „Od Rzymu do Jerozolimy”, podpisany przez Konferencję Rabinów Europejskich (organ ortodoksji w Europie), Radę Rabinów Ameryki (organ ortodoksyjnych rabinów w Ameryce) oraz Naczelną Komisję Rabinów Izraela ds. Stosunków Religijnych reprezentującą ortodoksję w Izraelu.

Czyli zmiana dzieje się na naszych oczach i warto cierpliwie rozmawiać?

Myślę, że jest to również ogólna nauka moralna, ważna dziś w wielu dziedzinach, w tym w odniesieniu do świata muzułmańskiego. Nawet jeśli ludzie źle się zachowywali w stosunku do ciebie i mówili o tobie złe rzeczy w przeszłości, to jeśli dziś są gotowi podać ci rękę, masz moralny obowiązek ją przyjąć. Zacytuj z Talmudu Jerozolimskiego: jeśli działanie, o którym myślisz, może być *chillul Haszem*, czyli zbezczeszczeniem imienia Boga, albo może okazać się *kidusz Haszem*, czyli uświęceniem imienia Boga, to idź w to, bo korzyści z ewentualnego *kidusz Haszem* przeważają nad negatywnymi konsekwencjami możliwego *chillul Haszem*.

Boża kalkulacja ryzyka.


→ Takie myślenie kierowało mną we wszystkich międzyreligijnych działaniach. Musisz zawsze pamiętać, że każda istota ludzka jest stworzona na boski obraz, każde spotkanie z drugą osobą, bez względu na to, jak przykre, jest nadal jakimś spotkaniem z boskością. Zawsze musisz reagować pozytywnie tam, gdzie są pozytywne możliwości, szukać tych okazji i podejmować skalkulowane ryzyko dla dobra tej relacji, a ostatecznie dla dobra ludzkości.

Kościół katolicki, z którym prowadzicie dialog, zmienia się i jest coraz mniej Kościołem globalnej Północy. A to w Europie i USA rozwijał się dialog, motywowany refleksją nad Zagładą i dziedzictwem antysemityzmu. Jak widzisz perspektywę dialogu z katolickim światem, którego 45 procent mówi po hiszpańsku, a do największych katolickich krajów należą Filipiny, Meksyk i wkrótce Kongo?

To wyzwanie, ale podchodzę do tego optymistycznie. Po pierwsze, uważam, że poczucie winy nie jest dobrą podstawą do jakiegokolwiek związku. Nie chcę, żeby ludzie zapomnieli o Zagładzie ani o historii chrześcijańskiego antysemityzmu, ale nie chcę też, żeby nimi byli motywowani. Zdrowiej jest, gdy te relacje są oparte na Buberowskim przekonaniu, że dzielimy Księgę i nadzieję, na rozpoznaniu wspólnych źródeł i na tym, że jesteśmy – używając słów rabina Yitza Greenberga – dwoma midraszami do wspólnego tekstu. Na możliwości wzbogacenia się nawzajem. Afrykańskie chrześcijaństwo jest silniej zakorzenione biblijnie niż chrześcijaństwo w Ameryce Łacińskiej. Kościół

katolicki odpowiadający w tych krajach na wyzwanie zielonoświątkowe też często staje się bardziej biblijny. Widzę na świecie pozytywną dynamikę: chrześcijanie z dość zróżnicowanego spektrum chcą lepiej rozumieć żydowskie źródła swojej tożsamości religijnej.

Kiedy rozmawiasz ze Stolicą Apostolską w imieniu Naczelnego Rabinatu Izraela, to prowadzisz dialog międzyreligijny czy dyplomatyczny?

Nie widzę sprzeczności. Te dwie rzeczy są powiązane. Pytanie jednak powinno być skierowane przede wszystkim do samej Stolicy Apostolskiej. Czy jest to państwo czy religia? Czy jest to aparat dyplomatyczny czy autorytet teologiczny? Watykan odpowiada, że nie można oddzielić tych elementów. Więc i dla mnie są nierozdzielalne. Kontekst określi, co jest głównym celem i jakiego języka używamy.

Przejdźmy na chwilę do kontekstu muzułmańskiego. Byłem zaangażowany w rozmowy międzywyznaniowe, które towarzyszyły zawarciu umowy między Izraelem, Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i Bahrajnem. Tu znów w grę wchodziło wiele czynników: interesy polityczne, dyplomatyczne, strategiczne, finansowe i gospodarcze, także bezpieczeństwo, a ostatecznie szło o wzajemne zbliżenie. Jednak nazwa umowy – „Porozumienie Abrahama” – wzięła się z przekonania, że musi też zadziałać psychiczno-duchowy klej. Można z dnia na dzień dokonać dyplomatycznej i ekonomicznej zmiany. Ale jeśli masz społeczeństwa – a dotyczy to arabskiego świata muzułmańskiego i całego świata muzułmań-

skiego – które od pokoleń są karmione wrogością wobec Izraela i narodu żydowskiego, to potrzebujesz czegoś znacznie głębszego. Pragmatyczne interesy nie wystarczą.

Kiedyś rozmawialiśmy o panelu, na którym biskup wygłosił bardzo ładne przemówienie. Złościłam się, że ktoś mu je napisał, i nie wierzyłam, by mówił z przekonaniem. A Ty tłumaczyłeś, że to świetnie, bo przemówienie zostało wygłoszone i będzie cytowane.

Czy mogę opowiedzieć historię o papieżu Franciszku, żeby podkreślić, o co mi chodzi?

Jasne.

Papież Franciszek to zarówno dobra, jak i zła wiadomość dla relacji żydowsko-chrześcijańskich. Jeśli spytasz, co jest ważniejsze: czy to, że ktoś jest przyjazny, czy to, że ma dobrą systematyczną wiedzę teologiczną, prawdopodobnie ważniejsze jest, żeby był przyjazny. Ale z teologicznego punktu widzenia Franciszek robił i robi rzeczy problematyczne.

Przez pierwsze lata pontyfikatu w swoich homiliach używał często terminów „faryzeusze” i „Żydzi” bez jakiegokolwiek rozróżnienia. W rzeczywistości robił dokładnie to, przed czym ostrzegały wytyczne do stosowania „Nostra aetate” z 1974 r. i uwagi z 1985 r.: by nie używać tych terminów ogólnie, ale umieszczać je w kontekście. On tego nie robił. Próbowałem na różne sposoby przekazać mu wiadomość przez jego żydowskich przyjaciół, ale bez rezultatów. Przez kardynałów szło trochę lepiej. Przypuszczam, że po prostu myślał: „Ten David Rosen jest jak ci obseksyjni Żydzi, wiecznie niezadowoleni. Kocham ich, ale czasami potrafią narzekać na wszystko, nie zamierzam na to zwracać uwagi”. I co zrobiliśmy?

Zorganizowaliście świetną konferencję o faryzeuszach w Papieskim Instytucie Biblijnym w Rzymie.

Podjęliśmy się czegoś, co można by nazwać naukową inicjatywą teologiczno-dyplomatyczną. Ponieważ Papieski Instytut Biblijny jest instytutem jezuitów, nie było problemu, aby przy okazji naszego spotkania na konferencji o Jezusie i faryzeuszach uzyskać audiencję u papieża. Sprowadziliśmy uczonych z całego świata, aby zajęli się tematem, i mogliśmy podkreślić pozy-

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 312/21 postępowanie z wniosku Skarbu Państwa – Starosty Jarocińskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy niezabudowanych nieruchomości położonych w Radlinie o powierzchni:

- 1,10,00 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 53/2 a. m. 2,
 - 0,29,33 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 169/3 a. m. 2,
 - 0,15,14 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 150/3 a. m. 3,
 - 0,22,34 ha, oznaczonej geodezyjnie jako działka 150/4 a. m. 3,
- dla których nie była prowadzona księga wieczysta.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

tywne nauczanie dokumentów kościelnych w odniesieniu do tego, jak nie należy używać terminu „faryzeusze”.

To teologia, a gdzie dyplomacja?

Papież nie pisze sam większości swoich przemówień. Ponieważ chodziło o spotkanie z jego kolegami z Papieskiego Instytutu Biblijnego, poprosił szefa Instytutu o przygotowanie komentarza. Tak więc przygotowano dla niego tekst ostrzegający przed dokładnie tym błędem, który sam robił. I od tej konferencji, przynajmniej jeśli chodzi o użycie terminu „faryzeusze”, nie popełnia błędów. To klasyczny przykład sytuacji, w której trzeba było użyć narzędzi dyplomatycznych wraz z nauką teologiczną, aby móc wywrzeć jakiś wpływ...

...wpływ na skorygowanie papieża.

Franciszek pewnie nie jest konsekwentny w swoim rozumieniu Żydów i judaizmu, ale to nie on jest problemem. Problemem jest, że jakiś ksiądz np. w Bogocie, który nigdy nie spotkał żadnego Żyda, powie sobie: skoro papież tak mówi o Żydach i faryzeuszach, dlaczego i ja nie miałbym w ten sposób mówić? I to są kwestie, które należy rozwiązywać poprzez mądre działania dyplomatyczne, poważnie traktujące wymiar teologiczny.

Nieźmiennie frustruje mnie, że piszemy ładne dokumenty, a i tak zawarte w nich nauczanie nie jest wcielane w myślenie teologiczne. A potem jesteśmy zdziwieni, że nawet papież, który ma przyjazne relacje z Żydami, nie wie, czego powinien unikać, kiedy o nich mówi.

Znasz różnicę między optymistą a pesymistą? Dlaczego optymista widzi szklankę do połowy pełną, a pesymista – w połowie pustą? Pesymista nie jest realistą. Oczekuje, że zobaczy pełną szklankę, patrzy od góry i widzi, że wody brakuje. Więc jest rozczarowany. Ale optymista patrzy od dołu. Wie, że szklanka była pierwotnie pusta, i dlatego dostrzega wszystko, co w niej jest. Kiedy zdasz sobie sprawę, gdzie byliśmy zaledwie pokolenie lub dwa temu i gdzie jesteśmy dzisiaj, jak możesz być kimś innym niż optymistą?

© Rozmawiała ZUZANNA RADZIK



ANNA GOMÓŁKA / FORUM

Bezdroża Ekstremalnej Drogi Krzyżowej w okolicy Kalwarii Zebrzydowskiej.

27 marca 2021 r.

Płeć duszy

ARTUR SPORNIAK

Powstanie „Męskiego Modlitewnika” może być sygnałem potrzeby męskiej duchowości. Tylko że próbując ją zaspokoić, stąpamy po polu minowym naszpikowanym stereotypami.

POMYŚL WYPAŁIŁ. W KILKA MIESIĘCY udało się zebrać 45 tys. zł potrzebnych do wydrukowania modlitewnika. Na prośbę o wsparcie odpowiedziało blisko 600 osób, z czego jedna trzecia to kobiety. Wydawca – katolicki portal lifestyle’owy Stacja 7 – miał to już przećwiczone: w 2019 r. wydał duchowy przewodnik „Weź i się módl”. Wtedy również udało się zebrać potrzebną kwotę. Wypracowano też nową formułę modlitewnika – na jego treść złożyło się 365 cytatów z Pisma Świętego, po jednym na każdy dzień, z kolei każdy cytat został zaopatrzony w rozważanie napisane przez jednego z księży lub zakonników zaangażowanych w wyda-

nie, krótką modlitwę oraz rachunek sumienia opracowany przez siostry zakonne.

Podobny schemat zastosowano w „Męskim Modlitewniku”. Z tą różnicą, że cytaty przeznaczone na poszczególne dni roku zostały wybrane nie tylko z Pisma Świętego. Znalazły się wśród nich także wypowiedzi znanych osób albo postaci literackich zaczerpniętych np. z sagi o wiedźminie czy „Władcy pierścieni”. Z kolei codzienne zadanie do wykonania przygotowała osoba świecka – ze wstępu wiemy, że jest to „mąż i ojciec”. Opracowanie komentarzy do cytatów i modlitwy – podobnie jak we wcześniejszym

→ modlitewniku – powierzono grupie 60 księży i zakonników.

„Wszystko jest tu konkretne – czytamy we wstępie – od rozważań, przez modlitwę, aż do postanowienia. Bez napuszonego słownictwa, z częstym odwołaniem do popkultury i przede wszystkim konkretnych ludzkich problemów”. Najważniejszym wyróżnikiem jest jednak to, że zgodnie z życzeniem wydawcy jest to propozycja skierowana „tylko dla mężczyzn”.

Czy poszukiwanie duchowości zorientowanej na płeć ma dzisiaj sens?

Nauki stanowe

Dawniej Kościół prowadził – oprócz powszechnego – także duszpasterstwo skierowane osobno do mężczyzn i kobiet. W Adwencie i Wielkim Poście odbywały się tzw. nauki stanowe. Była to odpowiedź na dominującą w społeczeństwie sztywną patriarchalną strukturę rodziny wielopokoleniowej, gdzie każdy miał swoje własne miejsce.

Zawierając małżeństwo, wchodziło się w nowy stan społeczny z określonymi obowiązkami i przywilejami – innymi dla żony, a innymi dla męża. Gdy pod wpływem społecznych zmian, związanych przede wszystkim ze wzrostem dobrobytu i emancypacją kobiet, rodzina wielopokoleniowa zaczęła się przekształcać w rodzinę nuklearną (dwupokoleniową: rodzice i dzieci), budowaną coraz częściej na małżeństwie partnerskim, duszpasterstwo stanowe straciło rację bytu.

Dzisiaj nie znajdziemy raczej nauk stanowych. Jest jednak rzeczą interesującą, że około czterystu mężczyzn wyłożyło łącznie dość znaczną sumę, żeby mógł



**MĘSKI
MODLITEWNIK**
red. Aneta
Liberacka

Wydawnictwo
Stacja 7,
Kraków 2021

powstać „Męski Modlitewnik”. To może być sygnał wyraźnej potrzeby „męskiej” duchowości. Próbuując ją zaspokoić, stąpamy jednak po polu minowym naszpikowanym stereotypami.

Gdy weźmiemy jakikolwiek dobry podręcznik do współczesnej psychologii, nie znajdziemy rozdziału „Psychologia płci”, znajdziemy za to rozdział „Psychologia różnic indywidualnych”. Okazało się, że zmienność różnych osiągnięć w obrębie danej płci jest nieporównywalnie większa niż zmienność międzypłciowa. Duże różnice występują tylko w kilku dziedzinach (motoryka, agresja, seks). „W innych (komunikacja i zachowania społeczne) są one umiarkowane, w jeszcze innych małe (zdolności, osobowość) lub bardzo małe (władza, szczęście)” – zauważa Bogdan Wojciszke w książce „Psychologia społeczna”.

Proponując narzędzie do kształtowania „męskiej” duchowości, powinniśmy tę wiedzę brać pod uwagę – świadomości zwłaszcza tego, że stereotypy o płciach, którymi do niedawna jeszcze żył Kościół, przyczyniały się do dyskryminacji kobiet.

Stereotypy

Najważniejszą cechą kobiety jest jej uroda, bo to ona przyciąga mężczyznę, niezbędnego, aby kobieta – słabsza płeć – mogła się na nim oprzeć. Niestety, taki stereotyp znajdziemy w „Męskim Modlitewniku”. „Mów jej czasami, że pięknie wygląda, interesuj się tym, co się dzieje w szkole. Weź ją czasami na zakupy. Zamów u jubilera bransoletkę z napisem: »Nie zapomnij o swoim pięknie. Tata«” – czytamy w rozdziale „Córka”. „Od ciebie otrzymuje siłę, jaką jest męstwo; staje się dzielną kobietą. Przy tobie może doświadczyć, że jest ukochaną córką Stworzyciela. Przy niej – dla kobiecego świata – stajesz się wyraźnym znakiem obecności Ojca” – przekonuje autor-zakonnik w rozdziale „Ukochana”.

Na szczęście autorów rozważań jest tyłu, że owa mentalność nie pojawia się w większości rozdziałów. I choć czytelnik jest wzywany do tego, aby był silny, dziki, waleczny, przygotowany do bitwy, to zwykle chodzi o zmagania z własnymi słabościami i nałogami, męskie stereotypy nie są zatem aż tak groźne.

Czasami dziwny księżowski komentarz prostowany jest przez zamykające rozdział „Zadanie”, sformułowane przez wspomnianego „męża i ojca” (np. w rozdziale „Przykazanie”, gdzie Boże błogosławieństwo „Bądźcie płodni, mnożcie się i zaludniajcie ziemię...” przyrównane jest do zawodów, w których... „chodzi o to, aby wygrać”).

Być może dałoby się uniknąć wielu mielizn, gdyby wydawnictwo pozwoliło kształtować „męską” duchowość także kobietom.

Komplement

Podczas lektury „Męskiego Modlitewnika” przypomniało mi się pewne internetowe wydarzenie. W czasach, kiedy nie było jeszcze Facebooka, a ludzie spotykali się na forach dyskusyjnych, jedna z internautek zaproponowała męskim rozmówcom zabawę. Mieli odgadnąć komplement, który na pewno będzie skuteczny (w każdym razie autorka tego wątku była pod jego wrażeniem). Pojawiły się różne propozycje – w większości odnoszące się do kobiecego piękna. Dopiero pod koniec dnia inicjatorka zabawy zdradziła jego brzmienie: „Nigdy nie spotkałem tak inteligentnej osoby, jak ty”.

© © ARTUR SPORNIAC

Z żalem zawiadamiamy, że 24 grudnia 2021 r. zmarł

Ś.†P.

Jan Pelczar

Ewie i Edwardowi

wyrazy głębokiego współczucia

składają

PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

POŻEGNANIE

ZUZANNA

Radzik:

To jest ciało moje



POSZŁAM NA ZWYKŁE ZAKUPY PRZED KOLACJĄ, bo czegoś brakowało. Pospiesznie, bo wszystko wcześniej zamykają, a poza tym mży. Dla urozmaicenia wracałam inną przecnicą i gdy zaczęłam przecinać plac, zagadał przechodzień. W takich chwilach żołądek podpowiada, że na dnie tej sytuacji kryje się coś lepkiego i nie chcesz w niej być. Nie jesteś jednak pewna, a poza tym świat wychował cię na grzeczną dziewczynkę i kulturalną kobietę, która przede wszystkim dba o uczucia wszystkich wokół. Nie dajesz więc nic poznać po sobie, choć instynkt już wie, że to śmierdzi. „Nie mówię po francusku” – rzucam pospiesznie po francusku, na wszelki wypadek, bo co, gdyby chciał tylko drobne lub zapytać o drogę? „To po jakiemu mówisz?” – zagaduje, równając ze mną krok i zmieniając języki, jakby którymś chciał trafić. „Nie chcę z tobą rozmawiać” – dodaje w *lingua franca* współczesnego świata. „To po co odpowiadałaś?” – dopytuje i idzie za mną dalej. To centrum miasta, środek placu, nie ma obaw, ale i tak czuję się jak szczuta zwierzyna i nienawidzę tego, że to już kolejny z setek razy w życiu. I wtedy, zaskakując sama siebie, odwracam się na pięcie i nie swoim głosem, patrząc mu w oczy, spokojnie mówię: „Przestań za mną iść, przestań mnie nagabywać, bo zacznę krzyczeć”.

Co to było? Kto to powiedział? Przecież nie ja, bo choć chcę, by każda dziewczyna i kobieta umiała to z siebie wydobyć, zawsze grzecznie mi to w gardle. Jakie to obce i jakie... dobre. Wracam i czuję, jakbym się unosiła nad chodnikiem. Czyli takie to jest uczucie, gdy staniesz przy sobie, choć wszystko ci szepce, że nie wypada. Oj, żeby nie było, szepce dalej. Sunę dumna i niby taka wolna nad tym chodnikiem, ale szept w głowie nie daje spokoju: „A może naprawdę chciał tylko drobne, wiesz, jak okropnie musiał się poczuć?”. „Cicho! – krzyczę w środku sama na siebie. – A jak okropnie czuję się ja, gdy przez pół placu lezie za mną obcy

typ? Niech nie łązi, to nic mu nie będzie”. Wracam dumna, że stanęłam za sobą. Mała rzecz, codzienne zakupy, zwykły wieczór.

Tylko skąd mi się to wzięło? Przecież ja tego nie umiem. I wtedy chwytam nitkę energii, parę obrazów. To był film. Wracają do mnie sceny. „Byłam właśnie w trakcie smażenia, kiedy z parkingu doszły do mnie krzyki przerażenia. Rozpoznaję ten krzyk. Inna kobieta, ten sam krzyk” – mówi rytmicznie dziewczyna w burgerowni, wychodzi przed restaurację i interweniuje, gdy mąż bije siedzącą za kierownicą samochodu żonę. „Teraz zrobię tak, jak sobie obiecałam, bałam się przy takich łotrach, później to sobie wyrzucałam” – ciągnie. Podchodzi. On mówi: „To moja żona, robię, co chcę.” Ale ona obiecała sobie, że będzie ich bronić. „Ach tak?” – mówi. Popycha go raz, drugi. Dlaczego szokuje mnie jej wściekłość i przemoc, która w istocie jest obroną słabszej? Jego agresja jest przeczysta. Że jej nie wypada się wściec? To zapamiętałam: że jest wściekła, wolna i że wie, iż mamy prawo się bronić.

I drugi film. Przystanek, roztrzęsiona, ale silna dziewczyna. Adrenalina schodzi. Mówi: „Co tam robiłam? Szłam, kurwa. Za późno? Ulica jest dla ludzi, nie? Facet wyszedł na mnie spod wiaty przystanku”. Wracała z treningu. Zaszedł jej drogę, rzucił do niej, że jest dziwką, wyciągnął rękę, próbując dotknąć jej piersi. Więc uderzyła i zobaczyła, jak z twarzy cieknie mu krew. „Dlaczego mu to zrobiłaś?” – pyta przechodzień. W samoobronie, ale ten nie dowierza, jakby nie miała prawa, bo nie zdążył jej nic zrobić. Ale ona jest harda. Wściekła, roztrzęsiona, ale harda. Nie da sobie powiedzieć, że nie ma prawa. „To jest ciało moje” – śpiewa w ostatniej scenie.

Czekałam z ciekawością na ten projekt, ale potem przemknął mi w pędzie, zostawiając tylko te dwa obrazy. Kolektyw europejskich artystek przygotował 24 filmy oparte na prawdziwych wydarzeniach. Projekt „24H” ma walczyć z przemocą wobec kobiet. Ten o dziewczynie z przystanku napisała Grażyna Plebanek, a wszystkie etiudy dostępne są w zasobach telewizji Arte. O przemocy, więc pomyślałam, że nie o mnie, obejrzę kiedyś.

Teraz wracam z zakupów i przysysam się do ekranu, oglądając jeden za drugim. Mają werwę i rytm, wciągają. Są grube sprawy, przemoc domowa, molestowanie. I te pozornie mniejsze, jak wyzywanie w szkole od kurew czy komplement rzucany po to, by pokazać przewagę. Wciąż opowiadamy sobie między kobietami takie sytuacje. Ale większą moc świadectwa i budowania solidarności mają na ekranie. ©

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Chelmie I Wydziale Cywilnym w sprawie I Ns 484/21 z wniosku Mariusza Zarka toczy się postępowanie o stwierdzenie, że Jan Zarek oraz Danuta Zarek nabyli z mocy prawa przez uwłaszczenie własność nieruchomości położonych w obrębie Klesztów, gmina Żmudź, składających się z działek nr 17 o powierzchni 0,06 ha oraz nr 24 o powierzchni 0,41 ha.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tut. Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości, gdyż mogą być pominięci w postępowaniu o uwłaszczenie.

Przed Sądem Rejonowym w Tarnobrzegu w I Wydziale Cywilnym pod sygnaturą akt I Ns 632/21 toczy się postępowanie z wniosku Teresy Wilk o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierze Barszcz, z domu Róg, c. Wojciecha i Marii, zm. w dniu 10 września 2021r., w miejscowości Babule, o ostatnim miejscu zwykłego pobytu w Dąbrowicy.

Sąd Rejonowy w Tarnobrzegu wzywa spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



CZARNA NOC PUTINIZMU

W Rosji rok 2021 zaczął się aresztowaniem Aleksieja Nawalnego,
a skończył likwidacją Stowarzyszenia Memoriał.
Rok 2022 zaczyna się równie ponuro.

ANNA ŁABUSZEWSKA

Transmisja dorocznej konferencji prasowej
Władimira Putina. Moskwa, 23 grudnia 2021 r.

Zamknąć i zapomnieć

28 grudnia 2021 r. rosyjski Sąd Najwyższy zdecydował o zamknięciu Międzynarodowego Stowarzyszenia Memoriał. Dzień później moskiewski sąd miejski przychylił się do wniosku prokuratury o likwidację Centrum Praw Człowieka Memoriał.

Powody? Oficjalnym uzasadnieniem było rzekome niedopełnienie przez Memoriał wymogu umieszczania na wszystkich publikacjach informacji o tym, że organizacja jest „agentem zagranicznym”. Memoriał został wpisany na listę „agentów” kilka lat temu i wielokrotnie protestował w tej sprawie, podkreślając, że taka kwalifikacja jest bezpodstawna.

Zdaniem prokuratury uchybienia polegały też na tym, że Centrum Praw Człowieka na listę prześladowanych za poglądy polityczne wciągnęło osoby należące do organizacji, które władze Rosji uznają za ekstremistyczne. Dotyczy to m.in. członków struktur związanych z Aleksiejem Nawalnym (notabene, Federalna Służba Bezpieczeństwa regularnie przeprowadza obławy na byłych szefów regionalnych sztabów Nawalnego, zatrzymując ich pod naciąganyymi zarzutami, choć od kilku miesięcy struktury nie działają). Logika putinowskiego wymiaru sprawiedliwości polega na tym, by wykazać, że skoro Memoriał broni tych ludzi, to znaczy, że sam wspiera ekstremizm. Stowarzyszenie powinno więc być zamknięte za wspieranie działalności niezgodnej z prawem.

Sąd uznał ponadto za niedopuszczalne umieszczanie na liście osób represjonowanych przez komunizm tych, które wcześniej we współpracy z nazistami dopuszczały się zbrodni na Żydach w czasie II wojny światowej (przy czym wśród 3 mln ofiar takich represji w rejestrze Memoriału znaleziono tylko trzy nazwiska kolaborantów; sąd nie przyjął argumentów obrony, że w masie materiału może się znaleźć błąd, który nie przekreśla wartości całego zbioru).

Procesy nad Memoriałem, w tym niedawny kuriozalny wyrok 15 lat łagru w sfigowanym procesie dla szefa karelskiego oddziału Memoriału Jurija Dmitriewa, jak też wcześniejsze liczne szykany wobec współpracowników organizacji wpisują się w kremłowską kampanię przeciw „elementom nieprawomyślnym”.

Władze uzurpują sobie prawo do tworzenia jedynie słusznej narracji – czy to w kwestiach historycznych, czy w dyskursie publicznym, szczególnie na tematy polityczne. Żadna alternatywa mogąca rywalizować z Kremlem nie ma prawa nawet zakiełkować, a coś dopiero rozwijać działalność.

Coraz więcej „agentów”

Sposobem na zamykanie ust tym, którzy dociekają prawdy, wskazują na bezprawne działania władz i zwalczają kłamliwe tezy państwowej propagandy, jest nadawanie organizacjom, instytucjom, a ostatnio także mediom i osobom fizycznym statusu „agentów zagranicznych”.

Pretekstem do wpisania na listę „agentów” może być cokolwiek. Istotny powód jest jeden: do tego grona trafiają ci, którzy nie obsługują interesów Kremla i są dla systemu nie tylko nieprzydatni, ale także groźni. Szerzą wszak treści zawierające krytykę władz, a w fazie dojrzałego putinizmu na taką krytykę już dawno nie ma miejsca. Im więcej władza ma do ukrycia, z tym większą zaciekleścią atakuje tych, którzy wyłamują się z nakazanego wspólnego frontu poparcia dla umiłowanego przywódcy.

Co oznacza przyklejenie etykiety „agenta zagranicznego”? Zgodnie z zastrzeżeniami rok temu przepisami organizacja lub osoba z takim statusem musi składać władzom sprawozdania na temat swej aktywności i rozliczać się z każdego rubla, szczególnie z zagranicznych grantów. Daje to organom kontrolnym szerokie pole do nękania „agentów” i zakazywania im wszelkiej działalności pod pretekstem niedopełniania obowiązków. Na „agentach zagranicznych” spoczywa też obowiązek oznaczania swych publicznych aktywności i publikacji formułką mówiącą o tym, iż dana osoba, gazeta czy organizacja jest takim „agentem”. Niedopełnienie wymogu owocuje wysoką karą.

Ale najważniejsze jest postawienie „agentów” pod pręgierzem opinii, mielenie przez propagandowe młyny komunikatów, że to „ludzie zajmujący się polityką w interesach obcego państwa lub jego obywateli”, a zatem podejrzani o działalność przeciw ojczyźnie.

To jest już bliskie stalinowskiej tradycji – w czasach Stalina stosowano kategorię „wroga ludu”. Była ona jak wyrok: „wrog ludu” wypadał na margines



ALEXANDER NEMENOV / AFP / EAST NEWS

MŚCIWY PUTINIZM SPOWIJA ROSJĘ CORAZ ciemniejszym całunem. Obawiający się utraty władzy prezydent przesiadł się z fotela autokraty na tron dyktatora. Walec represji przetacza się przez środowiska, które wyrażają niezgodę wobec zamordyzmu. Dlatego nie należy spodziewać się, że w obronie zamykanego Memoriału na ulice wyjdą miliony. Nie będzie też masowych protestów przeciw trwającej eskalacji na granicy z Ukrainą ani przeciw wysłaniu do Kazachstanu rosyjskich oddziałów do tłumienia protestów. Zastraszanie ma efekt mrożący. Czy na długo?

→ społeczeństwa, tracił wszystko, często także życie. Teraz łatka „agenta zagranicznego” zamyka jej posiadaczom drzwi, ustanawia podział na tych, co grają w drużynie błagonadiożnych, i tych, co kombinują coś w interesie obcych państw.

„Siły pokojowe” w Kazachstanie

Na wewnętrzne zamiatanie ostatnich opilków demokracji i wolności w Rosji nakłada się generowane przez Kreml napięcie wokół Ukrainy i twardo wyrażane przez Putina pod adresem Zachodu żądania „gwarancji bezpieczeństwa”. Czyli wymuszenia na NATO, USA i UE zobowiązania, że uznają one prawo Moskwy do zatrzymania obszaru postsowieckiego w wyłącznej strefie jej wpływów, i że zgodzą się na obniżenie poziomu bezpieczeństwa nie tylko tego obszaru, ale także innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Na początku stycznia do międzynarodowej układanki Putina doszedł jeszcze jeden element: sytuacja w Kazachstanie. Masowe protesty społeczne przeciw podwyżkom szybko przerodziły się tam w ogarniające cały kraj demonstracje polityczne; uczestnicy domagali się dymisji rządu. Prezydent Kasym-Żomart Tokajew oskarżył uczestników protestów o terroryzm i zwrócił się z prośbą o przysłanie kontyngentów wojskowych przez kraje Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (to postsowiecki sojusz pod auspicjami Rosji). Kilka godzin później samoloty z rosyjskimi komandosami, nazywanymi „siłami pokojowymi”, lądowały w Kazachstanie. Tokajew wysłał do rozganiania demonstracji także kazachskie wojsko, które użyło ostrej amunicji [o sytuacji w Kazachstanie piszemy w dziale Świat – red.].

Lekcje poglądowe

Niezależnie od tego, jak potoczą się wydarzenia w Kazachstanie, można popatrzeć na nie jak na lekcję poglądową w temacie „Zagrożenia dla sukcesji władzy”. Sukcesja władzy jest bowiem dla Putina jednym z powodów silnego bólu głowy. Za dwa lata dobiegnie końca obecna kadencja prezydencka. Co dalej? Zeszłoroczna nowelizacja konstytucji (nielegalne wyzerowanie dotychczasowych kadencji) teoretycznie dała mu możliwość ponownego startu w wyborach i rządzenia aż do 2036 r. Ale ta wątpliwa legitymacja, zawieszona na niedemokratycznym włosku, może być

kwestionowana choćby na arenie międzynarodowej (były już takie sygnały w USA).

Na Kremlu intensywnie myślą więc nad najmniej ryzykownym scenariuszem tranzytu władzy. Wydarzenia na Białorusi, gdy po sfałszowanych wyborach prezydenckich doszło do masowych wystąpień, a teraz wydarzenia w Kazachstanie (ich tłem jest także walka o sukcesję władzy) dają Putinowi do myślenia. Na Białorusi protesty zostały przez Łukaszenkę brutalnie stłumione; uzurpator utrzymał się głównie dzięki pomocy Putina. W Kazachstanie była inna sytuacja: Nursułtan Nazarbajew – rządzący tym państwem od momentu jego powstania w 1991 r. – w 2019 r. złożył urząd prezydencki i wskazał zaufanego następcę, Tokajewa. Nazarbajew pozostawił sobie przewodnictwo w Radzie Bezpieczeństwa Kazachstanu, co miało mu zapewnić kontrolę nad strukturami siłowymi i gwarancje dla rodziny i biznesów. Ta układanka posypała się w ostatnich dniach jak domek z kart.

Jakie wnioski z tych lekcji wyciągnie Putin? Wariant białoruski (trwanie za wszelką cenę do końca) czy kazachski (wyznaczenie następcy, co jest obciążone wielkim ryzykiem)? A może jeszcze inny?

Aby móc zastanawiać się nad możliwymi scenariuszami, potrzebny jest względny spokój i pozory panowania nad sytuacją. Na arenie zewnętrznej przydałoby się „odbić” Ukrainy, odstraszenie (a jeszcze lepiej – odepchnięcie) Zachodu przy minimalnych stratach ekonomicznych i wizerunkowych, a na arenie wewnętrznej – zniszczenie wszelkiej pozasystemowej aktywności.

Triumf woli

Likwidacja Memoriału to triumf woli czekizmu, czyli tej tradycji, której wierny pozostaje Putin i jego pretorianie ze służb. To formacja rządząca Rosją od ponad 20 lat i walcząca o pozostanie u władzy, nawet jeśli coraz bardziej brutalnymi metodami. Zamknięcie ust historykom zgłębiającym ciemne strony dziejów oznacza monopol władz na konstruowanie przekazu historycznego – a właściwie mitu o chwalebnym zwycięstwie w wojnie 1941-45.

Podczas rozprawy nad Memoriałem sformułował ten cel prokurator Aleksiej Żafiarow: „Memoriał stanowi zagrożenie dla społeczeństwa, wypacza pamięć historyczną, próbuje rehabilitować nazi-stowskich zbrodniarzy i zdrajców ojczy-

zny, tworzy kłamliwy obraz Związku Sowieckiego jako terrorystycznego państwa i oczernia pamięć o wojnie. Dlatego my, potomkowie zwycięzców, powinniśmy się wstydzić i kajać, zamiast odczuwać dumę z naszej wspaniałej przeszłości?”.

Putinizm odcina się od tego, co przyniosły pierestrojka i lata rządów Borysa Jelcyna, pierwszego prezydenta Rosji po rozpadzie Związku Sowieckiego – odkłamanie historii, budowanie instytucji demokratycznych itd. Putinizm po wzorcu sięga dalej w przeszłość. Od lat w przekazie medialnym, kontrolowanym przez władzę, skutecznie cedzona jest w coraz większych dawkach gloryfikacja Stalina. Przekaz pada na podatny grunt: z roku na rok przybywa tych, którzy popierają ideę stawiania Stalinowi pomników i czczenia jego pamięci.

W tej sytuacji Memoriał, który pracuje nad przywróceniem wiedzy o ofiarach stalinizmu i potępia zbrodniczy reżim, stoi na przeszkodzie władzom w realizacji ich celów, takich jak odnowienie wiary w potęgę oręża czy uwielbienie dla nieomylnego satrapy. Społeczeństwo nie powinno stawiać zaciętego oporu: według badań socjologicznych Centrum Lewady 70 proc. Rosjan nie słyszało o Memoriale.

Gaszone lampy

Werdykt sądu o zamknięciu Memoriału nie jest decyzją niezawisłego organu, który feruje wyrok na podstawie rzetelnego zbadania sprawy oraz wysłuchania oskarżenia i obrony. To decyzja polityczna, podjęta na Kremlu, który czyści przedpole. Inżynierowie dusz nie chcą, aby w czasie przeprowadzenia planowanej na najwyższych szczeblach operacji politycznej jakieś niepożądane czynniki plątały się pod nogami. Łapy reżimu, drżącego o swój dobrostan i wieczne trwanie, zacisnęły się na szyi społeczeństwa obywatelskiego. Za działalność wroga państwu uważany jest każdy przejaw aktywności nie mający przyzwolenia władz.

Czy tą ważną operacją będzie przymuszenie społeczeństwa do zaakceptowania kolejnych kadencji Putina? Takie szmerane operacje przeprowadza się zwykle po ciemku, dlatego reżim gasi kolejne lampy wydobywające z mroku kontury popełnianych przez władzę niegodziwości. Zgaszenie lampy Memoriału jest czynem haniebnym.

© ANNA ŁABUSZEWSKA



Podczas pacyfikacji protestów w Ałmaty, największym mieście Kazachstanu. 5 stycznia 2022 r.

Kazachska zima

KRZYSZTOF STRACHOTA

Na obszarze postsowieckim jest wiele powodów do buntu. Tymczasem w ciągu 30 lat Kazachstan sprawiał wrażenie, jakby znalazł kamień filozoficzny, który zabezpieczał go od wstrząsów. Aż do dzisiaj.

ZANIM POWIEMY O DRAMACIE, KTÓRY rozgrywa się tam od początku tego roku, pokażmy, dlaczego to kraj niezwykle. I dlaczego tak niezwykle, przełomowe – nie tylko dla Kazachów – jest to, co się tam teraz dzieje.

To kraj ogromny – zajmuje obszar równy dwóch trzecich powierzchni Unii Europejskiej – choć ma mniej mieszkańców niż Rumunia. Bogaty w surowce, w ropę, gaz, metale ziem rzadkich i uran (40 proc. światowej produkcji), zarazem rozwinięty przemysłowo i rolniczo, w skali obszaru postsowieckiego najbogatszy po Rosji. Według wskaźnika rozwoju społecznego (Human Development Index z 2019 r.) stojący wyżej niż Rumunia, Bułgaria czy Turcja, nie mówiąc o Ukrainie i Gruzji.

Obok państw bałtyckich (te są w NATO i Unii) oraz Turkmenistanu (swoją specyfiką przypominającego Koreę Północną) Kazachstan to jedyny z krajów obszaru postsowieckiego, w którym w minionym 30-leciu nie było wojen, separatyzmów,

przewrotów, rewolucji oraz hektolitrowej krwi na ulicach i w kazamatach (w wielu były to kombinacje tych czynników).

A przecież gdy uzyskiwał niepodległość w 1991 r., to on – będący „miniaturą” Związku Sowieckiego – miał bodaj najmniejsze szanse na sukces czy nawet przetrwanie. Wieloetniczny (Kazachowie stanowili 39 proc. ludności; dziś blisko 70 proc.), ze wszystkimi patologiami sowieckiej gospodarki w stanie rozkładu, prywatyzowanej przez nowych oligarchów. Jego państwowość kwestionowała (nieformalnie) Rosja. Jego granicę Chiny kwestionowały otwarcie do 1994 r. (korekty na korzyść Chin trwały do 2002 r.). Przez dekadę wrzało za jego południową granicą (skąd niedaleko do Afganistanu). Jego władze – czyli Nursułtan Nazarbajew, premier i sowiecki pierwszy sekretarz (niedoszły następca Gorbaczowa na czele Sowietów), prezydent niepodległego Kazachstanu do 2019 r., a faktycznie jego lider do początku 2022 r. – były tego świadome.

Dość rzec, że niepodległość Kazachstan ogłosił jako ostatni 16 grudnia 1991 r., po porozumieniach białowieskich, gdy Związek Sowiecki był już tylko fantomem.

Trzy dekady umiarkowania

Choć dziś brzmi to groteskowo, w ostatnich 30 latach kluczem do sukcesu i marką Kazachstanu stały się umiarkowanie, ostrożność i konsekwencja – realizowane żelazną ręką (choć w jedwabnej rękawiczce) przez Nazarbajewa.

Z paternalistyczną wyrozumiałością (i sprytem) zarządzał on ambicjami oligarchów: „prywatyzować” pozwalał z umiarem, wobec politycznej nielojalności był wyrozumiały (nie tolerował tylko recydywy). Studiując europejskie rozwiązania, dekadami budował instytucje i nową profesjonalną kadrę urzędniczą, które zmodernizowały kraj.

Demokracji nie obiecywał (nieśmiało eksperymentował z nią na poziomie lokalnym, budząc tym konfuzję aparatu państwowego), ale oszczędził krajowi obozów *de facto* koncentracyjnych, które tworzyli niektórzy sąsiedzi. Dość, że Kazachstan był godny stanąć na czele OBWE w 2010 r. Przez pół roku tolerował strajki nacierzy w Żangaözenie, zanim dopuścił do ich krwawej pacyfikacji (2011 r.). Troszczył się o Rosjan, ale budował państwo narodowe. Był wiernym sojusznikiem Rosji, ale też odpowiedzialnym partnerem dla Chin i Zachodu.

Żył dobrze, ale i inni znajdowali ekskluzywny spokój oraz szansę bogacenia się, będąc przedmiotem zawiści sąsiadów. I wreszcie – stawiając rację stanu nad sentymenty rodzinne – w 2019 r. wybrał krajowi na swojego następcę Kasyma-Żomarta Tokajewa, dyplomata z ducha i profesji, mającego kontynuować tę linię.

„Starcze, odejdź!”

Cały ten finezyjny mechanizm rozpadł się w proch w ciągu kilku dni, pomiędzy 2 a 5 stycznia 2022 r. A zapalnikiem stały się podwyżki cen gazu skroplonego (LPG) w nieszczęsnym Żangaözenie – mieście pokazującym drugą twarz Kazachstanu.

Oddalony od wszystkiego (o co akurat w Kazachstanie dość łatwo), Żangaözen powstał wokół monokultury wydobywczej i tradycyjnie zasiedlany był przez plemiona tzw. Młodszeo Żuzu (z których część godnie rywalizuje z Czeczenami o miano niepokornych i wojowniczych), ➔

→ zasilone napływowymi robotnikami i tradycjonalistycznymi repatriantami. W tym mieście widać pieniądze – i tutaj łatwiej zastanawiać się, jak jest wydawany i przez kogo.

Z Żangaözeny protesty rozlały się na cały kraj – ze szczególną rolą Ałmaty, byłej stolicy i największego miasta kraju. Odbijała się w nich frustracja: rozczarowanie nieperspektywiczną sytuacją gospodarczą, niespłaconymi kredytami, zawiedzionymi nadziejami, bogactwem oligarchów. Protestujący natychmiast podnieśli hasła tyleż polityczne (odsunięcia lokalnych polityków), co antysystemowe („Starcze, odejdź!”; to do Nazarbajewa). Ludzie nie są czytelnikami książek o złotym wieku, tylko żyją tu i teraz. Zwłaszcza młodzi zdecydowani decydować o sobie i swoim wielkim kraju.

W ciągu tych czterech dni Kazachstan zobaczył spaloną rezydencję prezydenta w Ałmaty, zajęte lotniska, ratusze i budynki Komitetu Bezpieczeństwa. Zobaczył też policjantów i żołnierzy rozbrajanych albo przechodzących na stronę protestujących. Metoda na przeczekanie i ustępstwa – podjęta początkowo przez Tokajewa, który podwyżki cofnął, winnych ukarał, rząd zdymisjonował i wreszcie usunął Nazarbajewa z wpływowej Rady Bezpieczeństwa – nie przyniosła rezultatu.

W duchu Arabskiej Wiosny

Trudno dziś nazwać to, co wydarzyło się w Kazachstanie. Nie przypominało to żadnej postsowieckiej rewolucji. Polityczny i demokratyczny rys ujawnił się, ale nie zdominował ruchu. Nic nie wiadomo o reprezentantach protestów, o ich koordynacji, radach czy komitetach, o programach i negocjacjach.

Ich siła, zasięg i żywiołowość były jednak imponujące – dekadę wcześniej w bardzo podobny sposób zaczynała się Arabska Wiosna, dojrzewająca i konstytuująca się w walce, ale też do końca obarczona przypadkowością i niejednoznacznością. I tak jak Arabska Wiosna, również Kazachska Zima dobitnie pokazała twardość, ale i kruchość systemów autorytarnych – zapatrzonych w siebie, zawsze aroganckich, zorientowanych na liderów (w tym przypadku przywództwo było rozmyte między dwóch polityków) i niezdolnych do szybkiej reakcji, określonej prawem, procedurami, ale też zdolnej do brania od-

Brutalnie przerwany został kazachski sen.

Brutalnie cały obszar postsowiecki wchodzi w nowy burzliwy rozdział. I nowy rozdział zaczyna imperialna Rosja.

powiedzialności na średnich i niższych szczeblach – w zderzeniu z niespodziewanie uwolnionym żywiołem społecznym. I znowu: tak jak Arabska Wiosna.

Kontra

Tak jak błyskawicznie system się załamał, a społeczeństwo pokazało swoją niepokorną naturę, tak błyskawicznie nastąpiła też przemiana bezbarwnego Tokajewa w chana-tyrana z horrorów. Po czterech dniach ustępstw, 5 stycznia zdymisjonował on większość szefów instytucji siłowych i wezwał do rozprawy ze „szkolonymi za granicą terrorystami”. Zaraz potem zaczął czystki w nomenklaturze, przejmując kontrolę nad pieniędzmi i stanowiskami. Pokazał, że gotów jest walczyć o pełnię władzy. W warunkach postsowieckich było to przypomnienie roku 2005 w Uzbekistanie, gdzie prezydent Islam Karimow kazał zmasakrować protesty w Andżanie (zabitych były tysiące, a kraj osiągnął spokój – cmentarny). I rzecz chyba najważniejsza: Tokajew zwrócił się o pomoc do formalnych sojuszników – Organizacji Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym, czyli *de facto* do Rosji.

Dla Władimira Putina była to okazja do zmanifestowania efektywnej kontroli nad obszarem postsowieckim (niedawno, w grudniu, przypominał wszak o tej swojej aspiracji Joemu Bidenowi) i do przejęcia kontroli nad Kazachstanem – tym zapomnianym kluczem do imperialnej pozycji Rosji w Eurazji.

I stało się. OUBZ („postsowieckie NATO”) po raz pierwszy zadziałała – tyle że nie jako wojsko, lecz siła pacyfikująca. Po raz pierwszy Rosjanie stanęli na czele „misji” złożonej także z Białorusinów, Tadżyków, Kirgizów i – co za upokorzenie! – Ormian (na czele których stoi niegdyśszy zwycięzca ulicznych protestów, demokrata Nikol Paszynian).

To, co dzieje się w chwili pisania tego tekstu w Ałmaty, najlepiej byłoby skomentować milczeniem. Byłoby ono echem miasta i kraju zablokowanego informacyjnie, gdzie nawet rzadkie relacje rosyjskie (wtórujące „huńskim mówom” Tokajewa) wskazują, że dwa dni krwawej pacyfikacji nie wystarczyły do przejęcia kontroli nad miastem. Okruchy informacji świadczą, że wrzenie trwa także w innych miastach.

Perspektywy

Co dalej? Trudno jest cokolwiek prognozować.

Zapewne pacyfikacja będzie skuteczna, nam zaś pozostanie spuścić i odwrócić głowy. Pytanie, czy przykład Ałmaty podziela paraliżująco na resztę kraju, czy pacyfikacje będą także w innych miastach – zwłaszcza w buntowniczym Żangaözenie, który na wyrozumiałość nie może liczyć. Pytanie, czy po tych protestach pozostaną nieprzejednani i radykalizowani bojownicy straconej sprawy, gotowi toczyć dalej ten bój... Czy Rosja grać będzie na restaurację fasadowego już siłą rzeczy reżimu? Czy może właśnie potrzebuje ognisk chaosu, by ostatecznie udowodnić fiasco „eksperymentu” niepodległego Kazachstanu – i szerzej: postsowieckiego porządku ostatnich trzech dekad?

Otwartą kwestią jest też dalsza przyszłość. Dziś Rosja zdaje się triumfować. Ale nie wiadomo, na jak długo: na dekady (jak uczy przykład Andżanu z 2005 r. albo Budapesztu z 1956 r.) czy tylko na chwilę, bo właśnie uruchomił się nowy etap procesu dojrzewania narodowego Kazachów? Jeśli posypał się Kazachstan, dlaczego nie miałyby posypać się inne reżimy w regionie – zwłaszcza z wrzącym Afganistanem na karku. I co wtedy? Na bagnietach trudno siedzieć, o czym niegdyś przekonał się schyłkowy (ale wciąż supermocarstwowy) Związek Sowiecki, nadaremnie rozstrzelując demonstrantów w Wilnie i Tbilisi w 1989 r., w Baku w 1990 r., a wcześniej – właśnie w Ałmaty, w 1986 r.

Jednego można być pewnym. Brutalnie przerwany został piękny kazachski sen. Brutalnie cały obszar postsowiecki wchodzi w nowy burzliwy rozdział. I nowy rozdział rozpoczyna imperialna Rosja.

© KRZYSZTOF STRACHOTA

Tekst ukończono 7 stycznia.

Jadwiga nadal czeka

MONIKA ANDRUSZEWSKA Z KIJOWA

Ich synowie walczyli w Donbasie, do domu nie wracają już od ośmiu lat. Mimo to nie porzuciły nadziei, że żyją.

WOJNA NA WSCHODZIE UKRAINY, trwająca już prawie osiem lat, nie przyciąga dziś uwagi mediów spektakularnymi bitwami. Ale nawet gdy cichną strzały na froncie, nie cichnie cierpienie kobiet, które czekają na synów. Takich jak Jadwiga, która od ośmiu lat spędza każde święta sama. Gotuje wigilijne potrawy dla dwóch osób, stawia na stole dwa kieliszki do szampana, dwa talerze.

„Szanowny prezydencie, zwraca się do pana matka zaginionego w 2014 r. żołnierza” – tak Jadwiga zaczyna swoje przesłanie do Wołodymyra Zełenskiego na nagraniu wideo, niedawno opublikowanym w internecie. Mówi drżącym głosem, z trudem panuje nad emocjami: „Mój syn zdecydował się iść walczyć za kraj. Gdyby tylko wiedział, że będę szukać go sama osiem lat. Gdyby wiedział, że Ukraina o nim po prostu zapomni”.

JEJ ANDRIJ NIE WRÓCIŁ z bitwy pod Iłowajskiem, gdy w sierpniu 2014 r. do Donbasu wkroczyły regularne wojska rosyjskie i otoczyły ukraińskie oddziały. Ukraińcom zaproponowano warunki wyjścia z okrążenia, jednak wbrew ustaleniom Rosjanie otworzyli ogień do wycofujących się ukraińskich kolumn. Zniekształcone nie do poznania ciała leżały potem tygodniami na okolicznych polach. Do niewoli trafiło kilkuset Ukraińców, z których większość wróciła już do domów. Brakuje pełnej informacji, ilu wciąż jest przetrzymywanych jako jeńcy. Jadwiga wierzy, że wśród uwięzionych jest jej syn.

„Już mnie zmęczyło to, że spędzam kolejne święta sama! Dlatego wraz z innymi matkami zaginionych przyjedziemy do Kijowa i będziemy czekać na prezydenta

ALEX ZAKLECKI



Jadwiga Łozińska z fotografią zaginionego w sierpniu 2014 r. syna Andrija. Fotografia wykonana w ramach projektu „Polskiej Pomocy”, finansowanego ze środków MSZ.

pod jego biurem. Zapraszamy. Nawet jeśli nie może nam pan pomóc w powrocie naszych dzieci do domów, przynajmniej nie spędzimy świąt samotnie” – mówiła Jadwiga w swoim przesłaniu.

ZGODNIE Z ZAPOWIEDZIĄ tuż przed Wigilią do Kijowa przyjeżdża kilkanaście matek żołnierzy zaginionych na froncie. Jest 15-stopniowy mróz. Granitowe ściany budynku pozostają zimne i nieprzystępne. Kobiety rozstawiają swoje banery i zdjecia synów, ślizgają się po lodzie. Czekają. Ale bez skutku, prezydent Zełenski nie wychodzi do matek.

– Półtora roku temu poinformowano mnie, że znaleziono ciało mojego syna. Podobno było 99 proc. zgodności DNA, więc doszło nawet do ekshumacji. A tu w trumnie – ciała kilku żołnierzy wraz z osobistymi rzeczami. I to z zupełnie innej brygady niż ta, w której był mój syn! Ciała bohaterów, którzy walczyli za kraj, powrzucono razem do worków jak śmieci! I jak niby mamy wierzyć państwowym ekspertyzom? Nasze historie obnażają nieudolność państwa i dlatego nikt nie chce z nami rozmawiać – mówi mi Jadwiga.

W ubiegłych latach ukraińskie instytucje pozamykały niemal wszystkie sprawy żołnierzy zaginionych podczas walk. Praktyka jest taka, że zaginionych uznaje się za poległych – nawet jeśli są przesłanki, że ciało należy do innej osoby albo że ktoś może być w niewoli.

– Mamy konkretne żądania. Przez te wszystkie lata ustawa o osobach zaginionych istnieje tylko na papierze, ale w praktyce nie działa. Wciąż nie stworzono oficjalnego rejestru osób zaginionych. Gdybyśmy same nie zbierały informacji o synach, to władza w ogóle by nie wiedziała, kto z żołnierzy zginął podczas wojny! – opowiadają mi kobiety.

GRUPKĘ ZMARZNIĘTYCH MATEK pod Administracją Prezydenta dostrzegają natomiast weterani walk w Donbasie i wolontariusze. Ktoś dzwoni po znajomych dziennikarzy, ktoś inny do artystów, którzy przybywają do matek, aby pośpiewać z nimi kolędy. Na widok dziennikarzy z budynku wychodzi żwawo kilku przedstawicieli biura prezydenta. Przed kamerami wysłuchują kobiet, obiecują coś zmienić. Matki cieszą się, że ktoś do nich wyszedł. Ale wydają się nie mieć złudzeń, że to tylko słowa.

– Politycy nie przejmują się problemami naszych dzieci, bo ich synowie nie walczyli na wojnie – mówi jedna z kobiet. – Dobrze, że choć zwykli ludzie współodczuwają nasz ból.

– Każda matka zna ten niepokój, gdy dziecko nie odbiera telefonu – dodaje inna. – Każda zna lęk, gdy dziecko wybiera się w daleką podróż i nie wiadomo, czy jest zdrowe, najedzone, bezpieczne. A my nie wiemy nic. Nasi synowie nie wracają do domu już od ośmiu lat. ©

Kij czy marchewka dla Kremla

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

Nowy rząd Niemiec spiera się o politykę wobec Rosji. Socjaldemokraci przekonują, że najlepiej rozmawiać – nawet jeśli nic z tego nie wynika. Zieloni chcą ostrego kursu.

OLAF SCHOLZ OD MIESIĄCA ZASIADA w Urzędzie Kanclerskim. To niewiele, by odnaleźć się w światowej polityce. Jednak Scholz nie ma czasu na naukę. Koncentracja rosyjskich wojsk przy granicy Ukrainy budzi obawy, że Europie grozi nowa wojna. Zarządzanie kryzysowe i deeskalacja były chlebem powszednim dla Angeli Merkel. Ale ona jest już na politycznej emeryturze i nie daje żadnych znaków zainteresowania obecną sytuacją. Przesiaduje w swoim domku na wsi, a w grudniu była widziana w berlińskim teatrze.

Scholz, dotąd laik w sprawach międzynarodowych, musi się tu szybko edukować. Od decyzji Berlina – lub ich braku – zależeć może ludzkie życie i bezpieczeństwo Europy. Dlatego, jak donoszą tutejsze media, Urząd Kanclerski pertraktuje z Kremlm na temat spotkania Scholz-Putin w Moskwie.

Zdażyć przed eksplozją

Do rozmów może dojść jeszcze w styczniu. Pośpiech doradców Scholza ma uzasadnienie: ośrodki analityczne z Polski, USA i Niemiec są zgodne, że Rosja może wkrótce zaatakować Ukrainę. W grudniu 2021 r. Kreml przekazał stronie zachodniej (USA i NATO) propozycje nowych układów o bezpieczeństwie w Europie. Rosja żąda gwarancji, że NATO nie będzie więcej rozszerzać się na wschód (a więc nie tylko o Ukrainę, ale też np. Finlandię, nawet gdyby tego chciała), że zrezygnuje z wszelkiej współpracy wojskowej z Ukrainą i Gruzją, a także ograniczy swą obecność w państwach przyjętych do Sojuszu po 1999 r. Oznaczałoby to wycofanie się militarne USA i NATO nie tylko z Polski, ale z całej Europy Środkowo-Wschodniej. Stalibyśmy się strefą buforową. Rosjanie sformułowali projekt

w sposób jawnie konfrontacyjny – powszechne jest przekonanie, że celowo tak, aby Zachód mógł go tylko odrzucić, co dałoby Kremlowi argument do nowej agresji wobec Ukrainy.

Kiedy trwająca wojna psychologiczna przerodzi się w otwartą konfrontację, wie pewnie tylko sam Władimir Putin, o ile decyzyję o ataku w ogóle już podjął. Licząc, że tak się jeszcze nie stało, wspólnota międzynarodowa nerwowo prowadzi kolejne rundy konsultacyjne. W ubiegłą środę 5 stycznia szefowa niemieckiej dyplomacji spotkała się w Waszyngtonie z sekretarzem stanu Antonym Blinkenem. Od poniedziałku 10 stycznia – już po zamknięciu tego numeru – planowany był kilkudniowy maraton dyplomatyczny: rozmowy dwustronne USA-Rosja, posiedzenie Komitetu Wojskowego NATO, rozmowy na forum Rady NATO-Rosja, posiedzenie Rady Stałej OBWE.

Słuchać Rosji?

Kanclerz Scholz także chce wziąć udział w tym deeskalacyjnym maratonie. Jeśli pojedzie do Moskwy, to również jako przedstawiciel interesów własnych obywateli. A Niemcy mają w porównaniu do Polaków mocno odmienne podejście do Rosji. Różnice łatwo zauważyć, przysłuchując się choćby dowolnej audycji na temat Rosji w niemieckim radiu publicznym. Słuchacze niemal jednogłośnie domagają się od polityków zmiany kursu wobec Rosji i postawienia na bliskie relacje z Moskwą.

– Niemieckie społeczeństwo generalnie stara się unikać konfliktów – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Kai-Olaf Lang, ekspert berlińskiej Fundacji Nauka i Polityka (SWP); to jeden z głównych ośrodków doradczych dla władz Niemiec). – Dodatkowo nie tylko na wscho-

dzie Niemiec [na terenie byłej NRD – red.], ale w całym kraju można często natrafić na postawę, że Rosja jest ważnym partnerem dla Niemiec, i że Zachód za mało wsłuchuje się w argumenty Moskwy. Drugą stroną medalu tego zjawiska jest dość mocno zakorzeniony w niemieckim społeczeństwie krytycyzm wobec Stanów Zjednoczonych – dodaje Lang.

Kai-Olaf Lang zwraca uwagę, że podział dotyczący Rosji przebiega w Niemczech raczej pionowo, a nie poziomo. – Społeczeństwo jest wyrozumiiałe dla polityki Moskwy, a z kolei polityczno-eksperski establishment ma bardzo krytyczne podejście wobec Kremla – tłumaczy ekspert SWP. – Rządzący muszą jednak brać pod uwagę to, co myślą ich wyborcy, i wybalansować interesy i wartości. To się bardzo dobrze udawało za rządów Angeli Merkel. Sprawy związane z Ukrainą, jej status geopolityczny i jej znaczenie dla Europy są niemieckiemu społeczeństwu raczej obce. Niemniej niemiecki rząd po 2014 r. opowiadał się za nałożeniem sankcji na Rosję i za wzmocnieniem wschodniej flanki, a więc za krokami, które nie były szczególnie popularne wśród Niemców – przekonuje.

Postawa broniąca Rosji – albo co najmniej wykazująca daleko idące zrozumienie dla jej interesów – dorobiła się w języku niemieckim nawet osobnego terminu. Zwolenników bliskich relacji z Kremlm nazywa się *Russlandversteher*, czyli „rozumiejący Rosję”. Ich nieoficjalnym patronem jest były kanclerz Gerhard Schröder, który po zakończeniu działalności politycznej zaczął zarabiać ogromne pieniądze w radach nadzorczych rosyjskich państwowych koncernów energetycznych i manifestować swe bliskie relacje z elitą kremlowską, w tym osobiście z Putinem.

„Wszystkiemu winne NATO”

Kai-Olaf Lang przekonuje jednak, że opinie społeczne nie przekładają się bezpośrednio na polityków. – Na ogół w niemieckiej polityce, oprócz skrajnie prawicowych i lewicowych ugrupowań, istnieje konsensus, który od początku konfliktu na Ukrainie i aneksji Krymu sprowadza się do trzech kwestii: utrzymania unijnych sankcji przeciw Rosji, równoczesnego prowadzenia dialogu z Moskwą oraz wsparcia dla Ukrainy – wymienia ekspert berlińskiego think tanku.



Szefowa MSZ Niemiec Annalena Baerbock i sekretarz stanu USA Antony Blinken zgodnie podkreślali, że za nową agresję Rosja zapłaci „wysoką cenę”. Waszyngton, 5 stycznia 2022 r.

Wylamują się tylko nieliczni, co nie oznacza, że nie cieszą się dzięki temu popularnością. Gregor Gysi z partii Lewica, której korzenie sięgają NRD-owskiej nomenklatury, tuż po kolejnym zatrzymaniu Aleksieja Nawalnego dopytywał w Bundestagu, skąd rosyjski opozycjonista czerpie pieniądze, i nawoływał do zniesienia sankcji wobec Rosji. Ale przychylne wypowiedzi wobec Rosji zdarczają się też wielu wpływowym postaciom niemieckiej polityki: np. prezydent Frank-Walter Steinmeier w 2021 r. nazwał gazociąg Nord Stream 2 eufemistycznie „niemal ostatnim mostem między Rosją a Europą”.

Jednym z autorytetów dla niemieckich *Russlandversteher* jest dawna korespondentka niemieckiej telewizji publicznej w Moskwie Gabriele Krone-Schmalz. Niestrudzenie wydaje kolejne książki i objeżdża kraj z wystąpieniami, z których można wylapać główne tezy, jakie składają się na mapę mentalną przychylnej Rosji części społeczeństwa Niemiec. To przede wszystkim uznanie rozszerzenia NATO o kraje Europy Środkowej za kardynalny błąd i przyczynę agresywnej polityki Kremla. To także przeświadczenie, że „nowe” kraje, jak Polska i państwa bałtyckie, narzuciły reszcie Unii swoją antyrosyjską retorykę. To wskazanie na rzekome próby Putina nawiązania dobrych relacji z Zachodem w trakcie jego pierwszej kadencji, które zostały

zlekceważone. To także usprawiedliwienie rosyjskiej agresji w Donbasie i aneksji Krymu poprzez wskazywanie na rzecką historyczną „rosyjskość” tych terenów (podczas gdy Rosja zajęła Krym dopiero pod koniec XVIII w., czyli w podobnym momencie historycznym, co Wilno i Warszawę).

Zielone jastrzębie

Przygotowując się do spotkania w Moskwie, Scholz musi te tendencje uwzględnić, tym bardziej jako polityk socjaldemokracji (SPD). Willy Brandt, socjaldemokrata sprawujący funkcję kanclerza na przełomie lat 60. i 70. XX w., był autorem nowej niemieckiej polityki wschodniej, która polegała na zbliżeniu i dialogu z władzami Związku Sowieckiego, NRD i PRL. Powoływanie się na „schedę Brandta” jest dla polityków SPD wciąż niepisany obowiązek.

Można się spodziewać, że Putin będzie chciał pozyskać sympatię Scholza. – Niemcy to centralny partner Rosji w Europie, i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, ze względu na gospodarczy, demograficzny i geograficzny potencjał RFN. Po drugie, pragmatyzm i chęć dialogu ma w stosunkach niemiecko-rosyjskich bardzo długą tradycję – mówi „Tygodnikowi” Kai-Olaf Lang. – Poza tym Kreml – jak w przeszłości, tak i dzisiaj – dąży do marginalizacji Unii. Widać, że o losach Ukrainy chce rozmawiać z najsil-

niejszymi: przede wszystkim z prezydentem Bidenem, ewentualnie jeszcze z Berlinem i Paryżem.

Próba obłaskawienia Scholza może być też spowodowana niechęcią Kremla do Zielonych, którzy współtworzą nową koalicję w Berlinie. W tej partii dominują znacznie młodsi politycy, zbyt młodzi, aby pamiętać nadzieje związane z pierestrojką Gorbaczowa i budową „wspólnej Europy od Lizbony po Władywostok”. Dla nich Rosja to twarz despoty Putina i kraj, w którym z roku na roku coraz bardziej rozwija się autorytaryzm i imperializm.

– Drzwi do dialogu ze strony Unii pozostają otwarte, ale nie poddamy się próbom szantażu, ciągłego łamania zasad i imperializmu – mówiła pod koniec 2021 r. Agnieszka Brugger. Ta 35-letnia polityczka Zielonych, pochodząca z Legnicy, wyrasta na jeden z głównych głosów w tematyce obronności i spraw międzynarodowych w Bundestagu. Niewiele starsza jest jej partyjna koleżanka Annalena Baerbock, która przejęła niemieckie MSZ. Dla nich, jak i dla większości polityków Zielonych sprawa jest prosta: jeśli Rosja na nowo zaatakuje Ukrainę, to uruchomienie Nord Stream 2 zostanie wstrzymane. Deklaracje Zielonych są o tyle ważne, że to ta partia przejęła w ramach koalicyjnych ustaleń ministerstwo gospodarki. Ten resort może mieć w sprawie gazociągu decydujący głos. Tymczasem z ław SPD i z ust kanclerza żadne ultimatum w sprawie Nord Stream 2 jeszcze nie padło.

Zarządzanie kryzysowe

– Między SPD i Zielonymi toczy się dyskusja, co obecnie najlepiej sprawdzi się, aby powstrzymać eskalację na wschodniej granicy Ukrainy – mówi Kai-Olaf Lang. I równocześnie wskazuje na głównego rozgrywającego: – Duże międzynarodowe konflikty i spotkania z największymi globalnymi partnerami to zawsze będzie zadanie dla Urzędu Kanclerskiego.

Niemcy tradycyjnie widzą swoją rolę w europejskiej i światowej polityce nie jako lidera wskazującego kierunek, lecz jako rozjemcy i mediatora. – Jeśli Rosja zdecyduje się na nową militarną interwencję, to skończy się czas standardowych działań dyplomatycznych i zaczniesz się zarządzanie kryzysowe – mówi nam Lang.

Zobaczmy, czy Scholz polubi się z kryzysami. Doświadczenie Merkel pokazuje, że może nie mieć innego wyjścia. ©



RICCARDO FABI / NUR / AFP / EAST NEWS

Także w środkowych Włoszech notuje się dziś wzrost infekcji wariantem Omikron. Na zdjęciu: miasto Rieti w regionie Lacjum, 3 stycznia 2022 r.

Espresso z certyfikatem

PAWEŁ BRAVO Z WŁOCH

Gdy idzie o walkę z wariantem Omikron metodą wielopiętrowych restrykcji, Włosi znów są w europejskiej awangardzie.

WTĘDY, WCZESNĄ WIOSNĄ 2020 R., włoski rząd jako pierwszy w Europie zastosował środki, które jeszcze parę tygodni wcześniej wydawały się nie do pomyślenia w świecie, czyniącym z gorączkowej mobilności ludzi i niczym niehamowanej wirówki obiegu gospodarczego podstawowy dogmat. Jako pierwsi dowiedli wtedy, że da się nagiąć wolę społeczeństwa, które uchodzi za mało oswojone z dyscypliną obywatelską i przestrzeganiem przepisów.

TERAZ JEST PODOBNI. Nie chcąc czekać, aż z Wielkiej Brytanii nadejdą wiarygodne wieści, czy Omikron wysła do szpitali mniej chorych niż poprzednie warianty koronawirusa, włoski rząd znów dokręca śrubę. W ciągu półtora miesiąca wydał już cztery dekrety z mocą ustawy – do czego ma prawo dzięki uprawnieniom stanu wyjątkowego, regularnie i bez większych dyskusji przedłużanym w parlamencie.

Ostatni z dekretów wprowadza już otwarcie obowiązek szczepień dla osób

powyżej 50. roku życia – podczas gdy dotąd wprowadzano go ukradkiem, poprzez strategię, którą prezydent sąsiedniej Francji celnie wyraził w sławnej wypowiedzi dla prasy: „Chcę niezaszczepionym uczynić życie upierdliwym”. Żeby móc pracować (nie tylko w usługach i ochronie zdrowia) albo choćby wsiąść do autobusu, Włosi już od dawna muszą mieć *green pass* w wersji „lżejszej”, który można uzyskać nie tylko przez szczepienie i ozdrowienie, lecz także negatywny wynik testu.

Podczas posiedzenia rządu w zeszłym tygodniu trwał ostry spór, czy nie upowszechnić „wzmocnionej” wersji *green pass* – takiej, która nie uwzględnia testu jako przepustki do prawie każdego aspektu normalnego życia (w tym także wizyt w banku czy u kosmetyczki). Ale na razie dotyczy to tylko usług uznanych za mniej kluczowe, zwłaszcza takich jak gastronomia. O ile szybka poranna kawa przy kontuarze, połączona z rytualną rozmową o piłce, może być faktycznie dla Włocha mniej istotna niż zakupy spożywcze.

CO NA TO WŁOSI? Większość rzetelnych sondażowni wykazywała jeszcze w grudniu, że tylko 60 proc. obywateli akceptuje bezwarunkowo tego rodzaju „upierdliwości”, a ok. 30 proc. jest im przeciwnych. Przy czym te 30 proc. nie jest miarą liczebności twardych antyszczepionkowców (tu mówi się o nich: *no-vax*), bo szczepionkę przyjęło dotąd 87 proc. ludności powyżej 12. roku życia.

Jednak na ulicach miast, tych dużych i tych zupełnie małych, nie widać tej proporcji. Przeciwnie, ma się wrażenie sporej dyscypliny, widocznej choćby po tym, że większość nosi maseczki nawet na pustawych ulicach, w miejscach zatłoczonych prawie wszyscy, a w transporcie publicznym już wszyscy bez wyjątku.

Nawet w sennych wioskach obsługa barów, znająca z imienia każdego klienta, wymaga okazania certyfikatu, bo a nuż od wczoraj stracił ważność i „będą kłopoty w razie nalotu”. Które to naloty faktycznie zdarzają się nawet na prowincji i są na tyle nagłaśniane, by ludzie jednak się bali – nawet jeśli uważają to wszystko za przesadne. Podobnie jak regularne „bramki”, urządzone przez policję przy wyjściu z autobusu lub metra. W miastach, gdzie ostatni raz kontrolera biletów widziano w poprzedniej dekadzie, robi to pewne wrażenie.

System jest na tyle prosty i „kieszonkowy”, że jedyny właściwie sposób, żeby go ominąć, to używanie cudzego kodu – bo w większości sytuacji nawet uprawniona do tego policja nie ma czasu, by legitymować sprawdzanych ludzi. Gdy

jednak dochodzi do takich solidniejszych kontroli, to bywa i tak, jak pewnego dnia w rzymskich zakładach komunikacji miejskiej, gdzie nakryto prawie 200 osób z green pass'em pożyczonym od szwagra.

OSOBISTY KOD W KOMÓRCIE to jednak jedynie prosty element systemu. Reszta, zwłaszcza reguły kwarantanny i izolacji, komplikują się podobnie jak w 2020 r. w miarę dokładania kolejnych warstw restrykcji.

Najgorzej mają oczywiście szkoły, gdzie reguły określające, którzy uczniowie i na jak długo muszą zostać w domu – podczas gdy reszta klasy ma lekcje w sali – są tak zawiłe, iż dyrektorzy głośno ostrzegają, że wkrótce po wznowieniu nauki po feriach skończy się to faktycznym paraliżem systemu edukacji.

Jeszcze bardziej zapalna jest sytuacja w piłkarskiej serii A, gdzie różne lokalne oddziały włoskiego odpowiednika sanepidu – zarówno w mieście, z którego pochodzi drużyna gości, jak też z miasta gospodarzy – stosują nie zawsze spójne zawiłe procedury, co powoduje odwoływanie meczów i dziesiątkuje składy (bo piłkarze mieli kontakt z chorymi i nie są w pełni zaszczepieni, więc obejmuje ich kwarantanna). W czasie ostatniej kolejki nie odbyło się kilka ważnych spotkań, a inne przy mocno nieregularnych składach. Chcąc uniknąć chaosu z nadrabianiem odwołanych meczów, władze ligi zamierzają narzucić zasadę, że mecz ma się odbyć, jeśli każda drużyna jest w stanie uzbierać 13 graczy, choćby sięgając po juniorów. Nie trzeba dużej wyobraźni, by się domyślać, jak kontestowane będą wyniki takich spotkań.

TEN SAM PROBLEM może wkrótce wynikać przy innej równie ważnej rozgrywce: 24 stycznia połączone izby parlamentu, wzmocnione o kilkudziesięciu delegatów z regionów, powinny wybrać nowego prezydenta. To będzie ponad tysiąc osób, zgromadzonych przez cały dzień w jednej sali – nie istnieją przepisy pozwalające przeprowadzić to w trybie zdalnym. Z uwagi zaś na fakt, że poprzednio taki wybór był rozstrzygany minimalną większością głosów, decyzje urzędów sanitarnych o odesłaniu tego lub owego posła lub senatora na kwarantannę nabiorą ciężaru politycznego.

Choć we włoskim ustroju prezydent ma niewiele bezpośredniej władzy, to

w ostatnich kilku dekadach osoby pełniące ten urząd odgrywały istotną i stabilizującą rolę w kluczowych momentach przesilenia – tak jak obecny, szanowany powszechnie Sergio Mattarella. Rok temu zgodził się on mianować na premiera Mario Draghiego, byłego szefa Europejskiego Banku Centralnego, który choć nie miał mandatu demokratycznego, był powszechnie akceptowanym „mężem opatrnościowym” na czas przygotowania kraju do wielkiej odbudowy po pandemii (i tę rolę spełnia do dziś).

KTO BĘDZIE PREZYDENTEM? Jak na tak ważną sprawę, aura niepewności i sekretów przypomina konklawe. Ponieważ wybór jest pośredni, kandydaci nie zgłaszają się i nie prowadzą otwartej kampanii – wszystko odbywa się za kulisami, na drodze cichych targów, mylenia tropów, przecieków.

Wiadomo jednak, że ochotę ma wspomniany Draghi, który stwierdził niedawno, iż jego nadzwyczajna misja na urzędzie premiera dobiega końca. Całą politykę rządu wobec epidemii w ostatnim czasie można interpretować także według tego klucza: mówi się, że Draghi chciał wprowadzić znacznie szerszy zakres obowiązku szczepień, ale uległ jednej z partii w egzotycznej koalicji wspierającej rząd, czyli Lidze Północnej Matteo Salvini (wyraża ona pozycję „umiarkowane antysanitarnie”), bo chce uciąć głosy jej deputowanych za dwa tygodnie. Wielu kluczowych polityków Ligi, którzy rządzą regionami na północy, chciałoby ostrzejszego obowiązku szczepień, ale nie mogą otwarcie iść w tę stronę, bo z prawej flanki – tej już jawnie antyszczepionkowej – szachuje ich partia Bracia

Włosi, jako jedyna pozostająca poza szeroką koalicją rządową.

Żeby jeszcze zaciemnić sytuację, prądotwórcza Liga i antyrządowi Bracia – razem jeszcze z Forza Italia (resztówką po potężnej kiedyś partii Silvia Berlusconi) – tworzą formalny sojusz na rzecz wspólnego wyboru prezydenta. Na razie kandydatem tej dziwnej trójcy ma być właśnie Berlusconi, jedyny polityk zabiegający jawnie o ten urząd. Liga stara się tę kandydaturę zakulisowo utracić, czując z wielu powodów, że czas dawnego magnata już się definitywnie skończył.

NIBY WSZYSCY WIEDZĄ, że Berlusconi to niemożliwy, absurdalny kandydat... Ale nad kandydaturą Draghiego – zdecydowanie rozsądną i koncyliacyjną – wisi widmo rozpadu rządu, gdyby premier został prezydentem. Nikt na razie nie sformułował pomysłu, kto miałby go zastąpić – kto byłby w stanie zapanować nad egzotyczną koalicją tak, jak ten były bankier, któremu, jak twierdzą złośliwi komentatorzy, wprawdzie brakuje obycia partyjnego, ale za to w rozgrywaniu ludzi pomaga mu solidna edukacja w szkołach jezuickich (premier pozostaje zresztą do dziś w dobrych relacjach z zakonem). A do przyspieszonych wyborów parlamentarnych nikt nie chce dopuścić – także dlatego, że następny parlament będzie okrojony o jedną trzecią i wielu posłów rozumie, że to ich ostatnia kadencja.

Z tego kłinczu mogą wyjść najbardziej nieoczekiwane kombinacje, z prezydenturą Berlusconi włącznie. Przez najbliższe dwa tygodnie Włosi będą mieć więc – prócz wariantu Omikron – także drugi, równie wielki powód do zmartwień i spekulacji.

© P

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 307/20 toczy się postępowanie z wniosku Grażyny Krzowskiej i Elżbiety Kotowody z udziałem Miasta Chełm, Adama Prusa, Mirosława Mazura, Tadeusza Króla, Krzysztofa Szweda, Pawła Luchowskiego, Krzysztofa Pietrzaka, Krystyny Mart, Katarzyny Luchowskiej, Renaty Prus, Barbary Mazur, Jolanty Pietrzak, Mariusza Stopy, Tomasza Stopy o ustanowienie służebności drogi koniecznej dla nieruchomości stanowiącej działkę nr 19, położonej w Chełmie przy ulicy Hrubieszowskiej 46B, dla której Sąd Rejonowy w Chełmie prowadzi księgę wieczystą nr KW LU1C/00083934/3.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, w tym współwłaścicieli i posiadaczy samoistnych (następców prawnych Józefa Król oraz następców prawnych Zofii Szafrań) działek bezpośrednio sąsiadujących z działką nr 19, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się w tutejszym Sądzie i udowodnili swoje prawo do nieruchomości będących przedmiotem przebiegu służebności, gdyż mogą być pominięci w postępowaniu o ustanowieniu służebności drogi koniecznej.

PALEC HRABINY

Była partnerką do brydża brytyjskiego króla i pielęgniarką
w szpitalach polowych I wojny światowej.
Podczas kolejnej stanie się człowiekiem-instytucją: Maria Tarnowska.

KS. ADAM BONIECKI

BYŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY DZIEŃ POWSTANIA warszawskiego, 8 września 1944 r., gdy „Biuletyn Informacyjny” (pismo Armii Krajowej) poinformował, że Niemcy oferują możliwość bezpiecznego opuszczenia miasta przez ludność cywilną.

Z nieufnością wobec niemieckich zapewnień pisano, że „władze polskie, zarówno cywilne, jak i wojskowe, nie chcą w danym wypadku przeszkadzać tym, którzy pragną na własne ryzyko wypróbować wartość tych zaręczyn. Władze te zwróciły się do Polskiego Czerwonego Krzyża o otoczenie akcji własną opieką i porozumienie się z dowództwem niemieckim co do ułożenia technicznych szczegółów (...). W wyniku porozumienia ustalono, że wychodzenie odbywać się będzie w piątek i w sobotę od godziny 12 do 14 po południu. (...) Mężczyźni w sile wieku i zdrowi nie mogą być wypuszczani. Wychodzący z miasta mogą zabierać zapasy żywności na jeden dzień, ograniczenie to jest naturalnym następstwem trudności aprowizacyjnych oblężonego miasta. (...) Władze polskie, zezwalając na wychodzenie z miasta, nie mogą przyjąć na siebie odpowiedzialności za skutki tego kroku”.

Inicjatywa, która zapewne ocaliła tysiące ludzi, w istocie nie pochodziła od Niemców – choć to oni informowali o niej, zrzucając ulotki – lecz od Marii Tarnowskiej. Pełniąca w powstańczej Warszawie funkcję prezesa PCK i zaprzysię-

żona jako żołnierz AK w stopniu porucznika, należała do dowództwa zespołu sanitarnego Wojskowej Służby Kobiet. 27 września 1944 r. zostanie awansowana na majora, a dwa dni później odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Padliśmy w uliczny kurz

„W moich wędrowniach inspekcyjnych – tak Maria Tarnowska wspominała potem, skąd wziął się pomysł owej ewakuacji – kilkakrotnie zatrzymywałam się, by posłyszeć, o czym ci nieszcześliwi ludzie mówią”. Miała na myśli cywilów. Ich strach i apatia były objawami alarmującymi, mogły mieć fatalny wpływ na morale walczących oddziałów.

W tak ciężkiej sytuacji Tarnowska uznała, że warto podjąć próbę uzyskania od Niemców zgody na zorganizowane wyjście cywilów z rejonów ogarniętych walkami. Razem z Alfredem Lewandowskim, delegatem PCK na Okręg Warszawski, zameldowała o tym AK. Dowództwo wyraziło zgodę.

7 września Tarnowska i Lewandowski udali się na pertraktacje z Niemcami. Nieśli flagę PCK. „Przed wyjściem – wspomina Tarnowska – zjedliśmy po talerzu wodnistego krupniku. To był nasz obiad. Następnie ruszyliśmy w drogę. Załoga ostatniej barykady natychmiast zrobiła nam przejście. Znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni przed dymiącymi jeszcze ruinami politechniki. Posypał się na nas grad pocisków, to

strzelali niemieccy snajperzy siedzący na dachach. Padliśmy w uliczny kurz i energicznie machaliśmy flagą, chociaż z nosem przy ziemi wcale nie było to łatwe. Dostrzegli nas Niemcy po drugiej stronie placu i dali znak białą flagą, wtedy przestano do nas strzelać”.

We wspomnieniach opisuje kolejne etapy wyprawy, mocne dialogi z kontrolującymi ich Niemcami, wreszcie spotkanie z gen. Günterem Rohrem, niemieckim dowódcą w tej części miasta.

Ewakuacja

W efekcie tych negocjacji Warszawę opuściło wówczas – w ciągu trzech dni: 8, 9 i 10 września – ok. 20-25 tys. cywilów, głównie kobiety, dzieci i osoby starsze.

Dziennikarz „Biuletynu Informacyjnego” AK (podpisany pseudonimem „Wojnicz”) śledził to, co działo się 8 września. Jego relację, zatytułowaną „Sprawa opuszczenia miasta przez ludność cywilną”, Władysław Bartoszewski cytuje w swojej książce „Dni walczącej Warszawy”: „Był to tłum o bardzo różnorodnym obliczu społecznym, jak również co do płci i wieku. Twierdzono, że mężczyźni młodzi mają być nieprzypuszczani. Ci jednak szli, niosąc ciężkie walizki, dzieci, przeprowadzając stare kobiety. Wiele kobiet płakało, inne złozyły. Większość ludzi wydawała się zubożnięta. (...) Żołnierze oburzeni byli wymarszem ludności. Idącym robiono uszczypliwe uwagi, nie pozwalano da-



Pertraktacje z Niemcami – Maria Tarnowska i Alfred Lewandowski (obydwójce z PCK) z generałem Wehrmachtu Günterem Rohrem, 7 września 1944 r.

wać papierosów. Jeden z żołnierzy z placówki przy Lwowskiej narzekał, że władze pozwalają na taki wstyd, a przede wszystkim, że tylu młodych ludzi wychodzi”.

Bartoszewski, uczestnik powstania, tak wspomina ów moment: „Sam pełniłem wtedy służbę wartowniczą w jednej z placówek Komendy Głównej AK na ul. Marszałkowskiej w pobliżu Wilczej i pamiętam równie dobrze nastroje ludności, jak i żołnierzy. My, młodzi uczestnicy Powstania, skłonni byliśmy wtedy uważać opuszczanie miasta za objaw ma-

łości i słabości, jeżeli nie zdradę sprawy narodowej. Wielu ludzi jednak pozbawionych dachu nad głową, mienia i środków utrzymania, znajdowało się w sytuacji przymusowej i – realnie rzecz biorąc – stanowiło raczej ciężar niż pomoc w trudnych warunkach, w których znajdowaliśmy się wszyscy. Tak więc sprawa opuszczenia miasta miała dość złożone oblicze, a działania Zarządu Polskiego Czerwonego Krzyża były w gruncie rzeczy w pełni uprawnione i spotykały się z całkowitym zrozumieniem cywilnych i wojskowych władz Powstania”.

Przed kapitulacją

Tarnowska brała też udział w kolejnych rozmowach dotyczących cywilów, które poprzedziły kapitulację powstańczej Warszawy. Spotkanie to zrelacjonował niemiecki protokolant Gerhard von Jordan, osobisty referent Harry’ego von Craushaara (szefa wydziału spraw wewnętrznych rządu GG w Krakowie). Zapisał: „Z niemieckiej strony brali udział Craushaar i Bach-Zelewski [generał SS]. (...) Z polskiej strony pozostali mi w pamięci burmistrz rządu oporu z Warszawy, jak też były minister dawnego polskiego rządu”.

„Osobistością dominującą w polskiej delegacji – a wkrótce także w całych pertraktacjach – była stara hrabina Tarnowska – pisał dalej Jordan. – Piękna to ona może nigdy nie była. Teraz twarz miała tak zniszczoną, tak porytą od trosk, napięcia i zmartwień, że wydawała się dużo starszą, niż prawdopodobnie była. Ale ta stara twarz żyła. Promieniowała siłą, której nie można jej było pozbawić: pasją, dobrocią i wiarą. Była prezeską Polskiego Czerwonego Krzyża AK [Jordan błędnie połączył obie organizacje – red.]. Nie było to może stanowisko najważniejsze, ale wszyscy mężczyźni »jedli jej z ręki«”.

Jordan relacjonuje, że gdy strona niemiecka podjęła wówczas temat „ewakuacji” (jak to określono) z kapitulującej Warszawy całej jej ludności cywilnej, rozgorzała gwałtowna dyskusja. Polacy stawili bowiem opór. „Zrozumiałe było, że nie chcieli oni opuścić swojej stolicy i miejsca rodzinnego. Rozkaz Hitlera o ewakuacji stolicy wypływał oczywiście z żądzy zemsty” – zanotował szczerze protokolant.

W istocie, na wieść o wybuchu powstania Hitler rozkazał zniszczyć całkowicie Warszawę, a termin „ewakuacja” był eufemizmem: było to przymusowe wysiedlenie całego miasta, a część „ewakuowanych” miała trafić do obozów koncentracyjnych i obozów pracy.

Jordan przyznaje, że „wszystkie warunki kapitulacji byłyby unieważnione” – w domyśle: przez Hitlera – „gdyby Warszawa nie została ewakuowana”. Pisz: „Nie mogliśmy przekonać o tym naszych rozmówców. Mogliśmy to przeforsować jedynie twardym prawem zwycięzcy. Przypuszczam, że Polacy w gruncie rzeczy nie liczyli na przeforsowanie ich życzeń, ponieważ, gdy temat ewakuacji miasta został zasadniczo przesądzony, minister

→ Wachowiak wyciągnął z kieszeni przygotowaną kartkę, na której wynotowane były konkrety: jak ma być zorganizowane wyjście, jakie będą zaopatrzenie, noclegi, opieka nad chorymi itd.

„I zrobiło się trudno”

Jordan notuje, że Bach-Zelewski – dowodzący niemieckimi operacjami przeciw powstaniu – był w świetnym humorze: „prawdopodobnie uśmiechało mu się już podwyższenie jego Krzyża Rycerskiego: liście dębowe lub miecze, coś w tym rodzaju”. Gdy wszystko było gotowe, Jordan miał jeszcze odczytać protokół.

„W tym momencie hrabina Tarnowska podniosła swój pomarszczony palec. Nie, nie! To jeszcze nie jest wszystko, ona też ma kartkę. I dopiero teraz zrobiło się naprawdę trudno” – notuje niemiecki urzędnik. I dalej: „Jej zasadniczym życzeniem było podważenie rozkazu ewakuacji miasta przy pomocy różnych argumentów. Robiła to bardzo zręcznie. Terminy ewakuacji były za krótkie, szpitali nie można transportować, muszą dalej być zaopatrywane. Kto zostawił swoje mienie, musi wrócić, aby je zabrać. Kto utracił swoje rzeczy osobiste, musi otrzymać zgodę, aby później szukać ich w gruzach. Właściwie wszystko musieliśmy odrzucić. Ale ona była tak twarda i zawzięta wobec nas, że nie mieliśmy odwagi stale mówić »nie«. Ostatecznie tu i ówdzie przepraszała swoje życzenia. Faktycznie, o ile mi wiadomo, Warszawa nigdy nie została całkowicie ewakuowana z Polaków. Hrabina przedstawiła w istocie szereg ważnych względów, których przedtem nie braliśmy pod uwagę. Przesiedlenie miliona na pół zagłodzonych ludzi nie jest rzeczą prostą”.

„Właściwie dopiero podczas owych rokowań skonkretyzował się plan, który już uprzednio rozważaliśmy – pisze Jordan. – Chcieliśmy polski naród wezwać do ogólnej akcji pomocy dla ofiar z Warszawy. Gniew wobec »zdrady« Rosjan chcieliśmy przestawić na pomoc cierpiącym – i także dla własnej korzyści. Polskiej organizacji, która dotąd była częściowo zakazana, częściowo zaś mocno ograniczona [tj. PCK], zezwoliliśmy wspaniałomyślnie na swobodę działania”.

I dalej: „Tak doszliśmy w końcu do kompromisu także z hrabiną Tarnowską. Ona nie zaszczyliła nas żadnym dobrym



Maria Światopełk-Czetwertyńska w sukni balowej, ok. 1898-1900 r.



Maria Tarnowska po odznaczeniu Krzyżem Walecznych, listopad 1920 r.

słowem i sam Bach, który gruby i spociny siedział na niewygodnym krześle, był wobec niej bezradny. Jedynie Craushaar coraz to hamował przypływ naszych ustępstw, gdyż wiedział, że Himmler [szef SS] zmiecie to ze stołu, gdy obiecamy za dużo. Mieliśmy jednak na końcu wrażenie, jakby to nie Polacy skapitulowali, ale my przed starą Tarnowską. Szczerzyliśmy do siebie zęby, niezadowoleni”.

Fotografie sprzed lat

Kim była „stara hrabina”? Bartoszewski wspomina o niej dwukrotnie, a opisaną wyżej akcję odnotowuje w swoich „Dniach walczącej Warszawy”.

Wspomina o niej też Norman Davies w książce „Powstanie '44”. Odnosi się wrażenie, że Tarnowska znalazła się w tych opisach z racji funkcji w PCK, a nie ze względu na osobowość. A przecież musiała być kimś, skoro między 7 września a 3 października komendant główny AK wysyłał ją pięciokrotnie do prowadzenia pertraktacji z Niemcami lub uczestniczenia w nich.

Dopiero poświęcona jej ponad 550-stronicowa książka Jolanty Adamskiej „Maria hr. Tarnowska 1880-1965” (wyd. Muzeum Historyczne Miasta Tarnobrzeg) pokazuje, jak była niezwykła. Zachowane zdjęcia ukazują ją w trakcie rozmów z Niemcami: ma 64 lata, wojskowy beret, ściągniętą paskiem kurtkę i surowo patrzy w twarz Rohra. Jakże niepodobna jest do Marii ze zdjęć z lat 30.: a to w sukni balowej, a to w figlarnej futrzanej czapce na polowaniu. Ani do tej z lat 20., na zdjęciu wykonanym po tym, jak otrzymała Krzyż Walecznych.

Jej cioteczny wnuk Jan A. Tarnowski, współwydawca książki, tak streścił jej życiorys: żona dyplomaty, miłośniczka brydża i jazdy konnej, sanitariuszka i organizatorka pomocy ofiarom dwóch wojen bałkańskich (1912-13), wojny polsko-ukraińskiej (1918-19), polsko-bolszewickiej (1919-20) i dwóch światowych, siostra Austriackiego i Polskiego Czerwonego Krzyża, wiceprezes PCK, a między wojnami organizatorka pielęgniarstwa PCK oraz przychodni zdrowia na wsi. A także więźniarka Gestapo i Urzędu Bezpieczeństwa.

Na oślep w wir zabaw

Wszystko to prawda. Ale żeby zobaczyć za tym opisem człowieka, każde z określeń wymaga poszerzenia.

Przecież zanim Maryś, urodzona w 1880 r., została żoną dyplomaty, już była księżniczką, córką księcia Włodzimierza Światopełka-Czetwertyńskiego, uczestnika powstania styczniowego zesłanego na Syberię. Dzięki staraniom przyjaciół i krewnych już po roku wrócił z zesłania, a konfiskatę majątku „nadrobił”, żeniąc się z majątną hrabianką Marią Wandą Urską.

Ich córka Maria oraz jej siostry wychowały się i uczyły w domu pod kierunkiem dobrych nauczycieli. Biegłe opowiadały francuski, angielski i niemiecki. Co roku jesienią matka zabierała je w podróże zagraniczne, traktowane jako uzu-

pełnienie edukacji. Trzej synowie kończyli szkoły i uczelnie w Rosji oraz Niemczech. Po ukończeniu 18 lat Maria, jak sama pisze, „rzuciła się na oślep w wir zabaw i rozrywek”. Dwa lata radosnej zabawy zakończyło małżeństwo z Adamem Tarnowskim, wówczas pierwszym sekretarzem ambasady Austro-Węgier w Wasyngtonie.

Odtąd Maria Tarnowska towarzyszyła mężowi. Nawiązywała przyjaźnie, a kolejne placówki dyplomatyczne otwierały nowe perspektywy. Cieszyła się sympatią środowisk, w których się obracała. W Sofii odbywała przejażdżki konne z tureckim attaché wojskowym Mustafą Kemalem (przyszłym Atatürkiem, twórcą nowoczesnej Turcji), a w Biarritz była ulubioną partnerką do brydża wypoczywającego tam brytyjskiego króla Edwarda VII.

Od Bałkanów po Kopczyńce

Gdy w 1912 r. wybuchła pierwsza wojna bałkańska – między Turcją a sojuszem państw bałkańskich (Grecja, Bułgaria, Serbia, Czarnogóra) – 32-letnia Maria zgłasza się tam do szpitala, gdzie chce się uczyć pielęgniarstwa. Zanotuje: „Po włożeniu białego fartucha musiałam słuchać poleceń przełożonej, roznosząc baseny i termometry na równi z bułgarskimi siostrami”.

Praca w szpitalach Austriackiego Czerwonego Krzyża wciąga ją i fascynuje. A gdy walki się kończą, jedzie do Pesztu, by uczestniczyć w konkursie hippicz-

nym, gdzie zdobywa trzecią nagrodę. Jako pielęgniarka angażuje się też podczas drugiej wojny bałkańskiej (między Turcją a Bułgarią i Serbią).

Gdy w 1914 r. zaczyna się I wojna światowa, jako siostra Austriackiego Czerwonego Krzyża pracuje z rannymi. Szczególnie przejmująca jest historia z Tarnobrzega: gdy armia rosyjska się zbliżała, w urządzonym w szkole polowym szpitalu epidemicznym pozostało bez opieki kilkudziesięciu żołnierzy armii austriackiej różnej narodowości, chorych na czerwonkę, tyfus, dur i cholere. Ratuje ich Tarnowska, z jedną tylko pomocnicą. Podobna sytuacja zdarzy się we wrześniu 1919 r. w Kopczyńcach, gdy cofające się wojska ukraińskie zostawia bez opieki 250 rannych i chorych żołnierzy.

W odrodzonej Polsce Tarnowska należy do grona tych, którzy budują strukturę Czerwonego Krzyża: najpierw jako Polskie Towarzystwo Czerwonego Krzyża, a od 1919 r. jako Polski Czerwony Krzyż. Odtąd napisana przez Jolantę Adamską biografia Tarnowskiej zamienia się w fascynującą biografię PCK. Obie są ściśle powiązane. Tarnowska angażuje się zwłaszcza w zakładanie na wsi ośrodków zdrowia – przy jej udziale powstanie ich kilkaset.

Na Gestapo i NKWD

Przychodzi II wojna światowa i okupacja. Tarnowska ze współpracownikami walczy uparcie o respektowanie autonomii

PCK, odwołując się do międzynarodowych konwencji.

Maria Tarnowska jest na tyle znana, że Niemcy się z nią liczą. Jest wiceprezeską PCK i delegatem Zarządu Głównego PCK do kontaktów z niemieckimi władzami okupacyjnymi w Krakowie. Gwarantuje wiarygodność PCK w oczach organizacji Czerwonego Krzyża z różnych krajów świata. Odwiedzający okupowaną Polskę ich przedstawiciele przede wszystkim z nią chcą rozmawiać. Dzięki niej do Polski docierają leki, żywność, ubrania.

W październiku 1942 r. jest aresztowana i przesłuchiwana przez Gestapo. Wkrótce po zwolnieniu wstępuje do AK. O jej działalności w czasie powstania w 1944 r. była już mowa. Dodajmy, że to ona organizuje ewakuację szpitali z Warszawy oraz pomoc dla uchodźców z miasta.

Po wojnie znów organizuje pracę Czerwonego Krzyża. W 1945 r. spędza kilka miesięcy w więzieniu UB. Przesłuchujący ją funkcjonariusz sowieckiego NKWD zarzuca jej kolaborację z Niemcami. Wyjazd do Szwajcarii w 1946 r. zapewne ratuje ją od kolejnego aresztowania i możliwego procesu. Nie może wrócić do Polski, jedzie więc do Brazylii – tam jest jej jedyny syn Andrzej z rodziną (w 1949 r. Andrzej zginie w wypadku).

Tęskni za Polską. W 1959 r., po „odwilży”, mając 79 lat, wraca do Warszawy. Odchodzi sześć lat później.

© © KS. ADAM BONIECKI

REKLAMA

WYJĄTKOWE WYDANIE NAJPIĘKNIEJSZEGO
MAGAZYNU INTELEKTUALNEGO W POLSCE

8 lekcji „Znaku”, które dają nadzieję na lepsze jutro

Piszą Springer, Zabuzko, Aslan, Illouz,
Marcinów, Oczko, ks. Heller, Kania

A także: Arendt, ks. Tischner, Kuroń i Lem

znak
KSIĘGARNIA

Specjalnie dla czytelników „Tygodnika Powszechnego”
rabat -15% na zakup miesięcznika z kodem **tygodnik15**

Zamów na
znak.com.pl



-15%

WIELKA MIGRACJA MAŁYCH ISTOT

Wzrost temperatur oceanów sprawia, że masy planktonu przemieszczają się z równika w kierunku biegunów. Skutki tych zmian mogą być odczuwalne na całej planecie.

MARTA ALICJA TRZECIAK

CO DRUGI ODDECH W NASZYM ŻYCIU czawdzięczamy oceanowi. A dokładniej żyjącym na jego powierzchni mikroorganizmom zdolnym do fotosyntezy, które produkują około połowy tlenu na naszej planecie. Najważniejszą grupę wśród nich stanowi tzw. fitoplankton – określenie to pochodzi od greckich słów

oznaczających roślinę (*phyton*) i włączkę (*planktos*). Nazwą plankton określa się różne mikroskopijne istoty – zaliczane do zwierząt, roślin, grzybów, bakterii, a nawet wirusów – które nie potrafią się samodzielnie poruszać, a jedynie unoszą się w wodzie czy w powietrzu z prądem lub wiatrem.

Jak podkreślał Michael Behrenfeld w analizie o poetycko brzmiącym tytule: „Klimatyczny taniec planktonu”, opublikowanej w 2014 r. w „Nature Climate Change”, wydajność fitoplanktonu w produkcji tlenu jest olbrzymia, biorąc pod uwagę, że stanowi on jedynie 1 proc. biomasy roślin lądowych. A jego rola

*Zakwit fitoplanktonu u wybrzeża Grenlandii.
Kwiecień 2021 r.*

tonu prędzej czy później odbije się na całej przyrodzie. A wiele wskazuje na to, że bardzo poważna zmiana dokonuje się właśnie teraz. Z publikacji, która ukazała się w październiku 2021 r. w „Nature Communications”, wynika, że obecnie jesteśmy świadkami masowego przemieszczania się planktonu. Organizmy wchodzące w jego skład „uciekają” z dotychczasowych miejsc bytowania do nowych lokalizacji, a tym samym zapoczątkowują kaskadę zmian w dużych ekosystemach.

W gorącej wodzie

W odniesieniu do planktonu można mówić o dwóch rodzajach migracji. Pierwsza to wertykalna (wędrowka z powierzchni wody ku głębinom i odwrotnie), a druga – horyzontalna (zmiana długości i szerokości geograficznej).

– Migracja pionowa nie jest dla planktonu niczym nowym ani nieprawidłowym – mówi „Tygodnikowi” dr Fabio Benedetti, fizyk środowiskowy z Politechniki Federalnej w Zurychu, pierwszy autor wspomnianej publikacji. – W naszych badaniach skupiliśmy się na wędrowce horyzontalnej. Najważniejszą zmianą, jaką uchwyciliśmy, było to, że z powodu wzrostu średniej temperatury oceanów, związanej ze zmianami klimatycznymi, plankton, który dotychczas żył w okolicach równika, zaczął masowo migrować w kierunku biegunów. Ta zmiana jest szczególnie widoczna na półkuli północnej. Zastosowane przez nas modele klimatyczne oraz statystyczne wykazały, że proces ten będzie postępował tym bardziej, im bardziej będzie rosła średnia globalna temperatura – dodaje dr Benedetti.

Dlaczego tak się dzieje? Cemu plankton zmienia swój zasięg występowania?

– Przyczyn jest tu wiele, ale bodaj najważniejszą jest uzależnienie metabolizmu od temperatury. My, ludzie, jesteśmy organizmami stałocieplnymi, nasze ciała posiadają zdolność utrzymywania stałej temperatury ciała i stałego poziomu metabolizmu niezależnie od tego, czy w naszym środowisku jest plus 15, czy minus 15 stopni – odpowiada dr Benedetti. – Ale do planktonu należą organizmy zmiennocieplne. Ich metabolizm i podstawowe funkcjono-

wanie zależą od temperatury otoczenia, dlatego kluczowe jest dla nich pozostawanie w fizjologicznej niszy temperaturowej. Wprawdzie w cieplej wodzie procesy metaboliczne takich organizmów zachodzą efektywniej, ale wyłącznie do momentu, w którym temperatura otoczenia nie przekroczy poziomu wytrzymałości tych istot. Wtedy pozostaje im tylko zmienić zasięg występowania – dodaje.

Walka o biegun

Mogłoby się wydawać, że skoro plankton jest w stanie zareagować na zmieniające się warunki otoczenia, migrując do innych rejonów, to nic groźnego się nie dzieje. Jednak to złudne wrażenie. Jak zauważyli Chhaya Chaudhary i współpracownicy w kwietniu 2021 r. w „PNAS”, w prawidłowych warunkach plankton tropikalny, międzyzwrotnikowy, powinien być bardzo bujny, obfity, reprezentowany przez ogromną ilość i wielką różnorodność organizmów. Jeśli ich dotychczasowe miejsce bytowania stanie się zbyt gorące i doprowadzi do masowej migracji w inne rejony świata, to co będzie stanowiło podstawę ekosystemów w strefie międzyzwrotnikowej? Zabraknie bazowego stopnia na drabinie troficznej i tropikalne sieci zależności się załamią. A to nie koniec problemów. Skoro bowiem organizmy tropikalne zmienią zasięg występowania i przeniosą się bliżej biegunów, to co się stanie z tym planktonem, który dotychczas żył w zimniejszych wodach?

Z analizy Jacoba Bedforda i współpracowników, opublikowanej w 2020 r. w „Global Change Biology”, wynika, że duża część gatunków zimnolubnych zostanie wyparta przez kuzynów ze strefy międzyzwrotnikowej.

– Potwierdzają to również nasze modele – zgadza się dr Benedetti. – Gatunki, które obecnie bytują w okolicy biegunów, nie będą miały gdzie wyemigrować, nie znajdą dla siebie wystarczająco chłodnej wody. Zostaną więc stopniowo wyparte przez plankton, który wcześniej zasiedlał rejony położone bliżej równika – dodaje.

Jakie to będzie miało konsekwencje? Plankton można – w uproszczeniu – podzielić na dwa typy: ciepłolubny i zimnolubny. Ten pierwszy reprezentowany jest zwykle przez organizmy małe, ale bardzo liczne, należące do wielu różnych gatunków. W skład tego drugiego natomiast wchodzi organizmy o większych

w utrzymaniu globalnej równowagi jest nie do przecenienia.

Nie mniejszą rolę w ekosystemach odgrywa zooplankton (mikroorganizmy zwierzęce), będący podstawą niezliczonych łańcuchów pokarmowych i regulujący obieg materii w przyrodzie. Dlatego każda destabilizacja działania plank-

→ rozmiarach, ale za to mniej liczne i mniej zróżnicowane. Skoro zaś podstawa lokalnych łańcuchów troficznych jest tak odmienna, to również same sieci zależności pokarmowych w wodach ciepłych i zimnych bardzo się różnią.

– Ekosystemy polarne są bardzo odmienne od ekosystemów tropikalnych – potwierdza dr Benedetti. I dodaje: – Te pierwsze opierają całą swoją równowagę na niewielkiej liczbie organizmów, na krótkich i mało skomplikowanych łańcuchach pokarmowych. Łańcuchy te, choć nieskomplikowane, są jednak bardzo efektywne: z jednego poziomu troficznego na drugi przekazywane są bardzo duże ilości energii. Cały ekosystem polega na niewielkiej liczbie organizmów, a droga od fitoplanktonu do np. niedźwiedzia polarnego jest bardzo krótka. Inaczej jest w tropikach, gdzie systemy zależności są tak skomplikowane, że istnieje w nich bardzo wiele powiązań i połączeń.

Złożoność w prostocie

W tak precyzyjnie wykalibrowanych maszyniariach, jakimi są polarne ekosystemy, nawet niewielkie zmiany i wahania mogą prowadzić do poważnych konsekwencji. Utrata choćby jednego elementu może rozregulować cały system.

– Jeśli jakiś typ organizmów zmniejszy swoją biomasę, to gatunki, które na nim żerują, będą musiały znaleźć nowe rozwiązania. Np. zerować przez dłuższy czas, żeby zapewnić sobie odpowiednią ilość energii. W przeciwnym razie konsumenci kolejnych rzędów pozostaną nieożywieni – zauważa dr Benedetti.

Ale może na cały problem należałoby jednak spojrzeć od innej strony? Jeśli polarne gatunki planktonu zostaną wyparte przez przybyszów z równika, to bioróżnorodność w polarnych ekosystemach powinna się zwiększyć. Czy zatem zastąpienie dotychczasowych, skromnych i ascetycznych systemów troficznych nowymi, bogatszymi i bardziej zróżnicowanymi nie jest powodem do zadowolenia?

– Taki punkt widzenia jest bardzo uproszczony i bardzo antropocentryczny – twierdzi dr Benedetti. – Mamy tendencję do tego, by sądzić, że więcej organizmów i większa różnorodność to zawsze coś dobrego. Ale musimy na te zagadnienia spojrzeć z punktu widzenia konkretnego ekosystemu. Polarne systemy są bardzo specyficzne, ich funkcjonowanie

Plankton dostarcza usług ekosystemowych, takich jak produkcja tlenu i magazynowanie dwutlenku węgla.

nie koreluje z liczbą gatunków, jakie je tworzą – dodaje.

W tej polarnej prostocie ukryta jest wielka złożoność, którą badacze nadal usiłują zrozumieć.

– Zwłaszcza w odniesieniu do planktonu, co do którego nadal nie wiemy nawet, jaka jest optymalna liczba gatunków w danym ekosystemie – przyznaje dr Benedetti.

Dwa stopnie ciepłej

Najnowsza, ubiegłoroczna wersja raportu Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC) sugeruje, że najprawdopodobniej nie uda się zatrzymać wzrostu globalnej temperatury poniżej 2 stopni w porównaniu z epoką przedprzemysłową. Co to oznacza dla globalnych migracji planktonu – i łańcuchów pokarmowych na całej planecie?

– Nawet 50-70 proc. powierzchni oceanów na świecie może doświadczyć dużej zmiany bioróżnorodności – mówi „Tygodnikowi” prof. Martin Edwards, badacz ekologii oceanicznej z University of Plymouth i jeden ze specjalistów IPCC. – Wiele morskich gatunków równikowych może wyginąć, a niektóre organizmy żyjące w ciepłych wodach będą zmuszone znaleźć chłodniejsze habitaty. W siedliskach, w których temperatura wody będzie akceptowalna, wzrośnie konkurencja pomiędzy gatunkami rdzennymi a nowo przybyłymi. Dodatkowo, topnienie arktycznego lodu zwiększy prawdopodobieństwo migracji pomiędzy Oceanem Spokojnym a Atlantykiem. Należy się spodziewać, że zmiany te doprowadzą do destabilizacji tychże ekosystemów – dodaje prof. Edwards.

Jak intensywnie zachodzi ten proces i jak gwałtownych konsekwencji należy się spodziewać?

– Zmiany w ekosystemach bazujących na planktonie obserwujemy w różnych lokalizacjach świata od około 50 lat –

mówi prof. Edwards. – Obejmują one różnice w różnorodności organizmów, w ich składzie gatunkowym, produkcji materii. Ważną zmianą jest również rozmieszczenie poszczególnych gatunków. Widzimy wyraźnie, że na przestrzeni ostatnich 50 lat zarówno plankton, jak i podążające za nim ryby przesunęły granice swojego występowania w kierunku biegunów. W tym czasie niektóre gatunki planktonu żyjące w Atlantyku przesunęły się ku północy o 10 stopni szerokości geograficznej. Z naszych obliczeń wynika, że dotychczas tempo tego ruchu wynosiło średnio 200-250 km na dekadę.

Skorupka bardziej krucha

Globalna migracja planktonu może skutkować kilkoma rodzajami reakcji ze strony zwierząt znajdujących się na wyższych poziomach drabiny troficznej. Po pierwsze, mogą one podążać za swoim pożywieniem i również zmieniać zasięg występowania, jak to zauważył prof. Edwards.

Po drugie, same mogą podlegać takim samym zmianom jak plankton, którym się żywią. Np. zmniejszać swoje rozmiary. – Procesy tego typu obserwujemy już u ryb – potwierdza dr Benedetti i dodaje: – Globalnie rozmiar ryb stopniowo maleje. Jest to spowodowane kilkoma czynnikami, ale jednym z nich jest właśnie zmniejszona produktywność systemu: mniejszy pokarm – mniejsi konsumenci. Analogicznych zmian możemy się w przyszłości spodziewać również u innych gatunków.

Po trzecie, część gatunków może po prostu nie wytrzymać presji: – Migrujący plankton już wcześniej doprowadził do kilku katastrof – zauważa prof. Edwards. – Np. zasoby dorsza w Morzu Północnym zmniejszyły się nie tylko ze względu na przełowienie czy wzrost temperatury wód, ale też z powodu drastycznego spadku liczebności ulubionego planktonowego pożywienia tych ryb. Spodziewamy się, że w przyszłości procesy te będą ulegały intensyfikacji, wywierając dodatkowy nacisk na już uszczuplone populacje ryb, ptaków i ssaków.

Skoro plankton stoi u podstaw całego obiegu materii w ekosystemie, to zmiany w obrębie wielkości, liczebności i występowania tych niewielkich organizmów mogą rzutować na bardzo podstawowe aspekty funkcjonowania konsumentów wyższych rzędów, zwłaszcza tych,

dla których stanowią one jedyne źródło pożywienia. Czy zwierzęta, które żywią się wyłącznie planktonem, będą w stanie dostosować się do nowych proporcji składników odżywczych i mineralnych? Np. czy ptaki, które żerują na zooplanktonie, będą w stanie wyprodukować w okresie rozrodczym wystarczająco grube i wytrzymałe skorupki jaj, skoro dietetyczny pobór pierwiastków takich jak wapń ulegnie zmianie? A co za tym idzie – czy zapewnią zarodkom odpowiednie warunki rozwoju?

Pytania te mogą być szczególnie istotne w odniesieniu do tych zwierząt, które są bardzo liczne, a zarazem polegają niemal wyłącznie na planktonie. Tak jest chociażby w przypadku alcyków – jednych z najliczniejszych ptaków Arktyki, które żywią się różnymi typami zooplanktonu. Z pracy Johanny Hovinen i współpracowników, opublikowanej w 2014 r. w „Ecology and Evolution”, wynika, że już teraz zmiany wywołane przez globalne ocieplenie istotnie zmniejszają przeżywalność alcyków.

Można by pomyśleć, że migracja planktonu może być drastyczna w skutkach dla ekosystemów morskich, ale przynajmniej życie na lądach pozostanie bezpieczne? Jednak wszystkie układy biologiczne na Ziemi są ze sobą ściśle powiązane. Co więcej, w niektórych rejonach oceany są głównym (a czasem niemal jedynym) źródłem składników odżywczych. Taki stan rzeczy jest widoczny np. na wybrzeżach, a szczególnie w ekosystemach wyspiarskich, które – pozbawione związków organicznych pochodzących z oceanu – nie byłyby w stanie wyżywić żyjących na wyspie organizmów. Z analizy Luke’a Halpina i współpracowników, opublikowanej w zeszłym roku w „The American Naturalist”, wynika, że niektóre

Globalny rozmiar ryb stopniowo maleje.

Między innymi ze względu na mniejszą produktywność ekosystemu.

wyspy polegają wyłącznie na składnikach odżywczych i mineralnych, które zostaną „wyniesione” wprost z oceanu – np. przez ptaki morskie, żywiące się rybami i innymi organizmami morskimi. Zwierzęta te wprowadzają do wyspiarskiego ekosystemu kluczowe związki, bytując na lądzie, gdzie pozostawiają swoje odchody, skorupki jaj, a często również własne szczątki. Tym samym stanowią swego rodzaju bramę wejściową dla składników odżywczych i mineralnych, które następnie – dzięki konsumentom kolejnych rzędów, ale także dzięki reducentom i producentom (traktującym odchody ptaków jak nawóz) – są dystrybuowane po dalszych obszarach wyspy.

Megausługa

Z migracją planktonu i jego zmienionym składem wiąże się jeszcze jedno, bardzo istotne zagrożenie. Plankton nie tylko reaguje na globalne zmiany klimatyczne, ale też stanowi jeden z najważniejszych elementów, które regulują klimat, działając jako tzw. pompa biologiczna.

– Pompa biologiczna to ogół procesów, w które zaangażowany jest plankton, a które prowadzą do sekwestracji, czyli wyłapywania dwutlenku węgla z atmosfery i do uwalniania tlenu – wyjaśnia

dr Benedetti. – Ten pierwszy komponent, czyli pompa węglowa, sprowadza się do tego, że organizmy planktoniczne wychwytyują dwutlenek węgla z atmosfery i poprzez szereg swoich procesów metabolicznych wtłaczają go do oceanu – dodaje.

Biologiczna pompa węglowa – wraz z fizyczną pompą, na którą plankton nie ma wpływu – należą do najważniejszych mechanizmów regulujących klimat na Ziemi i zawartość dwutlenku węgla w atmosferze.

– Wiemy, że ilość energii, jaka jest produkowana przez dany system, jest skorelowana z liczbą gatunków, które wchodzi w skład układu – zauważa dr Benedetti. – Jeśli więc w planktonie dokona się zmiana polegająca na wyparciu dużych, ale mniej licznych gatunków przez mniejsze, ale liczniejsze, to pompa biologiczna będzie znacznie mniej efektywna, a wręcz może się przyczynić nie do spadku, lecz do wzrostu zawartości dwutlenku węgla w atmosferze ziemskiej.

Czy istnieje zatem jakieś rozwiązanie opisanego problemu i czy zachodzące już zmiany można zatrzymać? Kluczem do odpowiedzi jest temperatura.

– Plankton dostarcza nam tzw. usług ekosystemowych, do których należą właśnie produkcja tlenu czy sekwestracja węgla za pomocą pompy biologicznej – odpowiada prof. Edwards. – Jeśli globalne ocieplenie będzie gwałtownie postępowało, to również zmiany rozmieszczenia planktonu i jego składu będą postępowały.

Jedynym rozwiązaniem jest więc zahamowanie wzrostu globalnej temperatury. Tylko wtedy bowiem megausługa, którą realizują dla nas mikroistoty, będzie mogła być kontynuowana.

© MARTA ALICJA TRZECIAK

W Sądzie Rejonowym w Sanoku | Wydziale Cywilnym pod sygn. akt I Ns 88/21 toczy się z wniosku Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa w Warszawie postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Sysaku (Sysak), s. Józefa i Marii, ur. 19 listopada 1947 r. w Teodorówce, zm. 1 października 2018 r. w Nowym Siole (Nowe Sioło).

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku | Wydziałem Cywilnym pod sygn. akt I Ns 435/21 toczy się z wniosku Alior Bank SA w Warszawie postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Mieczysławie Kazimierz Królu, synu Władysława i Wiktorii, ur. 3 lutego 1935 r. w Jurowcach, zm. 4 grudnia 2015 r. w Sanoku, zamieszkałym przed śmiercią w Jurowcach.

Wzywa się spadkobierców zmarłego, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili swój udział w postępowaniu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w stwierdzeniu nabycia spadku.

TOMASZ

Stawiszyński:

Najgorszy dzień w roku



W OPUBLIKOWANYM PRZED SIEDEMNASTOMA laty materiale prasowym, przygotowanym przez brytyjską firmę Sky Travel, w tonie jednoznacznie sensacyjnym oznajmiono, że naukowcy dokonali właśnie niezwykłego odkrycia. Otóż w każdy

trzeci poniedziałek stycznia samopoczucie ludzkości osiąga dolne ekstremum. Takie wnioski – przekonywano – wyciągnęli autorzy pewnej niesłyszanej wprost uczzonej publikacji, opartej na algorytmie pozwalającym z zegarmistrzowską precyzją kalkulować stany mentalne. Gęszcz wykresów, w których roilo się od matematycznych symboli, odsłaniał ponoć prawdę niekwestionowaną – istnieje najbardziej depresyjny dzień w roku i niniejszym udało się go zidentyfikować. Parametry, które go konstytuują, są następujące: świadomość, że się nie dotrzyma postanowień noworocznych, fatalny stan konta po świątecznych wydatkach oraz warunki pogodowe.

Trudno się dziwić, że momentalnie stała się to jedna z najgorętszych medialnych wiadomości. Ostatecznie już sam fakt, że ktoś gdzieś opracował jakiś wzór na nasze melancholie i obawy, na nasze neurotyczne lęki i natręstwa – a na dodatek, że wmontował ich bezwzględna dynamikę w kalendarz – brzmi uwalniająco. Najdotkliwzszymi jakościami istnienia są przecież, jak dobrze wiadomo, bezwład, chaos i nieprzewidywalność. Jeśli więc chociaż drobny fragment tych nieokreślanych wirów dałoby się zoperacjonalizować, byłoby to niewątpliwą ulgą.

Zresztą – czy nie o tym właśnie od zarania dziejów marzyliśmy? O racjonalizacji nieszczęścia i mizerności losu, wpisanemu ich w choćby nawet i najbardziej splątana, ale jednak uchwytą strukturę boskiego planu, karmicznego wzorca albo dziejowej konieczności? Nic w tym zatem osobliwego, że kiedy rzekomo ściśle definicję takiej prawidłowości ogłosiła Sky Travel, wspierając się na domiar autorytetem nauki, *news* ten w jednej chwili osiągnął status wiralu – oczywiście w proporcjach stosownych do ówczesnej fazy rozwoju in-

ternetu. Statusem tym skądinąd cieszy się do dzisiaj, ilekroć bowiem przychodzi trzeci poniedziałek stycznia, media społecznościowe uginają się wprost od narzekań na tę przeklętą datę (w tym roku wypadnie 17., sami zobaczycie, co się będzie działo).

Tyle że to wszystko nieprawda. Nie istnieje najbardziej depresyjny dzień w roku, nie istnieje także – a może przede wszystkim – żaden algorytm pozwalający rozrysowywać amplitudę nastroju ludzkości na podstawie najbardziej choćby szczegółowych danych. Istnieją oczywiście prawidłowości statystyczne, związki przyczynowe oraz współwystępowanie faktów społecznych i jednostkowych – np. w krajach o dużych nierównościach więcej jest depresji i lęku niż tam, gdzie nierówności są mniejsze – niemniej nie ma żadnego takiego równania, dzięki któremu dałoby się wyliczyć, że akurat w trzeci poniedziałek stycznia wszyscy czuć się będziemy znacząco gorzej niż zazwyczaj. Materiał opracowany przez Sky Travel, co wykazał niedługo po jego publikacji lekarz i publicysta Ben Goldacre – niestrudzony tropiciel rozmaitych nadużyć i poznawczych zakrzywień – był w istocie mistyfikacją, za którą stali pewien łaknący rozgłosu psycholog oraz... agencja *public relations* wietrząca w tym chytrym pomysły szansę na zarobienie jakichś pieniędzy.

Mimo to „najbardziej depresyjny dzień w roku” wciąż cieszy się gigantyczną popularnością, nie tylko w mediach społecznościowych. Może zatem – choć do matematycznej precyzji mu daleko – idealnie wpisuje się on w jakąś naszą głęboką potrzebę? Może jest nie tyle najbardziej depresyjnym dniem w roku, ile raczej dniem, w którym wszystkie nasze ciemne emocje, wszystkie nasze frustracje, lęki i obawy otrzymują nagle prawo do istnienia? W tym jednym, jedynym dniu nie trzeba ich już skwapliwie przykrywać opowieściami o tym, jak to wspaniale się rozwijamy. Jak to stawiamy przed sobą kolejne cele i z determinacją dążymy do ich realizacji. Jak to każda porażkę traktujemy niczym drogocenną lekcję, która w nieodległej przyszłości pozwoli nam odnieść kolejny sukces. Jak to jesteśmy kowalami własnego losu.

Przeciwnie: w tym jednym dniu można wreszcie swobodnie odetchnąć, bo wszystko to, co nas na co dzień przygniata, przestaje być wyłącznie naszą jednostkową odpowiedzialnością i winą. Zostaje natomiast włączone w zbiorowy los, zewnętrzną formę. Niechby i wykoncypowaną przez jakiegoś hochsztaplera za pomocą łże-algorytmu, ale przynajmniej dającą nam choćby minimalne poczucie bycia częścią jakiejś ponadindywidualnej całości. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym przy ul. Wrocławskiej 6 toczy się pod sygnaturą I Ns 252/19 postępowanie z wniosku wierzyciela PROTEGAT 1 Niestandaryzowany Sekuratyacyjny Fundusz Inwestycyjny Zamknięty o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Kucharzaku, zm. 7 lipca 2020 r., ostatnio stale zamieszkałym w Witaszyczach. Skład spadku po zmarłym nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się pod sygn. I Ns 1040/19 postępowanie z wniosku Urszuli Weroniki Massalskiej, Jacka Massalskiego i Marka Massalskiego o stwierdzenie zasiedzenia udziału 1/2 (jednej drugiej) części we współwłasności nieruchomości położonej w Łatowiczu, oznaczonej w ewidencji gruntów numerem 582, o powierzchni 0,0618 ha.

Sąd wzywa zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców Grzegorza Kłosa, aby w terminie trzech miesięcy zgłosili się do tutejszego Sądu, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

Siła spokoju

MICHAŁ OKOŃSKI

W krakowskim szpitalu zmarł Artur Strzelecki. Przez więcej niż pół życia był jednym z filarów „Tygodnika Powszechnego”.

MÓWIĘ „HISTORIA TYGODNIKA”, ALE nie myślę tylko: Turowicz czy Tischner, Kisiel czy Pilch, Kozłowski czy Hennelowa, Błoński czy Stomma. To znaczy, owszem, wszyscy wymienieni nasze pismo kiedyś redagowali, wyznaczali jego linię, pisali teksty czy felietony, które weszły do kanonu polskiego dziennikarstwa. Ale przecież „Tygodnik” to także takie postaci, jak nieżyjący od lat sekretarka Maria Lach i korektor Jerzy Koenig albo zmarły właśnie, w wieku 60 lat, redaktor techniczny i szef fotostocku Artur Strzelecki. Dla czytelnika niewidzialni, wykonujący pracę niemal przezroczystą, choć lista katastrof, przed którymi pismo uratowali, prosi się właściwie o jakiś dziękczynny pomnik.

Artur był w „Tygodniku”, jeśli nie liczyć Adama Bonieckiego i Tomka Fiałkowskiego, najdłużej z nas wszystkich. Syn pani Krystyny, wieloletniej głównej księgowej, pracował najpierw jako korektor, potem redaktor techniczny, na początku lat 90. łamiący wielkie płachty pisma jeszcze w drukarni przy alei Pokoju, później jako szef fotostocku w ciasnych pomieszczeniach Wiślniej 12, a w końcu na Dworskiej, gdzie nad monitorem jego komputera wisiał wciąż ten sam, przeniesiony z dawnej siedziby plakat wyborczy Tadeusza Mazowieckiego z hasłem „Siła spokoju”. Hasłem, które (choć zirytowany jałową gadaniną niemogących się zdecydować na wybór jakiegoś tytułu czy leadu redaktorów potrafił nieraz wyjść i trzasnąć drzwiami, stawiając w ten sposób hamletyzujących kolegów do pionu) w chwilach naprawde dramatycznych, na kilka minut przed terminem zesłania numeru do drukarni, a nieraz i po jego upływie, wydawało się jego mottem.

Sytuacji, w których ten historyczny i ten całkiem współczesny „Tygodnik” rato-



MARCIN ŻYŁA

wała jego przytomność, było w ciągu trzydziestu z górą lat dziesiątki. Trudno się dziwić, skoro on i jego zespół połamali w tym czasie ponad półtora tysiąca numerów, w tym takie, których przygotowanie wiązało się z gigantycznymi kosztami emocjonalnymi i pracą pod wielką presją czasu – kiedy umarł Jerzy Turowicz albo po śmierci Jana Pawła II, Artur nie wychodził z redakcji przez kilkanaście i więcej godzin.

Po większości takich interwencji poza koleżeńskim wspomnieniem nie zostawał w druku żaden autorski ślad (choć bywało w latach 90., że trudny do zilustrowania tekst opatrzywał własnym rysunkiem, który przyjmowaliśmy, jakby spadł z nieba). Dopiero w okresie pandemii, kiedy przeszliśmy na pracę zdalną, w naszym wewnętrznym komunikatorze zostawały pisane świadectwa jego uważności i troski wykraczającej poza kolumny, które łamał osobiście. Zdarzało się, że późną nocą przeglądał także to, co robili inni, znajdował błędy i sugerował ulepszenia. „Michale, z Ziętą tak bym próbował [łamać] – pisał do mnie w sierpniu 2020 r., podczas prac

nad stronami pożegnalnymi po śmierci Józefy Hennelowej. – Ale lead do »Zamkowej« powinien być dużo krótszy. To jest oczywiście szkic *ad hoc*. Pomyśl”. Delikatność, z jaką formułował te propozycje, była dlań charakterystyczna: „Jeśli uznasz, że tak może być, to pomogę trochę”. Innym razem wycofywał z drukarni przejrzaną i zatwierdzoną już przez wszystkich stronę, która zawierała błąd w odmianie łacińskiego słowa; na takich sprawach znał się lepiej niż niejeden z nas.

Napisać, że mnóstwo mu zawdzięczamy, to nic nie napisać. Zresztą czuję, że w takim podziękowaniu nie będzie prawdziwego Artura. Patrzę na jego zdjęcie profilowe w komunikatorze: z nieodłącznym, niemal do końca już wypalonym papierosem w kąciu ust, w góralskim kapeluszu i z kilkunastym zarostem, ale w koszulce z orłem Habsburgów i portretem Najjaśniejszego Pana w tle. Wspominam sygnet na palcu, tweedową marynarkę i fular, które nosił równie chętnie, jak wędkarskie kamizelki; szlachetny rys, tłumaczący pewnie powściągliwość, z jaką mówił o swoim życiu prywatnym. Wspominam jakieś redakcyjne uroczystości, kiedy przy szklaneczce whisky siadał do pianina i od jakiegoś ragtime’a przechodził do jarrettowskiej z ducha improwizacji. Wracam do początku lat 90., kiedy w białoczerwonej koszulce Ajaksu – tego Ajaksu Michelsa i Cruyffa, którego skład pamiętał najlepiej ze wszystkich redakcyjnych kibiców – pojawia się na asfaltowym boisku za technikum przy ul. Ułanów, ustawia się w polu karnym (bo jednak tytoniowy nałóg poważnie ogranicza jego zdolności kondycyjne i podobnie jak Pilch gra w ataku), a potem wykańcza kolejne akcje redakcyjnej drużyny z tą samą nieomylną grą, z jaką grał na fortepianie i łamał gazetę. ©EP

POŻEGNANIE

Pani Krystynie Strzeleckiej
wyrazy współczucia z powodu śmierci

Syna

składa

„TYGODNIK POWSZECHNY”

CATRIX NADCHODZI

Nowy „Matrix” każe nam
spytać: czy po życiu istnieje
śmierć? Czy nasi bohaterowie
będą mogli oddalić się kiedyś
na zasłużony odpoczynek,
czy też ich losem będzie
nieustanne wskrzeszanie
w postaci coraz
pokraczniejszych monstrów?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI



ŚWIETNY FILM. KOSZMARNY FILM. WAR-to obejrzyć. Można sobie darować. Nie wierzę w recenzję jako gatunek zamknięty jasną puentą. Podobnie jak twórcy nowego „Matriksa. Zmartwychwstania”, którzy nie wierzą w prosty podział na dobre i złe filmy. To w co oni właściwie wierzą?

To pułapka!

– To *déjà vu*, ale nic tu się nie zgadza.

– Po co wykorzystywać stary kod do zrobienia czegoś nowego?

– Nie wiem. Jeżeli to miała być Trinity, to powinno się wydarzyć coś zupełnie innego.

– A może to wcale nie ta historia, co myśleliśmy?

– Lepiej stąd uciekaj. To musi być pułapka.

Dialog otwierający nowego „Matriksa” dobrze oddaje jego skomplikowany związek z pierwowzorem z 1999 r. Zawiera też szczere ostrzeżenie. Ten film to pułapka, choć jego twórcy zastawili na fanów nieco inną zasadzkę niż producenci mnożących się „Gwiezdných wojen” i „Star Treków”.

Oryginalny „Matrix” zamknął w kinie akcji XX stulecie i otworzył wiek XXI. Zachwycał efektami specjalnymi, opowiadał dobrą historię, wpisywał się w rodzaje się dopiero wątpliwości i fascynacje związane z rozwojem internetu i wirtualnej rzeczywistości. Bohaterem filmu był Thomas Anderson (Keanu Reeves), znany też jako Neo – haker, który pewnego dnia odkrywa, że nasz świat jest tylko komputerową symulacją. Podążając za wskazówkami tajemniczego Morfeusza (Laurence Fishburne), Neo dołącza do ruchu oporu przeciw niewolącym ludzkość maszynom. Stopniowo odkrywa reguły rządzące Matriksem. Dowiaduje się na przykład, że dwukrotne przebiegnięcie drogi przez tego samego czarnego kota nie oznacza podwójnego pecha, lecz *déjà vu* – usterkę pojawiającą się, ilekroć maszyny aktualizują symulację.

W ruchu oporu Neo poznaje miłość swego życia – Trinity (w tej roli Carrie-Anne Moss), a także sztukę walki. Kung-fu pozwala mu potem w spektakularny sposób skopać tyłki złowrogich Agentów. Po przebyciu całej ścieżki bohatera mitycznego (wezwanie, początkowe od-

rzucenie wezwania, podróż do podziemnej krainy, śmierć i zmartwychwstanie) Neo staje się wybranym i ratuje świat rozdarty przez wyniszczającą wojnę ludzi i maszyn.

„Matrix” to zatem współczesna wersja „Życia snem” Calderóna, a zarazem klasyczny mit gnostycki o ludzkości uwięzionej w iluzji przez złego Demiurga. W nowym, lateksowym kostiumie film stawiał bardzo stare filozoficzne pytania.

Ale to nie filozofia wywarła na widzach największe wrażenie, lecz spektakularne sceny walki i nowatorskie efekty specjalne z *bullet time* na czele. Dzięki zastosowaniu wielu aparatów ułożonych wzdłuż wirtualnych linii ruchu twórcy symulowali płynny ruch kamery przy jednoczesnym pokazaniu wielokrotnie zwolnionej akcji. W efekcie widz odnosił wrażenie rozciągnięcia czasu. Jak gdyby niespiesznie okrążał scenę rozgrywającą się w ułamkach sekundy, jakie pociskowi zajmuje dotarcie z lufy pistoletu do wykonujących unik bohaterów.

Film szybko doczekał się dwóch kolejnych, bardzo słabych części. „Matriks. Reaktywacja” i „Matriks. Rewolucje” miały premierę w 2003 r., w odstępie zaledwie kilku miesięcy. Rozwój postaci, zagadki i wielowymiarowy świat ustąpiły miejsca efektom specjalnym i bezsensownej nawalance. Jak gdyby drużyna kreatywnych pracowników Warner Bros. przeczytała raporty grup fokusowych mówiące, że widzom „Matriksa” szczególnie podobają się sceny walki, i postanowiła zrobić film składający się wyłącznie z nich. To, co świetnie sprawdziło się jako ozdoba, nie było w stanie napędzić fabuły.

Wobec nieudanych części drugiej i trzeciej, w nowym „Matriksie” wykonuje się interesującą prestidigitatorską sztuczkę, traktując je łącznie z pierwszą częścią jako „Oryginalną Trylogię”. W ten sposób blask genialnego pierwowzoru opromienił też pierwsze dwa sequele. A to dopiero początek zamieszania z czasoprzestrzenią, jakie proponują nam twórcy nowej odsłony sagi, wyraźnie zainspirowani technologią *bullet time*.

Stłuczone zwierciadło

Już pierwsze kadry nowego „Matriksa” uświadamiają nam, jak wiele obrazów, tekstów, symboli i metafor wprowadził do kultury jego genialny pierwowzór sprzed dwóch dekad.

Zielone linie świetlistego kodu spadające z góry jak lzy albo deszcz na szybie, fantastyczne fasony ciemnych okularów, łopoczące płaszcze, czerni skór i lateksów skonstrastowana z wzorzystymi krawatami i kolorowymi kamizelkami Morfeusza. Charakterystyczne dźwięki cyfrowych gliczy (zniekształceń), efekt przechodzenia przez lustra, czerwona i niebieska pigułka, no i oczywiście najsłynniejsze sceny z wykorzystaniem *bullet time* – Trinity zawisająca w powietrzu tuż przed wykonaniem spektakularnego kopnięcia, Neo uchylający się przed pociskami w efektownej parodii stylu grzybiotowego, wreszcie same pociski – kule zatrzymane w locie albo sunące niespiesznie długimi smugami, łuski syjące się jak grad z ostrzeliwującego bohaterów helikoptera. Wszystko to ukazane przez charakterystyczny zielonkawy filtr – jakbyśmy my, widzowie, też mieli na oczach specjalne okulary (ciekawostka: pierwotna kinowa wersja filmu miała naturalniejsze kolory. Paleta, którą dziś kojarzymy z Matriksem, to efekt późniejszych zabiegów).

Podobnie jak J.J. Abrams sześć lat temu wskrzeszający „Gwiezdne wojny”, reżyserka nowego „Matriksa”, Lana Wachowski zastosowała strategię złomiarza (ang. *scavenger*). Zamiast tworzyć nowe dzieło osadzone w starym uniwersum, wypruła z oryginału sceny, sekwencje fabularne, obrazy i cytaty, a następnie zmontowała je w nową starą całość. Miała jednak odwagę pójść jeszcze o krok dalej niż Abrams.

Po pierwsze, dla zwielokrotnienia efektu nostalgii w filmie wykorzystano wiele ujęć z oryginalnego „Matriksa”. Nowe przygody bohaterów nie tylko powtarzają te stare, lecz są przez nie wprost kontrpunktowane, tak że widz nie musi polegać na zawodnej pamięci – wszystkie różnice i powtórzenia dostaje na ekranie, w pełnej, bezwstydną jawności.

Po drugie, bohaterowie IX epizodu „Gwiezdných wojen” określają wprawdzie Luke’a Skywalker’a mianem „mitu”, jednak załoga Sokoła Milenium nie ogląda sobie DVD z „Imperium kontratakuje”. Tymczasem w nowym „Matriksie” stary „Matriks” jest... ważną częścią Matriksa. Brzmi skomplikowanie?

Matrix w Matriksie

Stara trylogia istnieje w świecie przedstawionym nowego „Matriksa”. Bohaterowie →

→ znają przygody Neo i Trinity, sypią cytami i aluzjami do poprzednich filmów. Tyle że dla większości z nich nie są to rzeczywiste wspomnienia, lecz nawiązania do... kultowej gry komputerowej. Jej twórcą jest niejaki Thomas Anderson – grany przez Reevesa programista, ciężko pracujący ze swoim terapeutą, by zostawić za sobą chorobę psychiczną i odróżnić rzeczywistość od urojeń, które zainspirowały stworzoną przez niego grę.

Pewnego dnia Anderson zostaje zaskoczony propozycją nie do odrzucenia. Będzie pracował nad nową częścią „Matriksa”. „Świat się zmienił. Rynek jest trudny – wyjaśnia mu zniechęcony przełożony. – Z pewnością rozumiesz, dlaczego nasza ukochana spółka-matka Warner Bros. zdecydowała się zrobić sequel do trylogii”. Serio! Dokładnie takie słowa wypowiada jeden z bohaterów, spoglądając wprost w kamerę. Jeżeli oryginalny „Matrix” mógł sprawić, że na chwilę zwątpimy w realność otaczającego nas świata, to nowa część skutecznie wyburza wszelkie mury między rzeczywistością a fikcją. Wszyscy mieszkamy w Matriksie. Jego twórcami i strażnikami są wielkie korporacje, takie jak Warner.

Porwani przez Warner Bros.

Jest taki fascynujący popkulturowy wątek powracający od „Szatana z siódmej klasy” po film „Fakty i akty” („Wag the Dog”, 1997). Złoczyńcy porywają bohatera i trzymając go na muszce zmuszają, by skontaktował się z domem. Spryciarz niby powtarza to, co kazali mu porwać, ale jednocześnie daje radę przemycić zaszyfowaną wiadomość: „Trzymają nas pod bronią STOP robimy to wbrew własnej woli STOP nie wiercie w to, co widzicie”. Taki komunikat rozbrzmiewał mi w głowie przez cały seans. I nie jest to kwestia mojego nadzwyczajnego wyczulenia na ukryte przekazy. Reeves i reszta ekipy na każdym kroku powtarzali to ostrzeżenie tak wyraźnie, jak tylko się dało.

W świecie rozproszonej uwagi toczy się wyniszczająca wojna

o każdą jej sekundę.

Od artysty i jego wizji ważniejsze stają się algorytm, grupy fokusowe i potencjał marketingowy franczyzy.

Anderson nie jest zachwycony propozycją stworzenia nowej części gry. „Matrix” to była zamknięta opowieść, nie ma tu nic do dodania. Rozmówca zgadza się z nim, po czym kontynuuje relację z negocjacji z Warnerem. Jeżeli się nie zgodzimy, producenci zrobią po prostu ten sequel bez nas. Więc może lepiej być na pokładzie i mieć wpływ na to, co dzieje się z ukochanymi bohaterami? Możemy się tylko domyślać, czy ta dyskusja oddaje rzeczywiste negocjacje między Laną Wachowską a Warnerem. Tak szczerze, że aż bezwstydne? Ale to dopiero początek!

Po scenie w gabinecie szefa przenosimy się na zaplecze, żeby zobaczyć, jak robi się parówki, albo politykę. W zatrudniającej Andersona firmie trwa burza mózgów. Obserwujemy typowy zespół kreatywny przy pracy. Są wszystkie atrybuty nowoczesnego podejścia do inspirującej przestrzeni biurowej – spacerowanie wokół stołu, stół pingpongowy, hektolitry kawy. Razem z pracownikami firmy poznajemy wyniki badań fokusowych mówiące o „kluczowych słowach kluczowych kojarzonych z marką Matrix”. Na szczycie listy oczywiście „oryginalność” i „świeżość”. Ale jak powtórzyć oryginalność? Jak przyprawić drugą świeżość? Każdy z pracowników zaczyna opowiadać, czym dla niego był „Matrix”. „Był super, bo mieszał ci w głowie”, „to alegoria transpłciowości”, „mnie tam podobała się nawalanka, liczył się tylko *bullet time*”. Oglądało się to jak *reality show* o korporacji albo odcinek „The Office”.

Abstrahuje od bezwstydnej autoparodii – to ważna scena. Faktycznie minęło dwadzieścia lat, a na świecie żyje pokolenie wychowane na „Matriksie”. I rzeczywiście, dla każdego z nas „Matrix” był trochę czym innym.

Imiona bohaterów i nazwy własne w „Matriksie” zawsze były znaczące. Nie inaczej jest w czwartej części. Przewodnikiem po wirtualnym świecie staje się niejaki „Seq” – to podobno zdrobnienie od Sequoia, ale brzmi raczej jak pieszczotliwa forma od Sequel. Nasi bohaterowie przemierzają postapokaliptyczne pustkowie statkiem Mnemosyne, nazwanym na cześć bogini pamięci i matki muz, która współcześnie zostałaby zapewne także opiekunką nostalgii i hollywoodzkiego recyklingu.

Jeżeli wszystkie te wskazówki nie są dość sugestywne, mniej więcej w trzech czwartych filmu na bohaterów spada zgraja mocno nadgryzionych zębem czasu upiórów – antagonistów z części drugiej i trzeciej trylogii. Po tęgim laniu jeden z nich (znany dawniej jako Mero-wing) odgraża się bohaterom, przestrzegając, że „to jeszcze nie koniec naszego sequelo-franczyzo-spinoffu”. Czyżby kolejna zaszyfowana wiadomość-groźba dla zakładników Warnera?

Wielu recenzentów zarzucało twórcom nowego „Matriksa”, że nie mogli się zdecydować, czy robią film na poważnie, czy nostalgiczną autoparodię. Ale może na tym właśnie polega cały problem? Tej decyzji nie dało się podjąć. Twórcy filmu wymykają się prostemu podziałowi na popkulturę i kontrkulturę. Są naszymi sojusznikami i przeciwnikami zarazem. Krytykami hollywoodzkiej maszyny eksploatacji i jej beneficjentami. W końcu nic nie sprzedaje się tak dobrze, jak krytyka komercji.

Przeżyjmy to jeszcze raz

„– Wygląda jak stary kod.

– Tak... wydaje się naprawdę znajomy!”.

Ten krótki dialog z początku filmu pozwala przypisać nowego „Matriksa” do właściwego gatunku. To nie jest *reboot* ani *sequel* w ścisłym tego słowa znaczeniu, lecz coś w rodzaju wspominkowego odcinka specjalnego. Takie powroty zaliczyły ostatnio seriale „Przyjaciele” czy „Seks w wielkim mieście”. Z okazji 20-lecia premiery filmowego „Harry’ego Pottera” HBO zorganizowało „Powrót do Hogwartu”. To show-businessowy odpowiednik spotkania na dwudziestolecie matury. Każdy może się pochwalić sukcesami, dziećmiakami i rozwodami. Wspominamy szkolne psoty, surowych nauczycieli, przez chwilę wcielamy się w ludzi, którymi byliśmy dwie dekady temu.



HBO / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Matrix”, 1999

W ten sposób nową interpretację zyskuje kluczowy motyw „Matriksa”. Czym właściwie jest *déjà vu*? Nowy „Matriks” to film o wchodzeniu po raz drugi do tej samej rzeki. Używa starego kodu, żeby zrobić coś nowego.

Tak, Hollywood dławi się własnym ogonem. To nie narzekanie, tylko podsumowanie twardych danych. Od kilku lat rośnie liczba rozbudowanych franczyz, sequele, prequeli, spin-offów i rebootów. Wśród najpopularniejszych filmów każdego roku coraz mniej jest produkcji oryginalnych – osobnych zamkniętych całości obliczonych na jeden film i dobrą, skończoną historię. Pisałem już o tym na tych łamach.

W czwartym „Matriksie” epidemia sequelezy znajduje nową, interesującą metaforę. Zamiast walki z pojedynczymi agentami, dostajemy „rój” – tłum zwykłych przechodniów pozbawionych nagle woli i zamienionych w armię zombie. Posługując się popularnym obrazem wstających z grobu umarłych, nowy „Matriks” pokazuje, czym jest utrzymywanie wiecznie przy życiu bohaterów i historii, których czas przeminął; pozbawianie ich duszy, wysysanie do ostatniej kropli krwi. Popkultura nie pozwala przeszłości odejść. Neo i Trinity są zbyt cenni, żeby umrzeć.

Czy istnieje życie po śmierci? W dawnych dobrych czasach to było jedno z najdonioślejszych pytań filozofii. Nowy „Matrix” każe nam raczej spytać, czy po życiu istnieje śmierć. Czy zmęczeni bohaterowie

nie oddalą się kiedyś na zasłużony odpoczynek w Hadesie lub na Olimpie, czy też ich losem będzie nieustanne wskrzeszanie w postaci coraz pokraczniejszych monstrów.

Filmiki z kotkami

„Wszystko zniszczyliście! – wrzeszczy wskrzeszony zombie-Merowing. – Mieliliśmy wdzięk, mieliśmy szyk, mieliśmy oglądę. Nie to, co teraz. Sztuka, filmy, książki – wszystko było lepsze. Oryginalność miała znaczenie. A wy daliście nam tylko Face-Zucker-ssaka i Kanapoflik-sowe-wikisiuski”.

To banalna diagnoza, choć trzeba przyznać, że wypowiedziana ze sporym wdziękiem. Przez dwadzieścia lat świat się zmienił. Media społecznościowe i wszechobecne ekrany stworzyły wokół nas prawdziwy Matriks. Bombardują nas powiadomieniami i grają na naszych emocjach, ale wpływają też na sposób, w jaki tworzy się dziś filmy. W świecie rozproszonej uwagi toczy się wyniszczająca wojna o każdą jej sekundę. Od artysty i jego wizji ważniejsze stają się algorytm, grupy fokusowe i potencjał marketingowy franczyzy.

Na widzów dostatecznie cierpliwych, by dotrwać nie tylko do końca filmu, ale też do finału napisów końcowych nowego „Matriksa”, czekała miła niespodzianka. To krótka scena, w której wracamy do wypełnionego kawą i ping-pongiem pokoju

kreatywnych. „Filmy są martwe – przekonuje jeden z nich. – Gry są martwe. Narracja? Martwa!”. „Media to tylko warunkowanie odpowiedzi na bodźce neuronowe – wtóruje mu kolejny. – To, czego potrzebujemy, to seria filmików z kotkami, które nazwiemy »The Catrinx«”.

Jak postanowili, tak zrobili. Ten sam kot znów przebiegł nam drogę. *Déjà vu*. Ktoś grzebie w Matriksie.

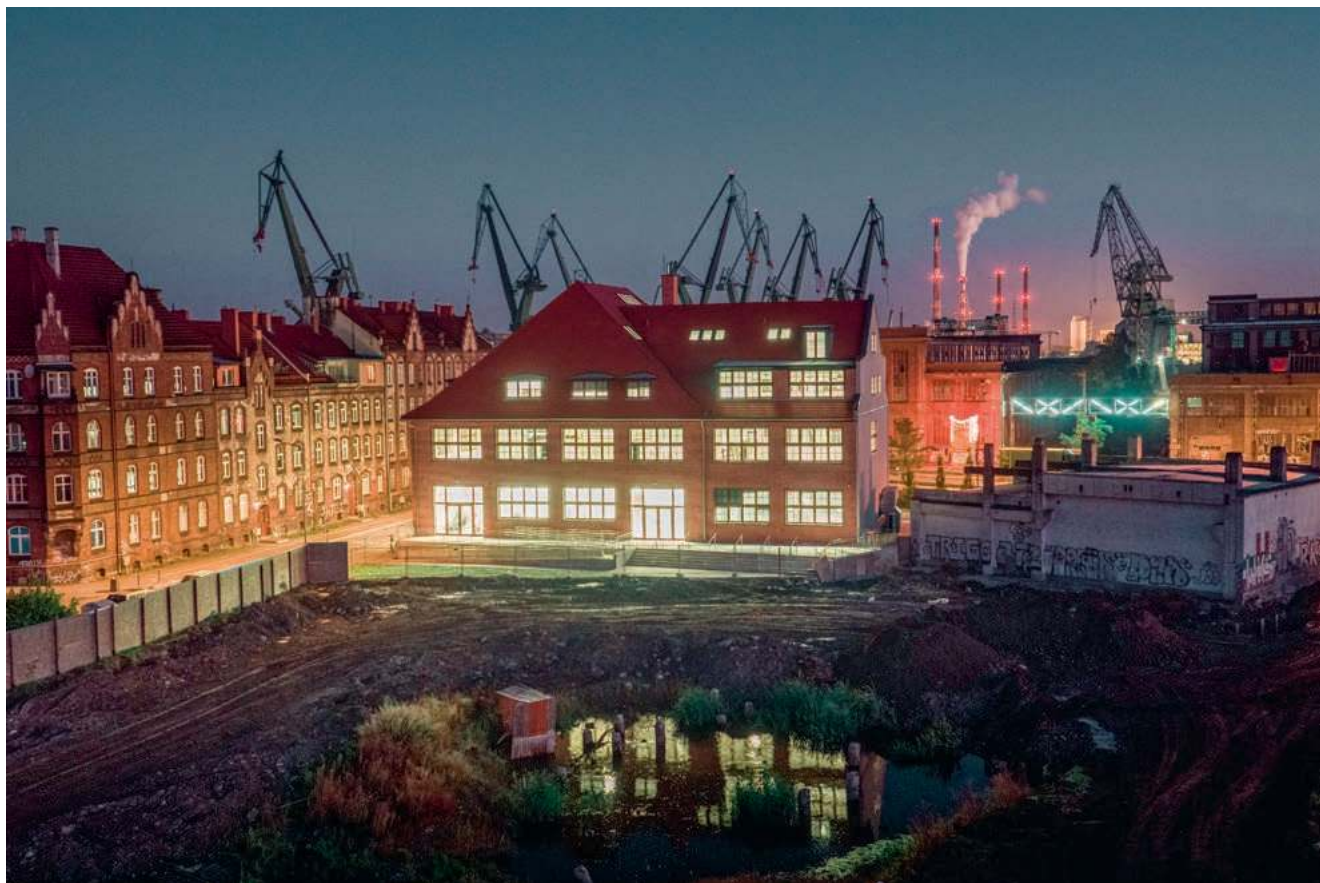
Postscriptum

Jest jeszcze jeden łatwy dualizm, któremu wymyka się ten film. To prosty podział na „my” kontra „ona” – ludzie przeciw zniewalającej technologii. Mimo ostróg przed Facebookiem, korporacjami i wszechwładzą sztucznej inteligencji, nowa odsłona sagi nie popada w łatwy antytechnologiczny sentymentalizm.

Tym razem część maszyn oraz wiele programów (w tym nawet pewien Agent) to sojusznicy ludzi. Dzięki technologii możemy robić wspaniałe rzeczy. Technologia może zbliżyć nas do natury. Mądrze używana może zmniejszyć nasz wpływ na środowisko, a nawet w pewnym stopniu odwrócić skutki poczynionych przez nas zniszczeń. Naszym wrogiem nie jest technologia, lecz pogoń za szybką gratyfikacją, bezmyślna eksploatacja środowiska oraz niedobór, nierówność, które rodzą wojnę.

Ale to już materiał na zupełnie inną opowieść. Nową.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI



DOMINIK WERNER: NORTH FILM / MATERIAŁY PRASOWE

NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki, Gdańsk, październik 2021 r.

Nowe życie

PIOTR KOSIEWSKI

W manifeście nowego muzeum pada ważna deklaracja: „Sięgamy po nasze prawo, prawo lokalne, do napisania własnej historii sztuki – od nowa”.

NA TERENACH DAWNEJ STOCZNI GDAŃSKIEJ otworzył się NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki. W budynku wzniesionym w 1940 r. dla potrzeb Kriegsmarine mieściła się Zasadnicza Szkoła Budowy Okrętów, a potem aż do lat 90. – stoczniowa szkoła zawodowa oraz warsztaty szkolne. Po prywatyzacji stoczni budynek przez kilka lat stał pusty, w latach 2004-14 był siedzibą Instytutu Sztuki Wyspa. Na potrzeby nowego muzeum został starannie odremontowany. Stoi nieopodal pomnika Poległych Stoczniovców 1970, historycznego budynku Sali BHP oraz siedziby Europejskiego Centrum Solidarności. Jesteśmy więc w miejscu kluczowym dla polskiej pamięci.

Niedługo widok na ECS zostanie przysłonięty przez budynki mieszkalno-biurowe Osiedla Żurawie, zaprojektowane przez Rainera Mahlamäkiego, autora Muzeum POLIN. Na historycznym postocznioowym obszarze Młodego Miasta powstaje bowiem nowoczesna dzielnica handlowo-usługowa, która znacząco zmieni charakter tej części Gdańska. Poprzemysłowa zabudowa z charakterystycznymi sylwetkami żurawi (objętymi obecnie ochroną konserwatorską) będzie się przynikała ze współczesną architekturą.

Na fasadzie znalazł się neon Elżbiety Jabłońskiej „Nowe Życie”. Ten świetlny napis, odwołujący się do polskiej tradycji spółdzielczości, artystka od lat umiesz-

cza w miejscach naznaczonych konfliktem, sporem i oczekujących na zmianę. I trudno o lepszą lokalizację niż dawne tereny stoczniowe, na których pamięć o przeszłości próbuje się pogodzić z żywiołem współczesnych przemian.

Muzea XXI wieku

NOMUS założono w 2015 r. z inicjatywy prezydenta miasta, samorządu wojewódzkiego oraz Ministerstwa Kultury. Gdańsk dołączył do nielicznych miast, w których są muzea sztuki współczesnej. Jednak w odróżnieniu od Krakowa, Warszawy czy Wrocławia nie jest to samodzielna instytucja, lecz oddział Muzeum Narodowego, powstały przy tym najpóźniej (początek Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie to rok 2005, krakowski MOCAK działa od roku 2011, w tym samym roku powołano Muzeum Współczesne Wrocław).

Ich założenia wiązały się ze swoistym muzealnym zwrotem, jaki nastąpił w nowym stuleciu. Powoli zaczęła się wypełniać istotna luka po ostatnich dekadach PRL-u. Nowe instytucje miały opowiedzieć o tej części historii, która w poprzednim ustroju była przemilczana lub przed-



NOMUS / MATERIAŁY PRASOWE

Paulina Ołowska, *Fabryka w Tychach*, 2013, olej i kolaż na płótnie, 220 × 200 cm, Dar artystki w zbiorach Muzeum Narodowego w Gdańsku (dział NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki)



NOMUS / MATERIAŁY PRASOWE

Dorota Nieznalska, *Heimatvertriebene (Wypędzeni z ziem ojczystych)*, 2014, instalacja (konstrukcja stalowa, 19 drewnianych oryginalnych drzwi, wideo), 400 × 300 × 300 cm, 13 min, Depozyt Gminy Miasta Gdańska w ramach Gdańskiej Kolekcji Sztuki Współczesnej

stawiana w sposób ograniczony. Inne poświęcono twórczości powstającej w drugiej połowie XX w. oraz współczesnej, bo tego typu muzeów w ogóle w Polsce nie ma, poza poświęconym całemu XX stuleciu Muzeum Sztuki w Łodzi (także z oddziałem sztuki dawnej). Jak powtarza kierująca Muzeum Sztuki Nowoczesnej Joanna Mytkowska: muzea zawsze były powoływane, by „ludzie lepiej rozumieli siebie w nowej sytuacji”.

Trójmiasto jest przykładem szczególnie. W 2007 r. utworzono Europejskie Centrum Solidarności. Kolejnym nowym muzeum jest założone w 2008 r. Muzeum II Wojny Światowej. W 2012 r. w Gdyni powołano Muzeum Emigracji. Opowiadają one – mimo dewastacji części ekspozycji stałej Muzeum II Wojny Światowej przez nominatów obecnej władzy – w przekonujący i wiarygodny sposób o doświadczeniu Polek i Polaków w ubiegłym stuleciu. NOMUS daje szansę uzupełnienia tej narracji o współczesność.

Warto pamiętać o tej nowej muzealnej topografii trójmiasta. Zwłaszcza że umiejscowienie w konkretnym punkcie ma w przypadku NOMUS-u szczególne znaczenie. Jak podkreślała jego twórczyni Aneta Szyłak w rozmowie dla magazynu „Szum”: „musimy mieć swój punkt zaczepienia w historii i geografii – różne muzea muszą opowiadać różne historie przy wykorzystaniu innych metod”. Jednocześnie jest to instytucja silnie związana z samorządem – zaangażowany w jej powsta-

nie był zamordowany w 2019 r. prezydent miasta Paweł Adamowicz. Co więcej, NOMUS, jako że nie był samodzielnym muzeum sztuki współczesnej, nie korzystał z ministerialnego programu wsparcia kolekcji sztuki współczesnej, który pozwolił innym nowym placówkom na tworzenie zrębów własnych zbiorów.

Puste miejsce zastąpiło jednak miasto. To ono od 2017 r. we współpracy z tamtejszym Muzeum Narodowym tworzy Gdańską Kolekcję Sztuki Współczesnej (sukcesywnie przekazywaną muzeum jako depozyt). Nie ma na to zbyt dużych środków: w 2019 r. 400 tys. złotych, w 2021 r. już tylko 200 tys. A jednak, mimo ograniczonych zasobów, udało się stworzyć istotną kolekcję.

Własna historia

NOMUS jest bliskie greckiemu słowu *nomos*. Podobieństwo nieprzypadkowe, co podkreślono w manifestie. *Nomos* to dawna jednostka podziału administracyjnego Grecji, ale to słowo oznacza także prawo czy ład społeczny. Nazwa muzeum odwołuje się zatem do wspólnoty, rozumianej terytorialnie, ale też obywatelsko (zapominamy czasami, że także samorząd w polskiej konstytucji jest rozumiany jako wspólnota mieszkańców). NOMUS zresztą sam się określa jako muzeum wspólnoty: artystów, badaczy, ale też mieszkańców, sąsiadów. Ma być instytucją wchodzącą w dialog, czyli brać pod uwagę kontekst, w którym funkcjonuje.

W manifestie pada też inna ważna deklaracja: „Sięgamy po nasze prawo, prawo lokalne, do napisania własnej historii sztuki – od nowa”. Taką propozycją jest wystawa prezentująca wybór ze zgromadzonych już zbiorów pod znaczącym tytułem „Kolekcja w działaniu”. Sięga ona do lat 80. minionego wieku, do czasów poprzedzających upadek PRL-u, który, paradoksalnie, był też początkiem końca potęgi Stoczni Gdańskiej.

Na wystawie znalazł się „Człowiek niosący żółwia” Grzegorza Klamana z 1989 r. – brutalna rzeźba epatująca ostrą, radykalną formą. Są też zapisy działań artysty na Wyspie Spichrzów z ostatnich lat Polski Ludowej, wyspie pokrytej wtedy ruinami, a dziś przekształconej w modną dzielnicę. Wystawiono wreszcie obiekty używane w akcjach powstałej w Gdańsku w 1986 r. Transzitoryjnej Formacji Totart, grupy artystycznej współtworzonej przez m.in. Darka „Brzóske” Brzósiewicz, Pawła „Konjo” Konnaka, Pawła „Paulusa” Mazura, Ryszarda „Tymona” Tymańskiego i Zbigniewa Sajno. Organizowali oni spektakle-koncerty i spotkania poetyckie; wydarzenia, podczas których, jak pisał Artur „Kudłaty” Kozdrowski, nikt właściwie nie wiedział, „co może się wydarzyć, a tym bardziej dlaczego i po co”. Absurdalne działania Totartu nie tylko okazały się celnym komentarzem do ówczesnej rzeczywistości, ale zachowały swój krytyczny potencjał jako skuteczny przykład odpowiedzi na autorytarną władzę.

Lokalność, wspólnota, zmiana

→ „Kolekcja w działaniu” zwraca szczególną uwagę na gdańskie środowisko artystyczne. Ale to nie jedyny wymiar lokalności obecny w NOMUS-ie, który przecież znajduje się na terenach poprzemysłowych. Na wystawie znalazł się obraz Pauliny Ołowskiej „Fabryka w Tychach” (2013), która przedstawia robotnice przy montażu fiata, jednego z symboli nowoczesności epoki Gierka. Pokazuje ówczesne kobiety – wbrew stereotypom – jako aktywne, samodzielne jednostki.

Naprzeciwko tego obrazu znalazły się dwie fotografie. Pierwsza, autorstwa Hiwy K, wybitnego artysty kurdyjskiego, przedstawia Aleksandrę Olszewską, przez wiele lat społecznie opiekującą się placem Solidarności w Gdańsku. To ona przez trzydzieści lat dbała o pomnik Poległych Stoczniovców. Hiwa K uhonorował tę, której praca przez lata była niedostrzegana. Z kolei Michał Szłaga sfotografował jednego z tych, których dziś się często pomija – robotnika. Zdjęcie to jest częścią większego cyklu poświęconego przeobrażeniom, którym uległy tereny dawnej Stoczni Gdańskiej, miejsca powstania, sukcesu, a potem schyłku ruchu robotniczego Solidarności, ale też ośrodka ważnego przez dziesięciolecia dla przemysłu okrętowego.

Zdjęcia Hiwy K i Michała Szłagi prowokują do pytań o rolę tego muzeum w procesach zachodzących w konkretnej, poprzemysłowej przestrzeni. Czy NOMUS będzie kolejnym czynnikiem sprzyjającym gentryfikacji? Ulokowany jest przecież na granicy między nowym osiedlem a ulicami Stefana Jaracza czy Robotniczą, z ich tradycyjną, dawną zabudową i mieszkańcami od lat zdomowionymi w tej części miasta.

„Kolekcja w działaniu” – jak podkreśla jej kuratorka Aneta Szyłak – pokazuje, że niezależnie od tego, gdzie tworzy artysta czy artystka, czy robi to w przestrzeni publicznej, czy we własnej pracowni, poprzez swoje dzieła angażuje się we wspólnotę. Sztuka zaś niezależnie od medium i formy jest „zanurzona we wspólnym doświadczeniu, które kształtuje, komentuje, poddaje refleksji”.



Agata Zbylut, *Kawiorowa patriotka*, 2014, obiekt (suknia uszyta z szalików kibiców reprezentacji Polski, uszytywniona gorsetem, montowana na drewnianym stelażu), 140 × 160 cm, Depozyt Gminy Miasta Gdańska w ramach Gdańskiej Kolekcji Sztuki Współczesnej

Malarka i rysownicza Anna Orbaczewska, sięgając po ceramikę uważaną długo za medium bardziej poślednie, wykonała niezwykle piec (2021). Pokryła go rysunkami z życia rodziny: obrazami seksu, kłótni, sporów, odpoczynku czy opieki nad dziećmi. To pełna humoru opowieść o współczesnym związku – a jednocześnie forma pieca, z białymi kafkami malowanymi dekoracjami w kolorze niebieskim, przypomina o tradycji północnego, zwłaszcza holenderskiego rzemiosła, charaktery-

stycznej też dla dawnego Gdańska. Obok znalazła się praca Doroty Nieznalskiej „Heimatvertriebene (Wypędzeni z ziem ojczystych)” (2014), w której artystka wykorzystała oryginalne drewniane drzwi z domów z tzw. Ziem Odzyskanych – domów, które mieszkańcy musieli opuścić w ramach wysiedleń ludności niemieckiej w latach 1945-1950. Nadziane na wielkie stalowe bolce, przedziurawione i przyszpilone do ściany, przypominają o przeszłości tej części Polski i jej mieszkańców.

Jest wreszcie „Kawiorowa patriotka” Agaty Zbylut z 2014 r. To sukienka uszyta z białoczerwonych szalików kibiców. Symbol patriotyzmu wprowadzonego do gadżetu, krzykliwego, głośniego, ale też łatwego. Polskości na pokaz, niewymagającej w gruncie rzeczy żadnego wysiłku od tych, którzy ją głoszą.

Na pewno ograniczeniem jest sama siedziba muzeum, która umożliwia pokaz jedynie kilkudziesięciu prac – a przecież siłą NOMUS-u ma być przede wszystkim program wystawienniczy. O tym, jak jest on ważny, świadczyć może druga wystawa przygotowana z okazji otwarcia muzeum – „Niech poprzedza

Cię płomień”, prezentowana w Zielonej Bramie, kolejnym oddziale tutejszego Muzeum Narodowego. Jej kuratorka Aneta Szyłak oddała głos kurdyjskim artystkom i artystom, którzy opowiadają o sytuacji w autonomicznym Regionie Kurdystanu, o radzeniu sobie z traumami z czasów reżimu Saddama Husajna, o tworzeniu własnej tożsamości, zderzeniu z tradycyjną kulturą oraz fundamentalizmem. To wystawa szczególnie aktualna dzisiaj, w dobie narastania islamofobii i postaw antychodźczych.

© PIOTR KOSIEWSKI

KOLEKCJA W DZIAŁANIU

Gdańsk, NOMUS – Nowe Muzeum Sztuki, wystawa czynna do 23 października 2022 r., kuratorka: Aneta Szyłak

NIECH POPRZEDZA CIĘ PŁOMIEŃ

Gdańsk, Muzeum Narodowe – Oddział Zielona Brama, wystawa czynna do 27 lutego 2022 r., kuratorka: Aneta Szyłak



Siri Hustvedt. Barcelona, 21 kwietnia 2017 r.

Ja, ktoś inny

WOJCIECH ENGELKING

Czy dwudziestolatek to ten sam człowiek, który jest teraz sześćdziesięciolatkiem? Przecież różni ich wszystko – nawet ciała, acz te same, mają odmienne. Zatem: ten sam czy nie ten sam?

W „PAMIĘCI, PRZEMÓW” VLADIMIR Nabokov po półwieczu wraca do letnich miesięcy roku 1914. Były skwarne i burzowe; gdy lipiec przeistaczał się w sierpień, rozpoczęła się Wielka Wojna, która wkrótce miała wywrócić jego życie do góry nogami. Nie dlatego jednak Nabokov wspomina, co mu się wówczas, chudemu piętnastolatkowi, przydarzyło. Lato 1914 jest dlań kluczowe z tej racji, że to właśnie w spędzone w wiejskiej posiadłości w Wyrze wakacje napisał swój pierwszy wiersz – czy, by być ściślej, coś na kształt wiersza.

„Pisałem po rosyjsku – przywołuję tamto zdarzenie – chociaż równie dobrze mógłbym pisać po ukraińsku, w uproszczonym angielskim albo w wolapiku.

Wiersz, który spłodziłem, był zaledwie znakiem, że żyję i że doświadczam, doświadczyłem lub mam nadzieję doświadczyć pewnych intensywnych przeżyć danych człowiekowi. Był raczej drogowskazem niż dziełem sztuki, porównywalnym do pasów farby na przydrożnym gładzie”.

Nabokov zaznacza w ten sposób podstawowy kłopot, z jakim mierzy się ktoś, kto sięga po juvenilia wielkich pisarzy. Z jednej bowiem strony jest w nich coś pocieszającego: oto okazuje się, że ci, którzy na pewnym etapie życia stworzyli arcydzieła, niegdyś konstruowali koślawe zdania i spróchniałe metafory. Z drugiej, ich młodzieńcze utwory prowokują do pytania: kto te nieudane akapity napisał? Skoro traktujemy je jako dzieła Na-

bokova czy Pamuka, do których nazwisk należy dodać przymiotnik „młody”, to czy młody Nabokov albo Pamuk to ten sam pisarz, którego teraz tak podziwiamy? Przecież gdyby nie byli autorami „Ady” albo „Śniegu”, nie wzięlibyśmy do rąk ich wczesnych opowiadań!

W swojej najnowszej powieści „Wspomnienia przyszłości”, która właśnie ukazała się w polskim przekładzie, świetna amerykańska pisarka Siri Hustvedt pyta: do jakiego stopnia jednostka nie zmienia się w czasie? Czy ja sprzed dwóch dekad i ja dzisiaj to jedna i ta sama osoba? A jeśli nie, to kim był (jest) ten, który dawno temu nosił moje imię?

Wyparte, zmyślane, żywe

Ale przecież „Wspomnienia...” to powieść, co zaznaczono już na okładce amerykańskiego wydania, a „Pamięci, przemów” miało podtytuł „autobiografia”, choć składało się z tekstów, które wcześniej Nabokov ogłaszał jako fikcję.

Więc: jeżeli w powieści tej mamy do czynienia z rozważaniem, w jaki sposób człowiek podchodzi do samego siebie z przeszłości, czy sama powieść nie jest też rodzajem podejścia do siebie-innego? Przecież w głównej bohaterce „Wspomnień...”, rozdzielonej na trzy równoległe osoby →

→ i narracje – w pierwszej ma 20 lat i jest studentką szwedzkiego pochodzenia przybywającą z Minnesoty do Nowego Jorku pod koniec lat 70. ubiegłego stulecia; w drugiej uznana pisarką po sześćdziesiątce, która za prezydentury Donalda Trumpa znajduje swe notatniki sprzed półwiecza; w trzeciej autorką i wszechwiedzącą narratorką swej pierwszej powieści, zapisywanej w tych notatnikach – trudno nie ujrzyć samej Hustvedt. Autorka również posiada szwedzkie korzenie; również pochodzi ze środkowego zachodu USA; również znalazła się nad rzeką Hudson w latach 70., dzisiaj jest zaś równolatką swej bohaterki, noszącej zresztą inicjały S.H.

– Musisz być już zmęczona pytaniami o to, ile jest we „Wspomnieniach...” prawdy, a ile zmyślenia – mówię. Hustvedt śmieje się i odpowiada: – „Wspomnienia...” zaczęły się banalnie: pomyślałam o kimś, kto przeprowadza się do nowego mieszkania i zaczyna słyszeć głosy przez ścianę. Mnie w pierwszych nowojorskich latach nigdy to nie spotkało, kiedy jednak chciałam mieszkaniu w powieści dać adres, wzięłam ten, pod którym sama wtedy mieszkalam. Potem dodałam do tego notatnik (którego w tamtych latach nie miałam) i resztę zdarzeń, zupełnie wymyślonych. Inaczej niż S.H., nie mogłam ich przeżyć, bo w latach 70. od razu zajęłam się doktoratem, nie miałam czasu na tworzenie. Jeśli więc pytasz, czy to prawda, to i tak, i nie. Nie zdarzyło się prawie nic z tego, co opisałam. Zresztą: to niemożliwe, bym zapamiętała wszystko, co miało miejsce, jak to utrzymują niektórzy z uprawiających autofikcję: jakoby potrafili przywołać skład swoich posiłków sprzed 30 lat. Z drugiej strony: emocjonalnie to powieść prawdziwa i S.H. jest mną: i ówczesną, i dzisiejszą.

Pisarka jest szczupła i ma krótkie, siwe włosy; za nią widać gustownie urządzonego gabinet w domu w Park Slope na Brooklynie, który zajmuje wraz z mężem, prozaikiem Paulem Austerem, postacią jakiś czas temu w Polsce kultową. We „Wspomnieniach...” narratorka także mieszka w tej dzielnicy, partneruje jej wszakże profesor uniwersytetu. Przynajmniej jednak przynależność klasowa się zgadza: w obu przypadkach mamy do czynienia z mieszczańską elitą, która pod koniec XX w. przeistoczyła Brooklyn w dzielnicę zamożnych intelektualistów.

Kiedy jednak i Hustvedt, i S.H. sprowadzały się do Nowego Jorku, miasto

SIRI HUSTVEDT:

Wszyscy przechodzimy przez etapy życia, które się zaczynają i, owszem, także kończą, po nich jesteśmy nie do poznania. Gdyby ktoś ci pokazał twoje zdjęcie jako noworodka, rozpoznałbyś się? Niekoniecznie.

było zupełnie inne, także na Manhatanie: – Żyłoby się wtedy relatywnie tanio i ktoś taki jak ja, ze stypendium i pomocą od rodziców, mógł sobie pozwolić na samodzielne mieszkanie. W dodatku: jaka w tym mieście panowała wtedy atmosfera! Co tydzień chodziłam na odczyty poetów ze szkoły nowojorskiej, każdy bezpłatny, na seanse europejskich filmów w kinach studyjnych. Wtedy były tu studyjne kina. Owszem, przy okazji miasto tonęło w śmieciach i łatwo było narazić się na kradzież; trudno było jednak znaleźć lepsze miejsce, żeby zostać pisarzem, tyle zewsząd atakowało bodźców.

Młodziutka S.H. (przez koleżanki zwana Minnesotą) pisze kryminalną powieść, bo skoro jej inicjały odsyłają do słynnego detektywa, wydaje się do tego stworzona. Powieść, co prędko dostrzeżę czytelnik „Wspomnień...”, jest jednak naiwna i kiepska. Podobnie naiwne są osobiste wyznania, którymi zapewnia notatnik – zwracając się do niego *per*, „Droga Strono!” – one jednak niosą w sobie olbrzymi ładunek emocjonalnej prawdy. S.H. opowiada o sąsiadce, która wydaje się mieć problemy psychiczne; o koleżankach, artystkach i artystach poznanych w kawiarniach; opowiada także o pewnej imprezie, powrót z której w towarzystwie młodego intelektualisty oznaczał próbę gwałtu. A potem kończy opowiadać, by wrócić do notatnika cztery dekady później.

Gdy po niego sięga, 60-letnia S.H. odczuwa wątpliwości analogiczne do tych, przed którymi postawił czytelnika Nabokov: czy w istocie czyta swoje zapiski? Po pierwsze, ta powieść: coś tak kiepskiego nie mogłoby wyjść spod jej pióra. Czy więc S.H. zaczęła się jako pisarka, jak zawsze uważała, właśnie w Nowym

Jorku lat 70., czy może dopiero wiele lat później? Po drugie, wspomnienia: nie przechowuje w pamięci lwiej części z nich, w tym tego najbardziej traumatycznego. Wyparła? Zmyśliła? Napisała i stało się to prawdą, skoro, jak twierdzi w otwarciu powieści, „gdy ja pisałam, pisało też mnie”? Ale: czyją prawdą? Może przeżyła to jako zupełnie inna osoba i dlatego nie ma dostępu do tego zdarzenia?

– Pamięć i wyobraźnia to jedno i to samo – mówi Hustvedt. – Od Freuda wiemy, że nie ma ani jednego wspomnienia, które w procesie zapamiętywania nie ulega przetworzeniu. Więc: przeżyła to, owszem. Ale przetworzyła inaczej niż przetworzyłby ktoś, kim jest teraz.

Zgadza się marzenia

W natłoku wielkich nazwisk, którymi naszpikowane są „Wspomnienia...”, jedno zwraca szczególną uwagę: Paul de Man. 1 listopada 1978 r. S.H. udaje się – zresztą w celu poderwania chłopaka, który później będzie próbował ją wykorzystać – na wykład dekonstrukcjonisty na Uniwersytecie Columbia. Belgijski filozof i krytyk jest w USA gwiazdą, studenci go uwielbiają; S.H. jednak, ku własnemu niezadowoleniu, pozostaje sceptyczna. „Jego występ brzmiał mi jak *explication de texte* – zapisuje – ale bez sformułowania jakiegos ostatecznego wniosku. Wykład był erudycyjny, wnikliwy, trudno byłoby go jednak nazwać objawieniem. Czy ze mną jest coś nie tak? Coś mi umknęło?”

Kilka lat później okazało się, że to nie z S.H. było coś nie tak, ale z de Manem, i coś umknęło nie S.H., ale wszystkim. Po śmierci krytyka wyszło bowiem na jaw, że w latach 40., gdy Belgia znajdowała się pod nazistowską okupacją, przez dwa lata pisywał antysemickie artykuły do dziennika „Le Soir”. Ponadto, wylicza S.H., „kradł pieniądze, porzucił swoje dzieci, dopuścił się bigamii i kłamał jak z nut w tych licznych sytuacjach, kiedy od zdemaskowania dzielił go włos. Krótko mówiąc, 1 listopada 1978 r. nikt ze słuchaczy nie wiedział, że Paul de Man jest psychopata”.

Tu jednak powstaje pytanie: Paul de Man czy może jednak nie Paul de Man? Co łączyło światowej sławy starzejącego się intelektualistę z Uniwersytetu Yale z 21-latkim, który podjął współpracę z antysemickim periodykiem w okupowanej Belgii? Kiedy w latach 80. sprawa wyszła na jaw, jego obrońcy twierdzili, że to nic, i że gdyby na jednej szali położyć

jego napisane w dojrzałym wieku prace, na drugiej zaś teksty z lat 40., te pierwsze ważyłyby więcej. Ba, Jacques Derrida stwierdził nawet, że ci, którzy de Mana potępiają, stają na tej samej pozycji, co hitlerowcy. Broniąc przyjaciela, posłużył się jednak niepokojącą konstrukcją myślową: ponieważ, jak twierdził, de Man nie był kolaborantem, a jego antysemickie teksty tylko „korzystały z obowiązującej retoryki”, można narysować kontinuum między nimi a późniejszymi dziełami.

– To niezwykle stare i ważne filozoficzne pytanie, które można sformułować jeszcze bardziej radykalnie: co ma wspólnego zygota z 70-latkim, który się z tej zygoty narodził? Odpowiedź – mówi Hustvedt – jest i musi być podwójna: z jednej strony można przecież narysować trajektorię ludzkiego życia, od poczęcia do śmierci. Z drugiej: wszyscy przechodzimy przez pewne etapy, które się zaczynają i, owszem, także się kończą, po nich jesteśmy nie do poznania. Gdyby ktoś ci pokazał twoje zdjęcie jako noworodka, rozpoznałbyś się? Niekoniecznie...

We „Wspomnieniach...” 60-letnia S.H., znalazłszy swój stary notatnik, nie wciela się w swoją młodszą wersję; ona ją, dla samej siebie, odzyskuje. Może to zrobić, ponieważ odczuwa, że 20-letnia S.H. jest kimś od niej radykalnie innym, kto domaga się poznania, gdyż, jako inny, jest jej jednocześnie bliski. Acz istnieją między nimi podobieństwa – podsumowuje – różnic jest jeszcze więcej: i to właśnie one, nie podobieństwa, wpływają na ich zachowania, ich rozumienie świata.

„Wspomnieniami...” Hustvedt odpowiada na pytanie o kontinuum ludzkiego życia na jeszcze jednym poziomie: swojej pisarskiej drogi. O ile wiersz piętnastoletniego Nabokova czy pierwsze dzieło fikcyjnej S.H. to faktycznie juvenilia, Hustvedt już jako laureatka Nagrody Książniczki Asturii wraca nową powieścią do pierwszej oficjalnej pozycji w swej literackiej bibliografii, wydanej prawie trzy dekady temu książki „Na oślepie”. Podobnie jak jej bohaterka Iris, S.H. mieszka niedaleko węgierskiej cukierni na Upper West Side (skądinąd wciąż istniejącej: 1030 Amsterdam Avenue); jak Iris, S.H. jest młoda, przyciąga spojrzenia mężczyzn i sama się nimi interesuje. Zgadza się epoka; zgadzają się ich marzenia.

– Jak właściwie – pytam – widzisz relację między Iris, S.H., Siri Hustvedt, która miała 37 lat i napisała „Na oślepie”, i tą, która



HORST TAPPE / GETTY IMAGES

Vladimir Nabokov. Szwajcaria, ok. 1975 r.

jest po sześćdziesiątce i pisze „Wspomnienia przyszłości”? One się uzupełniają, jedna unieważnia drugą czy na odwrót?

– Nie, istnieją obok siebie. Jeśli czegoś jestem pewna w pytaniach, które zadają „Wspomnienia...”, to tego, że każda postać jest bohaterem swoich czasów i ich efektem. Dlatego Iris z „Na oślepie” żyła w świecie złożonym z mężczyzn, a u S.H. jeśli ci ostatni się pojawiają, to jako oprawcy. Pisałam tę powieść za prezydentury Trumpa, kiedy okazało się, jak głęboko mizoginia zakorzeniona jest w strukturach amerykańskiego społeczeństwa; to także na nią wpłynęło.

Maski

To właśnie mizoginia sprawia, że i Hustvedt, i S.H. zakładają jeszcze jedną maskę, po raz kolejny komplikując odpowiedź na pytanie o to, czy ja to ktoś inny.

– Trafiłam na nią przypadkiem, bo do niedawna nie była szeroko znana – mówi Hustvedt o obiekcie fascynacji S.H. z jej nowojorskiej młodości, czyli baronowej Elsie von Freytag-Loringhoven (z domu Plötz), „zdmiewającej postaci, której nazwisko wypłynęło podczas moich lektur o dadaistach, kobiety wyszperanej w archiwach Uniwersytetu Marylandu, gdzie przez trzy dni zmuśnię przepisywałam ołówkiem jej w większości niepublikowane wiersze”.

Baronowa, urodzona w 1874 r. w Świnoujściu, zmarła w 1927 r. w Paryżu, gdzie zatruliła się gazem. Jej aktywność nie ograniczała się tylko do pisania wierszy;

pozwalała także do awangardowych fotografii i tworzyła rzeźby oraz instalacje. Ta najsłynniejsza, „Fontanna” – czyli zatytułowany w ten sposób porcelanowy pisuar – podpisana jest jednak w nowojorskim Museum of Modern Art innym nazwiskiem: Marcela Duchampa.

– Oczywiście: na temat tego, czy faktycznie autorką „Fontanny” jest baronowa, trwają spory – zaznacza Hustvedt. – Jednak samo zjawisko: kobiety ukrywającej się za nazwiskiem i osobowością mężczyzny, by pokazać swoje dzieło, jest symptomatyczne i dla tamtej epoki, i dla lat 70., w których S.H. musi wciąż udowadniać, że jest warta tyle, co jej koledzy.

Jeżeli daniem S.H. adresu Iris (i niegdyś swojego) Hustvedt wracała do debiutanczkiego „Na oślepie”, to podjęciem tematu chowania się za męskimi maskami – do wydanego w 2017 r. „Świata w płomieniach”, jej dotychczas bodaj największego komercyjnego sukcesu. Bohaterka tej powieści, nowojorska artystka Harriet Burden, po latach bycia niedocenianą – co wynikało, była przekonana, z jej płci – zrekrutowała trzech mężczyzn, by przedstawili jej prace jako swoje. Efekt? Natychmiastowy sukces, który jeden z wynajętych mężczyzn pragnął przypisać samemu sobie – i wielu odbiorców stanęło za nim.

W powieści tej Hustvedt cytuje zdanie z Oscara Wilde’a: że człowiek najmniej jest sobą wtedy, kiedy mówi w pierwszej osobie, a najbardziej wówczas, gdy zakłada maskę.



→ – We „Wspomnieniach...” moją maską jest oczywiście S.H.; zapewne gdybym miała opisać tamten okres w autobiografii, nie pozwoliłabym sobie na taką emocjonalną szczerość, przy jednoczesnej fikcjonalizacji zdarzeń – mówi Hustvedt. – Byłoby odwrotnie: użyłabym prawdziwych zdarzeń, ale zaproponowała całym fikcyjne emocje, wymyślone po latach. Byłaby to więc o tyle powieść, o ile „Wspomnienia...” są autobiografią.

Nabokov po ogłoszeniu w latach 60. „Pamięci, przemów” – autobiografii oficjalnej, gdzie wrócił do chwili, w której napisał swój pierwszy wiersz – przypisał sobie podobno, że więcej nie będzie opisywał swojego życia. Zmienił wszakże zdanie, kiedy półtorej dekady później ukazała się jego biografia autorstwa Andrew Fielda. Wściekły na to, co biograf z jego życiem uczynił – „stworzył postać o imieniu i nazwisku Vladimir Nabokov, postać, której sam Nabokov nie rozpoznawał” (streszcza inny biograf) – napisał „Patrz na te arlekiny!” (1974), autobiografię fikcyjnego amerykańskiego pisarza rosyjskiego pochodzenia Vadima Vadimovicha N., autora m.in. powieści „Tamara” (czyli „Maszeńka”) i „Rzeź w słońcu” („Śmiech w ciemności”).

Jak opowiedział w niej o chwili, w której zapisał swój pierwszy wiersz? Nijak. Ukryty w Vadimie Vadimovichu, Nabokov zjawiał się na świecie jako pisarz, który nie potrzebował rozbiegu, i w młodości był tą samą osobą, jaką stał się na starość – może tylko nieco bardziej naiwną. Fikcyjne postaci nie mają juveniliów.

© WOJCIECH ENGELKING

Fragment z „Pamięci, przemów” Vladimira Nabokova cytuję w przekładzie Anny Kołyszko.

Polecamy również wywiad z Siri Hustvedt pt. „O nabieraniu siły”, który Grzegorz Jankowicz przeprowadził w ramach cyklu „Natura przyszłości”, czyli całorocznej odłony Festiwalu Conrada: do obejrzenia na powszech.net/siri



Siri Hustvedt
**WSPOMNIENIA
PRZYSZŁOŚCI**
przeł. Jerzy Kozłowski,
W.A.B., Warszawa 2021



Agathe Rousselle jako Alexia/Adrien w filmie „Titane”

W przebraniu syna

ANITA PIOTROWSKA

W „Titane” francuska reżyserka funduje nam ostrą jazdę nie w imię taniego szoku, ale by powieźć nas w zupełnie niespodziewanych kierunkach, do miejsc tylko z pozoru najmniej bezpiecznych.

JEJ FILMY POZORNIE GRZEBIĄ SIĘ W LUDZKIEJ mięsności – tak zresztą „Mięso” po prostu, nazwała swój debiut w 2016 r. Był on krwistym horrorem o dojrzwaniu, w którym nastoletnia wegetarianka, zmuszona do zjedzenia kawałka surowego królika, przeistaczała się w żarłoczną kanibalę. Ale już wówczas szokująca fizjologia i gatunkowy sztafaż przykrywały coś więcej niż tkanki czy hormony. W nagrodzonym niedawno Złotą Palmą „Titane” Julia Ducournau opowiada wprost o cielesnych transgresjach i to w nich szuka odpowiedzi na najbardziej pierwotne, a w dobie transhumanizmu na nowo stawiane pytania, co w nas tak naprawdę ludzkie.

Trzeba zaznaczyć wyraźnie: to film dla ludzi o mocnych trzewiach, najlepiej z poczuciem humoru czarnym i tłustym niczym smar silnikowy. Skapuje on z ekranu już od pierwszej sceny, kiedy mała Alexia jadąc z ojcem autem powoduje ciężki wypadek. Po tym, jak zostanie wszczepiona do jej mózgu tytanowa płytką, z małej samochodziarki wyrasta wyuzdana tancerka samocho-

dowego *show*, w środku zaś gniewna i niebezpieczna kobieta-hybrida, która jedynie w obcowaniu z czterokołową maszyną znajduje seksualną rozkosz. Za to napotkanych na swej drodze mężczyzn i kobiety zabija bez specjalnego powodu, z wdziękiem biseksualnej modliszki. A kiedy zajdzie w hybrydową ciążę, smolisty olej samochodowy będzie wypływał obficie również z niej samej, zamiast krwi czy mleka.

Tak oto Ducournau, z udziałem wy czynowego aktorstwa Agathe Rousselle, obdarzonej androgyniczną urodą, tworzy postać odpychającą i zarazem fascynującą. Jej naznaczone innością ciało, zawsze samotne pośród innych ciał, coraz bardziej jest przez nią „przekraczane”: samookaleczane i deformowane, maskowane i przebierane. Chcąc uniknąć sprawiedliwości za swoje zbrodnie, Alexia zaczyna ukrywać swą tożsamość, płęć, coraz większy brzuch. W końcu dokonuje transformacji totalnej – podszycia się pod zaginionego przed laty chłopca i zamieszkuje z jego ojcem. Gdzie? W kipiącej testosteronem bazie strażackiej. Tym sposobem

Alexia staje się Adrienem, a to dopiero pierwsza połowa filmu.

I tutaj wypada się zatrzymać, nie tylko ze względu na spoilery. Bo literalne streszczenie „Titane” za bardzo przypomina queerowe porno albo mokry sen ministra tropiącego „sztukę zdegenerowaną”. Tymczasem francuska reżyserka funduje nam tę ostrą jazdę nie w imię taniego szoku, ale by powieźć nas w zupełnie niespodziewanych kierunkach, do miejsc tylko z pozoru najmniej bezpiecznych. Początkowo można odnieść wrażenie, iż tworzy kolejny horror o fetyszyzowaniu motoryzacji typu „Christine” (1983) Johna Carpentera czy kolejną erotyczno-samochodową fantazję rodem z „Crashu” (1996) Davida Cronenberga, podszytą „żuławską” frenezją. I rzeczywiście, pulsująca pod maską auta hydraulika ma w sobie coś pornograficznego, a pokazany w „Titane” akt seksualny z maszyną uznałoby się za prefigurację seksu przyszłości, gdyby właśnie nie dokonywała się na naszych oczach. Jednak najbardziej frapująca jest postapokaliptyczna aura filmu.

To świat, w którym zgasło słońce. Niemal cała akcja rozgrywa się nocną porą, pośród niewielu słów, w rytm transowej muzyki, stąd posthumanistyczna baśń dla dorosłych brzmi chwilami jak nokturn *science fiction*. Nie przypadkiem dra pieżna Alexia ma wytatuowane pod pier siami słowa „miłość to pies z piekła ro dem” – rozświetlone wyłącznie sztucznym światłem miasto spowija infernalna czerwień. To także świat posttraumatyczny, po brzegi wypełniony żałobą. Szprycujący się sterydami kapitan brygady ratowniczej (w tej roli charyzmatyczny Vincent Lindon), który stracił synka, projektuje swoje ojcowskie nadzieje na Alexię (już jako Adriena). Ona zaś w jego wystyglým domostwie, w otoczeniu pożarów, rodzinnych kryzysów i podejrzliwych męskich spojrzeń odnajduje kuriozalne schronienie po ucieczce ze stylowego apartamentu jej rodziców. Wszystko to kojarzyłoby się z przekreślonym w chorej wyobraźni filmem braci Dardenne, gdyby Ducournau nie poszła jeszcze dalej w noc, nie zanurzyła się jeszcze głębiej w ludzko-maszy nowe bebechy. Aż do znalezienia w tych czeluściach rozbłysku światła.

Inna rodzina jest możliwa – zdaje się mówić trzydziestoosmioletnia reżyserka i będzie to dla wielu widzów, szczególnie w Polsce, najbardziej transgresyjny przekaz tego filmu. Zwłaszcza że finał

przy dźwiękach „*Kommt, ihr Töchter, helft mir klage*” („Chodźcie, córki, pomóż mi oplakiwać”) z Bachowskiej „Pasji według św. Mateusza” nadaje filmowi zgoła religijny, by nie rzec: pasyjny wymiar. Dla niektórych katartyczny, dla innych zapewne bluźnierczy. Co więcej, ucieczka w inną tożsamość płciową oraz cały związany z tym swoisty akt odkupienia tu staje się udziałem seryjnej morderczyni, która nie staje pod moralnym pręgierzem. Bo Ducournau stara się, żeby jej surrealny film był daleki od dosłowności i żeby rozplątywał się w ambiwalencji, prowokując do przewartościowywania sądów. W historii Alexii interesują ją losy ziemskiej kosmitki, odmienca transformującego na naszych oczach w coraz to nowe formy, chociaż w przeciwieństwie do anielskiego Orlanda z powieści Virginii Woolf i filmu Sally Potter nie próbuje pod żadną z tych postaci nas uwodzić.

Można zatem przypuszczać, że reżyserka eksperymentuje na swoim widzu co do możliwości jego własnych przekroczeń. Jak daleko jesteśmy w stanie podążyć za tak zmiennokształtną, niepochwytą, wręcz psychopatyczną bohaterką? Kiedy jednak w najbardziej nieprawdopodobnych okolicznościach słyszymy: „nieważne, kim jesteś, zawsze będziesz moim synem”, wszelkie maski opadają, a role stają się ciałem. W czasach zapośredniczonej bliskości ten film, zbudowany – niczym ze złuszczaających się warstw naskórka – z samych zapośredniczeń, pisany głównie językiem przemocy, niespodziewanie zamienia się w manifest bliskości. I zarazem w manifest kina jako maszyny empatii, pozwalającej na własnej skórze wczuć się w kogoś, kto wydaje się pochodzić z bardzo odległej galaktyki.

„Titane” to również głos kobiety, która dopiero jako druga w historii (po Jane Campion za „Fortepian” w 1993 r.) opuściła festiwal w Cannes z jego głównym trofeum. W wywiadach Ducournau potwierdza, iż tworzone przez nią cieleśne horrory są mocno naznaczone kobiecym spojrzeniem. Grozy szukają pośród mięsnych włókien, bionicznych implantów czy genderowych wcieleń i jednocześnie potrafią wydobyć spomiędzy nich coś prawdziwie wzruszającego. Choć zazwyczaj zrodzonego w okrutnych bólach. ©

TITANE – reż. Julia Ducournau. Prod. Francja 2021. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 14 stycznia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Aida



Dramat,
reż. Jasmina Žbanić,
Bośnia i Hercegowina/
Polska i inne 2020,
nowehoryzonty.vod
Najlepszy europejski

film roku patrzy na historię tak, jakby wydarzyła się zaledwie wczoraj i tuż obok. Masakra boszniackich mężczyzn i chłopców w Srebrenicy z perspektywy lokalnej tłumaczki ONZ, prywatnie żony i matki, nabiera cech szczegółowego reportażu i zarazem greckiej tragedii, których tematem jest bratobójcza wojna oraz jej pokłosie.

2. DocFilmMusic



Przegląd, playkrakow,
do 2 II
Oto najciekawsze
dokumenty muzyczne
Krakowskiego Festiwalu
Filmowego. Wśród nich

„Ryuichi Sakamoto: Coda” Stephen Nomura Schible’a, „Była sobie Aurora” Stiana Servossa i Benjamina Langelanda, „Męski klub” Pettera Sommera i Jo Vemuda Svendsena, „Saul&Ruby. Kapela Ocalałych” Toda Lendinga oraz „Ucho wewnętrzne” Magdaleny Gubały i Szymona Uliasa (o Mikołaju Trzascie).

3. Shiva Baby



Komedia,
reż. Emma Seligman,
USA/Kanada 2020,
HBO GO
Rodzinno-towarzyskie
spotkanie podczas

żydowskiego tygodnia żałoby staje się sceną tragikomicznych wpadek, upokorzeń i *qui pro quo*. Ich główną bohaterką jest pechowa studentka, której życie intymne dalece odbiega od wzorów narzucanych jej przez tradycję. Debiut 26-letniej Kanadyjki to przykład amerykańskiego kina niezależnego w swojej modelowej postaci.

4. Voir: Potęga kina



Serial dokumentalny,
reż. Keith Clark i inni,
USA 2021, Netflix
Wideoesej jest coraz
bardziej popularną
formą uprawiania

krytyki filmowej czy odkrywania historii kina. W sześciu (na razie) odcinkach poznajemy ogólne mechanizmy i prywatne obsesje tworzące fenomen X muzy. Dowiadujemy się np., w jaki sposób „sensacyjny” Waltera Hilla „48 godzin” z 1982 r. wyprzedził swoją epokę w dyskusji na tematy rasowe.

JAN

Klata: Poniewczasie



POD CHOINKĘ ZAFUNDOWAŁEM SOBIE DETOKS cyfrowy, żeby nie dać się zwariować zero-jedynkowym komunikatom z sieci, nie reagować na bodźcowanie buziaczkiem albo wrz, cukierkiem lub psikuskiem. Z pewnością dużo minęło mimo,

dużo niezbędnie fundamentalnych życiowo prawd w nader przystępnej formie, ale biorę to frontalnie, na pancerz cyfrowej abnegacji, w imię cichych nocy, cichych dni pod drzewkiem we włosach anielskich.

Ale, ale – każde wakacje pod drzewem z gwiazdą kiedyś dobiegają końca... i wtedy tama puszcza. Co mnie najbardziej uderzyło? Pal sześć aferę podsłuchowego konia ze skrzydłami, Putina u bram, zaprawdę nowy ład, omikrony i inne zagrożenia... nic nie zrobiło na mnie tak piorunującego wra-

żenia jak nowe wykorzystanie liczby 44. Dowiedziałem się mianowicie z prasy psychologiczno-popularnonaukowej, że według badań amerykańskich naukowców Boże Narodzenie jest jedną z 44 najbardziej nerwowych sytuacji w naszym życiu. Szok i niedowierzenie, Market Garden! Informacja zawarta była w mocnym, elokwentnym wywiadzie z psycholożką, która poskapiła szczegółów, co oczywiście pobudziło moją wyobraźnię. Jedna z 44? Hmm, od razu postawię wielce nurtujące pytanie: jakie są pozostałe sytuacje na liście? Sylwester w Zakopanem? Opłatek z Terleckim? Konkurs Eurowizja Junior? Dentysta? Konklawe? Wizyta w sklepie mięsnym w San Francisco? Trzepanie dywanu? Awaria solarium? Sektor rodzinny Legii? Intensywny kurs języka litewskiego? Oczywiście, każdy ma swoje czterdzieści i cztery – i nie wiem, czy amerykańscy naukowcy je zsumowali, czy podzielili, jedno jest pewne: Boże Narodzenie jest na czarnej liście, dla wszystkich osób ludzkich na męczeńskiej planecie Ziemia.

Gdybym był uzyskał ową wiedzę zawczasu, podjąłbym decyzję o Bożego Narodzenia na swój użytek odwołaniu, dla świętego spokoju. Po co się stresować? W szczęśliwie wygospodarowanym czasie czytałbym podczas aromatycznej kąpieli obcasowy tygodniowy dodatek parapsychologiczny do prasy codziennej. Niech żyją wolne media! ©

Lektor: Żółta księga



■ Marcin Świetlicki
WYBÓR
Wydawnictwo Wolno,
Lusowo 2021,
ss. 462.

WYBÓR I UKŁAD AUTOR-
ski, więc zacytujmy
autora: „Dlaczego
tak dużo, aż czterysta
czterdzieści cztery?
Są to wiersze pisane przez
ponad czterdzieści lat.
Dlaczego tak mało? Napi-
sało się przypuszczalnie
około tysiąca, coś trzeba
było odrzucić. No niestety
– nie wszystkie mnie za-
chwycają, niektórych się
sam przed sobą wstydę,
niektóre drażnią, niektóre
tak bardzo się zużyły,
że nie ma sensu ich przy-
pominać. Powiedzmy,
że chciałbym, żeby akurat
te wiersze użyte w tej

książce po mnie zostały”.
Zabrzmią poważnie?
Raz tylko obchodzi się
sześćdziesiąte urodziny.
W dodatku Marcin
Świetlicki urodził się
w Wigilię, jak Mickie-
wicz. Czterdzieści i cztery?
Czy może raczej Upiór?
Na pewno jeden z naj-
ważniejszych polskich
poetów epoki, która
właśnie się kończy i nie
wiemy, co nas po niej
czeka. Wiemy za to
(ja przynajmniej jestem
przekonany), że te wiersze
zostaną. Bo są mocne
i żywe, bo w zaskakujący
sposób odbijają swój

czas, bo wprowadziły do
polszczyzny nowe rejestry
– czy którykolwiek z auto-
rów współczesnych może
się poszczycić taką liczbą
zwrotów, które weszły do
języka potocznego?
Jest to w dodatku Świe-
tlicki na powrót scalony
z dwóch swoich publicz-
nych osobowości: poety
oraz autora tekstów i wo-
kalisty zespołu Świetliki
(i paru innych). Chronolo-
gicznie uporządkowany,
co sprawia, że czyta się go
nieco inaczej. Świetlicki
bez ilustracji – a dwie
jego książki wydane
wcześniej w tym samym
wydawnictwie były, jak
dawniej się pisało, „bogato
ilustrowane”: świetnymi
kolażami Alicji Białej
(„Polska [wiązanka
pieśni patriotycznych]”)
oraz równie świetnymi
rysunkami Marcina
Maciejowskiego („Ale o co
ci chodzi”). A więc Świe-
tlicki bardzo serio i trochę
jakby kanoniczny.

Czego tu nie ma?
Na przykład słynnego
wiersza „Do Jana
Polkowskiego” i pierwszej
„Polski”, zamykającej
„Zimne kraje” (tego
akurat mi żal), czy
dyptyku o Gowinie
(„Gowin sam w domu”
i „Gowin sam w Nowym
Jorku” – też trochę żal).
Nie wszystkie zresztą
kawałki z odniesieniami
personalnymi zniknęły
– jest i „Trrr”, o telefonie
Miłosza do redakcji
„Tygodnika”, i „Wiersz
dla Zbigniewa Herberta
(dedykowany Wisławie
Szymborskiej)”, gdzie
pojawia się też Adam
Michnik, i „Grzmoty!”
(tytuł genialny!).
Najważniejsze jednak,
że mamy poetę. I choć
– jak zastrzegł w ostat-
nich wersach „Polski”
– nikomu nie pozwoli się
zawłaszczyć, to przecież
w jego osobnym głosie
wolno nam szukać także
i naszych emocji. ©

PAWEŁ

Bravo:

Na wafelki



DWIEŚCIE MILIONÓW DOLARÓW ZAMIERZA zainwestować Tajwan na Litwie, niejako w podziękę za to, że ze wszystkich krajów wolnej Europy to ona zbliżyła się najbardziej do uznania oczywistego faktu: Tajwan to suwerenne państwo, z którym na-

leży mieć właściwe relacje dyplomatyczne, a nie jakaś krnąbrna chińska prowincja, z którą utrzymuje się stosunki pokątne, zapewniając potem, że „ja tylko tę panią pytałem o godzinę”. Chinom się to, rzecz jasna, nie spodobało, ogłosiły bojkot produktów naszego sąsiada oraz towarów wytwarzanych gdziekolwiek indziej z udziałem części powstałych na Litwie. Wspólnota europejska drapie się na razie w głowę, jak by tu okazać coś na kształt skutecznego rewanzu, ale tak, żeby w żadnym razie nie popsuć nikomu biznesu. Współczuję jej (czyli nam), trudno się zebrać do działania pod presją, a tu ma ona jeszcze do strawienia gorszy pasztet z szantażem Rosji na granicy ukraińskiej.

Patrzac tak czysto po kupiecku, zachowanie Litwinów okazuje się całkiem sensowne i *per saldo* gest może się nieźle opłacić. Dwieście milionów obiecanie przez Tajwan to nie jest wielka kwota. Na waciki. Choć w tym kontekście raczej trzeba powiedzieć: na wafelki. Ścisłej, na wafle krzemowe, będące podstawą produkcji półprzewodników. W której to dziedzinie Tajwan sam liczy się tyle, ile cała reszta świata razem wzięta. Przy czym zazdrośnie strzeże swoich technologii i nie przenosi ich byle gdzie (zwłaszcza jeśli chodzi o Europę). Dlatego ta nawet niewielka kwota zyskuje ogromny ciężar, jeśli w ślad za nią Wilno stanie się choć niewielkim przyczółkiem wafelkowego imperium. Jego długie macki sięgają wprost do waszej lodówki, płyty indukcyjnej, inteligentnego piekarnika i jeszcze inteligentniejszego robota podłączonego do internetu. Jeśli macie dziś problem z wymianą go na jeszcze nowszy model, samoczynnie lepiący pierogi i zawijający gołąbki, to dzieje się tak właśnie przez ogólnoświatowe zatory w dostawach mikroczipów z Azji.

Umysł ludzki, skłonny oswojać cielesnymi skojarzeniami nowe, niezrozumiałe elementy, nazwał kiedyś klocki stanowiące budulec każdego mózgu elektronicznego „kośćmi”. Stało się tak zapewne przez skojarzenie ich kształtu z kostką do gry, ale dziś ta anatomiczna metafora okazuje się mieć jeszcze głębsze odniesienia. Kryzys w łańcuchach dostaw półprzewodników, czyli niedo-

bór kości krzemowych, sprawia, jakby z naszej kultury materialnej ktoś usuwał kolejne fragmenty szkieletu. Ciało naszej codzienności osuwa się w bezwład i bezkształt. Jaja, mąka, cukier, drożdże tudzież marchew, cebula, seler, łopatką leżą smętnie na blacie, każda rzecz osobno, na próżno czekając, aż jakaś siła sprawcza zjednoczy je i podda procesom stwórczym, z których powstanie strawa. Miliony przepisów i receptur zawieszonych w chmurze, zgodnie z trendem outsourcingu naszej pamięci i doświadczeń, też tracą zdolność poruszania rzeczywistością. Polecenie typu „nastaw obroty na siedem pulsacyjnie przez piętnaście sekund” traci sens, jeśli brakuje maszyny, której można zadać jakiegokolwiek obroty, puls czy tempo.

Zagnieść lepkie, błotniste ciasto ręką, a potem pilnować, by pod ściereczką miało ciepło i rośło bez przeciągów. Mieszać konfiturę drewnianą łyżką, aż drętewięją nadgarstki, a znużony umysł zaczyna sobie przypominać wzory na ruch przyspieszony po okręgu. Przetrzeć mus przez sito, wkurzając się, że połowa i tak zostaje między oczkami. Obracć skrobaczką wór kartofli, zbyt niekształtnych, żeby dało się nadać palcom sensowny algorytm ruchów. Odszypulkować nożykiem jabłka, siekać marchew na równiutką zapałkę, ogórki na wióry, a cebulę na piórka. To wszystko jest w zasięgu pary rąk każdego (z wyjątkiem bezręcznych, jak śpiewał Brassens), dziesięciorga zwinnych palców, które można odziać w nitylową rękawiczkę, jeśli boicie się płam i spierzchniętej skóry. Znowu popadam w naiwny sentymentalizm, powiadacie, dobry dla ludzi traktujących gotowanie jako weekendową rozrywkę, a nie codzienne żmudne zadanie. Nie mam na to celnej odpowiedzi, ale jak czytam o tym, ilu naprawdę ważnych, trudnych do zastąpienia maszyn nie daje się dziś sprawnie dostarczyć z powodu braku nieszczęsnych krzemowych wafelków, to robi mi się głupio, że część z nich idzie na miksery z pikającym wyświetlaczem. © P

W pierwszych dniach roku, sprząając zakamarki kuchni z ostatnich śladów świątecznego czasu, znalazłem zapomnianą garść suszonych fig. Udało mi się dzięki nim podkreślić pieczoną brukselkę, którą kocham przez całą zimę, ale każda wszak miłość zaczyna szukać atrakcji. Kroimy sześć suszonych fig na drobne kawałki, przekładamy na godzinę do miseczki z wodą. Pół kilo brukselki czyszcimy z nadpsutych listków, solimy, posypujemy wędzoną papryką, polewamy obficie oliwą, dodajemy namoczone figi, dwa obrane ząbki czosnku i pieczemy ok. pół godziny

w 180 stopniach (jeśli brukselka jest większa niż 1 cm, to przed pieczeniem kroimy ją na połówki), dolewając na dno brytfanki wodę z moczenia. Po wystudzeniu dodajemy garstkę ciemnych winogron pokrojonych na pół i posypujemy siekanymi migdałami. Można podawać lekko podgrzane, w ten sposób mocniej wydobędziemy słodkie smaki na pierwszy plan.



KOŃSKIE ZDROWIE

AGATA BRACHOWICZ:

Kiedy konie spędzasz do stajni
w burzę, mają cię... gdzieś.

Ty je ratujesz, bo myślisz,
że piorun w nie trafi, a one robią
sobie właśnie prysznic.



KATARZYNA KUBISIOWSKA: Z końmi też się podzieliłaś opłatkiem?

AGATA BRACHOWICZ: Z każdym z szesnastu. To członkowie rodziny. A dzielenie się opłatkiem to przecież akt pojednania i przebaczenia błędów – ich i moich.

Błędów koni?

Konie psocą jak dzieci. Kiedy wyczują słabszego jeźdźcę, potrafią być cwane, trudne do opanowania przez niedoświadczoną osobę, dokuczliwe. Czasem też uciekają z pastwiska w poszukiwaniu lepszej trawki, uruchamiając zastępy radio-wozów i strażaków.

Jak wybierasz konie?

Nie patrząc na paszport – na rodowód, na rasę, czy ma dziadków, pradziadków do piątego pokolenia, czy to haflinger, czy tinker. W moim ośrodku rzadko zdarzają się arystokraci, bo to drogie konie. Ważne jest, by koń lubił ludzi. A niektóre są przez ludzi krzywdzone i potem się ich boją. Koń, który był źle traktowany, broni się, chowa głowę i tuli uszy, odwraca się zadem lub ucieka, ponieważ jest przerażony tym, co go może czekać.

Co się wtedy robi?

Przede wszystkim nie wolno go zaskoczyć, najlepiej zwrócić się do niego po imieniu lub po prostu coś powiedzieć łagodnym tonem, by wiedział, że się do niego zbliżasz. Należy dać koniowi trochę czasu – musi przyzwyczaić się do nowego miejsca i zobaczyć, że nic złego się nie dzieje.

Sama zmieniasz im podkowy?

To robi kowal. Ale stan kopyt sprawdzam codziennie. Gdy wbije się w nie kamyk czy szkło, może zrobić krzywdę. Koń kuleje najczęściej dlatego, że nieokutego popędzi się po asfalcie lub – najgorzej – po kamienistej drodze. Ludzie niekiedy całymi latami nic nie robią z końskimi kopytami, ale w naszej stajni kowal jest co półtora miesiąca.

Higiena?

Wolontariusze śmieją się, że jak kupię kolejnego jasnego konia, to oni odejdą. Najgorzej jest z białymi, na których najbardziej widać brud. Jeśli jest zimno, to nie wolno ich myć, bo zawieje wiaterek i zaziębienie gotowe – katar, kaszel, temperatura. Koń brudzi się błyskawicznie – uwielbia tarzać się w błocie, najlepiej glince. Znajdzie kałużę, to się w niej wytapla. Im brudniejszy koń, tym szczęśliwszy. Latem robi sobie z zaschniętego błota panierkę, by go muchy nie gryzły, a zimą, gdy swędzi go sierść, rzuca się na ziemię, by się podrapać, potrafi to nawet zrobić pod siodłem. Potem, gdy go myjesz, on w końcu jest czysty, za to ty – brudna i zasmrodzona. I tak w kółko.

Czego jeszcze do szczęścia potrzebuje koń?

AGATA BRACHOWICZ prowadzi od 11 lat wraz z mężem Erwinem Ośrodek Jazdy Konnej i Hipoterapii „Hipoland” w Zbludowicach koło Buska-Zdroju.

Na zdjęciu: Agata i dwa fryzy: Dawdas i Franczeska (11 lat), styczeń 2022 r.

Stałego dostępu do wody. I podściółki – śpi na słomie, którą częściowo zjada. Potrzebny jest też dobry weterynarz, który postawi szybką diagnozę i wie, jak leczyć w razie choroby. Odrobaczenie – dwa razy w roku. Przy pierwszym w stajni wszystko frukało pod sufit. Strzykawką trzeba głęboko sięgnąć w koński pysk... I powtórka po dwóch tygodniach. Kiedyś do odrobaczania potrzebne były trzy osoby, teraz robię to sama, bo konie wiedzą, co je czeka.

Przyzwyczyły się?

Koniom poczucie bezpieczeństwa dają rytuały, ustalony porządek. Mój teść dzień w dzień o szóstej rano serwuje koniom siano na śniadanie, ja o dziewiątej sypię owies i wypuszczam je na pastwisko. Konie pamiętają, kto i o której godzinie przychodzi. Jeśli zmienia się kolejność, to wiedzą, że coś jest nie tak – albo szykuje się odrobaczanie, albo któryś z koni opuszcza stajnię. Najlepiej, by ludzie nie spacerowali, kiedy koniom daje się jeść. Rozpraszają się, owies wysypują. Ktoś mi powiedział, że koń go ugryzł, bo wszedł, gdy właśnie była pora karmienia.

Jak z psem: nie wkłada się ręki do miski?

Konie między sobą rywalizują o jedzenie. Gdy Selenie, jednej z moich klaczy, sypię owies i tylko na sekundę stracimy kontakt wzrokowy, to słyszę strzał kopytem: dostała jedzenie i musi kopnąć w ścianę, by pokazać wszystkim obok, że to jest miska dla niej.

Sprytna.

Koń ma mały żołądek, nie może się najeść na zapas. Żeby był zdrowy, ma jeść regularnie trzy razy dziennie. Idealnie by było, gdyby konie mogły przebywać cały rok na pastwiskach. Z owsem nie można przedobryć.

Działa energetycznie?

Jak go koń zje za dużo, to rozpięta go energia, może być nieobliczalny – brykać i w rezultacie zrzucić jeźdźcę. A koń z dzieckiem na grzbiecie musi iść powoli, właściwie to człapać.

Konie się uśmiechają?

Parskają, kiedy są szczęśliwe, zrelaksowane. Podnoszą chrapy, kiedy wyczuwają nowe zapachy. Natomiast rżenie to koński język – próba łapania kontaktu. Gdy część koni wypuszcza ze stajni, a część w niej zostanie – nawołują się rżeniem.

Koń najbliższy Twojemu sercu?

Platek. On już stał w punkcie rzeźnym, czekała go śmierć. Wykupiłam go według wagi. Samochód, którym przyjechałam, miał wysoką rampę, obawiałam się, że tam nie wskoczy. A Platek... Jezu, jak on chciał stamtąd uciekać – jak żaba wskoczył na rampę.

Platek od początku był dziwny. Przez dziesięć minut nie mogłam na niego wsiąść, kręcił się w kółko, cofał, odmawiał współpracy. Gdy zaprzęgliśmy go przy pomocy kilku osób do bryczki, rozwalili ją w drobny mak – siedzenia frukały po drodze i kilku wsiach, a z wozu została „armata” – dwa koła i dyszel.

Oswajałam go małymi krokami. W poniedziałek dał mi do wyczyszczenia dwie nogi, we wtorek trzy, ale w środę już sobie wymyślił, że nie da żadnej.

→

I?

Kopał w ścianę, w powietrze, nieraz mi się kolanem dostało... I czasem sobie oddawaliśmy, ja jemu, on mnie. Ech, jest powiedzenie, by nie kopać się z koniem...

Ludzie stają z dala od konia, obchodząc go dookoła, i sądzą, że w ten sposób zachowują bezpieczeństwo. A to działa odwrotnie – zwiększa się szansa, że strzeli cię kopytem. Stojąc tuż przy tułowiu, co najwyżej oberwiesz udem.

No a Płatek?

Kombinator – teraz ma 21 lat, a od dziesięciu lat miga się od roboty, jak tylko może. Dba o to, by się nie przemęczyć. Jednocześnie budzi zaufanie – nawet będąc w początkowej ciąży, jeździłam na nim, bo był stabilny, twardo stał po ziemi, jakby czuł, że ma odpowiedzialne zadanie.

Raz popełniłam błąd. Płatek nabroił do tego stopnia, że powiedziałam: „Koniec, sprzedaję cię, tylu ludzi pozrzuciłaś, tracę klientów”. Przyjechał kupiec, podchodzi do Płatka, a ten głowę odwraca, nie patrzy na niego. Na całe szczęście facet nie miał przy sobie całej kasy, w ratach chciał płacić. Ja na to: „Jeszcze się zastanowię, do widzenia”. Potem czułam się winna, że chciałam Płatka sprzedać. Tym bardziej że ma tu żonę – Vanessę. Kochają się. Gdy Vanessa umrze, Płatek też pewnie szybko odejdzie.

Widziałam ich na wybiegu – nie odstępują się na krok.

Kiedy go przywiozłam z punktu rzeźnego i wyprowadziłam z samochodu, zauważyłam, że cały się trzęsie, a oczy robią mu się wielkie... Na łące było pięć koni, a on dostrzegł tylko ją. Jakby czas im się zatrzymał – Vanessa na niego, on na Vanessę, dwa rasowe haflingery natychmiast się rozpoznały. Płatek zrobił głęboki wdech, znieruchomiał, stał jak zahipnotyzowany.

Miłość od pierwszego wejrzenia?

Vanessa jest starsza od Płatka o sześć lat. Najgrzeczniejszy koń, jakiego miałam – nigdy żadnego numeru nie wycięła, po prostu święta. Idealna do hipoterapii.

Vanessa z Płatkiem od dekady tworzą stały związek. I to on jest bardziej za nią niż ona za nim. Kiedy Płatka wyprowadzam na padok, to Vanessa stoi spokojnie. Ale jeśli ją wyprowadzam na jazdę i on zostanie w stajni, to nos ma przyklejony do szyby, nie spuszcza jej z oczu, cały czas rży. Kiedyś Vanessa pojechała na rajd, nocowała w innej stajni. Płatek wtedy nic nie jadł, chociaż jest łakomczuchem, i tak stał z nosem przy szybie...

Jeszcze inna para?

Montana i Aramis – nietypowa para. Bo Płatek i Vanessa przynajmniej wyglądem pasują. A w tym przypadku kłacz jest szlachetna, szczupła, dwa razy wyższa, on – mały grubasek. To też haflinger, więc powinien kolegować się raczej z Vanessą i Płatkiem. A on właśnie wybrał Montanę.

Gdy wracam z Aramisem z przedszkola, gdzie robimy oprowadzanki na koniach dla dzieci, to Montana pasąca się na łące widzi i czuje go już z daleka, rży i nawołuje. On ma krótsze nóżki i jej nie dogania. Ona biega po łąkach jak szalona, a on pędzi za nią. Montana i Aramis, identycznie jak Vanessa i Płatek, mogą razem stać w boksie. Inne konie trzeba rozdzielać, by się nie kłóciły... Jest na przykład koń przewodnik, nazywam go szefem. Na początku dnia staje w wąskim przepędzie, którym konie

wychodzą na padok, i musi komuś dokuczyć. Czeka na konia słabszego, którego albo ugryzie, albo kopnie, lub przynajmniej zmierzy złowrogim spojrzeniem. Pokazuje: ja tu rządzę.

Dobry moment, żeby zapytać o hipoterapię?

Każdy jest dobry... Niedaleko mojego rodzinnego domu była stajnia z szyldem: „Ośrodek Rancho – hipoterapia dla dzieci”. Prowadziło ją małżeństwo – Renata i Robert. „Mamo, ja bym chciała zobaczyć te konie” – prosiłam. Miałam 12 lat. Zaczęłam jeździć, na początku mi nie wychodziło, asekurowałam się.

Ze strachu?

Z rezerwy. Nie wobec koni, bo je kocham, ale do prędkości i do skoków – nie byłam typowym sportowcem. Aż pewnego dnia poproszono mnie: „Agata, jeźdź do sąsiedniej miejscowości na Eldorado, coś trzeba tam sprawdzić”. Eldorado to był koń, którego wcześniej dostawałam na jazdę i z którym zupełnie sobie nie radziłam, do ran miałam pozdzierane dłonie. I właśnie na Eldorado wyjechałam pierwszy raz poza ogrodzenie stajni. Galopuję, grzywa smaga mi twarz, czuję moc i siłę tego wspaniałego zwierzęcia i pierwszy raz w życiu taką dziką wolność. W punkcie, do którego dojechałam, stała waga do ważenia samochodów i przyczep. Wchodzę, zostawiam Eldorado, ludzie go szarpia, bardzo mi się to nie podoba. Wróciłam z koniem do stajni i zapytałam jego właściciela: „O co chodziło?”. A on na to, że chcieli go zważyć, by wiedzieć, ile za niego dostaną – miał iść na rzeź. Bo Eldorado nie należał do właściciela stajni, tylko do człowieka, który go u nich hotelował. Wtedy miał problemy finansowe, chciał Eldorado podtuczyć i sprzedać. Eldorado snił mi się po nocach – ślepy na jedno oko, brzydki i nieujarzmiony. I wtedy moi rodzice zachowali się wspaniałomyślnie: kupili Eldorado, by go ratować, a ja byłam szczęśliwa. I jednocześnie obawy, czy sobie z nim poradzę... To nie pies czy chomik, tylko półtonowy zwierz.

Przy Eldorado nabrałaś odwagi?

I uwierzyłam w siebie. Spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Był bardzo pojętny. Ćwiczyłam z nim woltyżerkę – stałam na grzbiecie, wskakiwałam i zeskakiwałam w galopie. Coraz częściej jeździliśmy poza ogrodzenie stajni. Najpierw biegliśmy tam, gdzie on chciał – ja pędziłam, bo on pędził. Prosiłam przyjaciółkę: „Na końcu trasy zajeżdź mi drogę, bo nie zatrzymam tego pędziwiatra”. A ona nie dawała rady tego zrobić, nie była w stanie zajeżdżać mu drogi, Eldorado był za szybki, nie mogła nas dogonić. Kiedyś zerwałam dla mamy bazie, dojeżdżam do stajni i widzę, że trzymam same kikuty, pęd powietrza powyrywał kuleczki. Ale nauczyliśmy się siebie. Potem pojechałam do Krakowa na studia, a on w tym czasie odszedł.

Co daje hipoterapia?

Zawsze dziwiłam się, że lekarze nie mogą postawić dziecka na nogi, a koń to robi. Nie mówię o cudach, dziecko nie zacznie od tego chodzić, ale może z czasem samodzielnie usiądzie i wzmocni napięcie mięśniowe w kończynach, to już ogromny postęp. Sporo się też zmienia w głowie dzieci, które są autystyczne czy nadpobudliwe. Wyciszą się, kiedy siadają na grzbiecie konia. Dzieci z mutyzmem zaczynają mówić. Dzieci rzucające wulgaryzmami przestają kłąć. Nie zda-

jemy sobie sprawy, jak wiele jest dzieci tak chorych i leczonych. W Broninie – ponad setka. W Pińczowie – ponad setka. Kazimierza Wielka – ponad setka. A to zaledwie jeden region.

Dziecko, które od zawsze korzysta z wózka inwalidzkiego, siada na konia i nagle to są jego nogi – czuje swobodę i przyływ mocy. Siedzi na oklep, bez siodła, więc ciało konia grzeje i masuje ciało dziecka. Z każdym ruchem konia jedne mięśnie napinają się, a inne rozluźniają. Dziecko nie może być zbyt spięte, bo po pięciu minutach mięśnie zaczynają się trząść. Więc tłumaczysz, by pogłaskało konia, by zajęło się czymś innym. Niektóre dzieci nawet głowy i tułowia nie trzymają samodzielnie bez podparcia... Wtedy siada się na konia razem z pacjentem, pełnisz funkcję gorsetu – przytrzymujesz jego ciało na swojej klatce piersiowej.



GRAZYNA MAKARA

Koń Płatek z wolontariuszką Sandrą Jędrzejowską w Hipolandzie. Zbludowice koło Buska-Zdroju, styczeń 2022 r.

W jaki sposób stałaś się właścicielką stajni?

Przypadkiem. Studiowałam odnowę biologiczną, obroniłam pracę magisterską, a tydzień później w Anglii już zaczęłam pracę w restauracji. Z Erwinem, wówczas jeszcze narzeczonym, chcieliśmy zarobić na używanego peugeota 206 – kosztował 11 tysięcy, dla mnie w Polsce suma nieosiągalna. Na auto zarobiliśmy w krótkim czasie, do kraju wróciliśmy po pięciu latach. Oszczędności planowaliśmy włożyć we własny interes, myśleliśmy o spa.

A najpierw pobraliśmy się – do kościoła jechaliśmy powozem zaprzęgniętym w parę tarantowatych ogierów ze stajni w Michałowie, przed nimi dumnie maszerowały dwie srokaty klacze z zaprzyjaźnionego ośrodka Rancho na Wolicy. Miesiąc miodowy spędziliśmy nad morzem. I tam dostałam telefon, że Renata i Robert, właściciele ośrodka Wolica, zginęli w wypadku samochodowym. Byłam zrozpaczona, to byli bardzo bliscy mi ludzie. Ich dom był moim drugim domem – tam spędziłam najlepsze chwile dzieciństwa. Pod znakiem zapytania stały losy koni w ich stajni.

Za zarobione w Anglii pieniądze kupiłam dwa konie, zaczęliśmy remontować stare gospodarstwo. Długo miałam siedem koni – kolejne wykupywałam z rzeźni.

Co na to rodzina?

Akceptuje ten fakt, ale z rezerwą. Rekreacja jest w miarę bezpieczna, choć wypadki muszą się zdarzać – wsiadając na konia musisz wiedzieć, że możesz z niego spaść. Może się poślizgnąć, przestraszyć, gwałtownie zatrzymać, nagle popędzić. Koń w naturze był zwierzęciem płochliwym – najpierw uciekał, a dopiero potem patrzył, co się dzieje.

Mój tata, który jest ortopedą, dwukrotnie uczestniczył w składaniu mojego barku, pechowo złamanego w tym samym miejscu. Zaliczyłam dwie wywrotki, młody koń stracił równowagę. Koń waży około 600 kilogramów – wyobraź sobie: najpierw ty robisz fikółka i spadasz na ziemię, a na koniec on jeszcze roluje się z tobą. Więc mój tata świetnie wie, jakie pozostały zniszczenia, że moja ręka jest o wiele mniej

sprawną. I chyba też by nie chciał, żeby moje dzieci przejęły po mnie pasję.

Jesteś czasem bezradna?

Kiedy w burzę spędzasz konie do stajni, one mają cię gdzieś. Ty je ratujesz, boisz się, że piorun w nie trafi, jesteś przemoczona do suchej nitki, biegasz po pastwisku, nic nie widzisz w strugach ulewnego deszczu, a one odwracają się tyłem do wiatru lub wesoło hasają we wszystkich kierunkach, bo robią sobie właśnie prysznic.

Da się je w ogóle ułożyć?

To wielka satysfakcja. Dostajesz konia, który nie wie, czego ty od niego chcesz. Jeśli robisz to powoli, nie spieszysz się, trwa to przeważnie dwa do trzech miesięcy. Koń trudny wymaga więcej czasu: pewnie z rok nie wsiądzie na niego laik, tylko zaawansowani jeźdźcy, ale i tak z duszą na ramieniu.

Jakie są Twoje metody?

Delikatne. Pierwszego dnia mówimy sobie dzień dobry, koń zaznajamia się z otoczeniem, by zobaczyć, że nie dzieje się mu krzywda w nowym miejscu, jest bezpieczny, są inne konie, dobrzy ludzie. Drugiego dnia pokazuję mu siodło, daję mu do obwąchania, przykrywam go czaprakiem... Jeśli widzę w koniu niepokój, cofam się. Zdarzają się bardzo ufnie konie – w jeden dzień go dosiadam i jadę w teren. Albo takie, że przez tydzień muszę lonżować i on się pomału przyzwyczaja. Opuszczasz z siodła strzemiona, które dyndają, lekko odbijają od jego boków, koń zaczyna się zaznajamiać z nowymi bodźcami. Ale trafiają się też jednostki wyjątkowo odporne – koń potrafi stać nieruchomo, jak skała, nie reagować na nic, by za chwilę ruszyć z kopyta i w sekundzie lądujesz w błocie. No to jeszcze raz i jeszcze raz, popregi czasem pękają – różnie bywa. Ułożyliśmy w sumie przez 25 lat ponad 40 koni.

Konia trzeba przede wszystkim próbować zrozumieć – zastanowić się, dlaczego nie chce zaakceptować tego, co jest mu nieznane.

Dlaczego?

Mimo że konie mają największe ze zwierząt lądowych oczy i widzą prawie wszystko wokół siebie, to obraz nie jest jednokowo ostry. Nagle koń spostrzeża, że coś mu siedzi na grzbiecie. Może chce mnie napaść? Kiedy siadasz na jego grzbiecie, to myślisz, że trzeba uciekać albo się tego pozbyć – do wyboru.

Dobrze jest układać konia, który zaprzyjaźnił się z innym koniem. Ktoś jedzie na zaufanym koniu przed nami, a koń, którego uczę, praktycznie z nosem na zadzie tego pierwszego, idzie za nim, czuje się bezpieczniej i nie zwraca tak bardzo na mnie uwagi, tylko chce dogonić kumpla.

I go powąchać?

I powąchać. W ogóle to chrapy, czyli nosek, jest najprzyjemniejszą częścią końskiego ciała. Mięciutki, aksamitny, delikatny – można całować bez przerwy.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

STANISŁAW

Mancewicz: *Laboratorium Marzeń*



JEŚLI IDZIE O SPRAWY MIĘDZYNARODOWE, to będziemy się streszczać: szkoda, że gruba awantura w sprawie serbskiego tenisisty p. Novaka Djokovicia nie odbyła się przed świętami. Ten wspaniały sportowiec, którego poglądy na wszystko,

w tym na profilaktykę chorób wirusowych, są modelowo prowincjonalne, miał trwonić swój cenny czas w zapyziałej izolacie na obcych mu kulturowo antypodach, mógłby po prostu przyjechać do nas. Mógłby, mówiąc wprost, zagrać na Sylwestrze Marzeń TVP. Wydarzenia zakopiańskie i bez p. Novaka skłaniają nas do komponowania wizji: tamtejszy klimat, skład podhalańskiego powietrza i polskie noworoczne programy rozrywkowe, oraz obyczajowość naszego ludu, powinny zmusić jakąś serio uczelnię do założenia w Zakopanem nowoczesnej stacji badawczej. Proponujemy nazwę – Laboratorium Marzeń.

Widzimy czyżby wyobraźni bardzo obszerny budynek, usytuowany na zboczach Gubałówki, tak by nic nie zasłaniało niesłychanej panoramy miasta, stacja musiałaby oczywiście stać raczej nisko, bo, jak wiemy, smog tamtejszy mocno zakłóca przezierność powietrza. Otóż w licznych gabinetach i pracowniach, w znakomicie wyposażonych laboratoriach i obserwatoriach dyżurowałby rzesze najwybitniejszych badaczy polskość. Ta supernowoczesna placówka, będąca w jakimś sensie prastacją marsjańską, wyposażona by była w wielkie lunety i lupy, w najświetniejsze czujności mikrofony nasłuchujące, we wszelkie możliwe rejestratory, w tym w ogromne chrapy precyzyjnie wciągające przeróżne wonie. Dodajmy z naciskiem, że byłyby to każde wonie, a nie tylko krokusów, kebabów bądź żętycy. Wspaniałe komputery szumiące w podziemiach byłyby tam kar-

mione bez ustanku najróżniejszymi danymi z różnych dziedzin. Laboratorium Marzeń badałoby na okrągło całą polską fizykę i metafizykę, chemię wszystkiego, poezję śpiewaną i poezję nieśpiewaną. Analizowałoby rymy i rytmy, tonacje, opukiwałoby szkielet genu sprzeciwu, modę ubraniową i językową, rozwój medycyny estetycznej, liczyłoby oczywiście oscypki i ciupagi, bigos i golonki, piw beczki, wódek skrzynki, w tym liczyłoby oczywiście tzw. małpki, sumowałoby wrzucane do przestrzeni wspólnej słowa wzniosłe i słowa plugawe, kreśliłoby obraz dominującego kształtu brody męskiej, kreśliłoby wykresy tragedii i komedii, robiło listy przyjaciół i wrogów ojczyzny, bez ustanku aktualizowane. Słowem: robiłoby owo laboratorium wszystko. Oczywiście, zakopiańskie Laboratorium Marzeń powstałoby wedle polskiej myśli inżynieryjno-humanistycznej, byłoby ściśle polską produkcją i pod polską kontrolą, a nie żydowską, jak jakiś Pegasus, co chyba dla każdego polskiego patrioty, zwłaszcza katolicko-prawicowego, powinno być jasne i oczywiste.

Ktoś tu teraz ze łzami w oczach zapyta, po co wszystko? Ktoś inny zaś powie, że przecież wszystko już o sobie wiemy, a tego, czego nie wiemy, tego widzieć nie chcemy. Ktoś z ołówkiem w ręku wyliczy, że koszt będzie horrendalny, niepolski. I będą to opinie, które to trzeba uznać bądź za niepolskie właśnie, bądź wynikające z szalonej ciasnoty umysłu. Oto każdy człowiek trzymający palec na pulsie wydarzeń wie, że największy dziś portal społecznościowy wkroczył na ścieżkę rewolucyjnych dla całej ludzkości zmian. Rewolucja ta nosi nazwę metawersum. W dużym skrócie mówiąc, ma być to nowa, równoległa, sztuczna i sterylna rzeczywistość, w której będzie można zamieszkać, zrobić zakupy, odbyć stosunek płciowy bądź – dla przykładu – pójść z wędką na ryby – choćby się nigdy tego nie robiło i tego nie umiało. Co to ma do rzeczy? Do budowy planowanego tu Laboratorium Marzeń w Zakopanem. Ma. Polacy to nie jest żadna „cała ludzkość”, swoją sterylnie osobną rzeczywistość już mają, ale wciąż w wersji analogowej. Mówiąc wprost, polską metafizykę potrzebujemy przekuć w metadane. Wtedy będziemy mogli powołać Polowersum, w którym oczywiście posłuchamy sobie disco polo do syta i porozmawiamy z Gospodarem.

©P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Zostań Patronem Podkastu Powszechnego



Miesiąc
w nauce

Na przegląd najciekawszych
wydarzeń naukowych miesiąca
w Podkaście Powszechnym
zaprasza kosmolog i filozof **Łukasz Lamża**,
laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na
Patronite.pl/TygodnikPowszechny
i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

*Po co człowiekowi sen?
Co pozostawiła po sobie woda
na Marsie? Czy da się naukowo
badać miłość od pierwszego
wejrzenia?*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

TYGODNIK
POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



 audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.



Gwarancja SLA



Obiekt klasy Tier 3



Transmisja danych
do krajowych operatorów



Samodzielny dostęp
do szaf w trybie 24/7



Redundantne połączenie
z siecią Internet



Monitoring 24/7
oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.



Systemy
przeciwpożarowe



Systemy
chłodzenia



Niezależne
zasilanie



s-net.pl/data-center



Skontaktuj się z nami

+48 12 395 71 00